

Optymizmu w Nowym Roku!



Tygodnik PZPR ■ Lennica ■ Rok XVII
Nr 906/7 ■ 22 grudnia 1989 r. ■ 500 zł

O spółkach i Wielkiej Wodzie ■
Trzecia siła w ruchu związkowym ■
Jak odbierać tv-sat w Legnicy ■
Święta w „internacie” ■
Amerykanin w Kozielsku ■
Parszywa trzynastka legnickiego sportu ■
Dżuma XX wieku ■
Między młotem a sierpem ■
Telewizja od kulis ■
Rock w roku ■
Krzyżówka, konkurs, horoskopy i program tv ■



H. JĘDRYSIAK '89

Rys. Marek Jędrysiak

Konkrety tygodnia

W przyszłym roku osiągniemy równowagę budżetową — stwierdził na konferencji prasowej Wojciech Misiąg, wiceminister finansów.

Zmarł Andriej Sacharow, człowiek-symbol. Przez dwadzieścia lat pracował nad bronią jądrową, by następnie stać się gorącym przeciwnikiem jej produkcji i stosowania. Sławę i Nagrodę Nobla przyniosła mu także nieprzejednana postawa w walce o przestrzeganie praw człowieka w ZSRR, za co w roku 1980 został zesłany do Gorki. — Odczuwam głęboko tę wielką stratę. Akademik Sacharow należy do epoki przebudowy — powiedział Michaił Gorbaczow.

Śluszenie obawiamy się dysproporcji w zamożności ludzi. Musimy być solidarni, tworzyć system, w którym każdy będzie szanowany. W niektórych gazetach i w niektórych środowiskach „Solidarności” głosi się jednak skrajny liberalizm. Nie sądzę, żeby był do przyjęcia w naszej tradycji i w obecnych warunkach — twierdzi Andrzej Wielowieyski, wicemarszałek Senatu.

Apteki odczuwają dotkliwy brak antybiotyków, witamin i materiałów opatrunkowych.

Parlament Zachodnioeuropejski wezwał RFN do oficjalnego uznania granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej.

W ramach współpracy międzypartyjnej delegacja PZPR przebywała w Chinach.

Nieprawda, że jesteśmy partią „zadymiaczy” i rozrabiaczy. Taką etykietkę usiłuje nam przykleić propaganda ze strony PZPR i OKP — powiedział Piotr Ikonowicz, jeden z przywódców PPS-RD.

W badaniach GUS wieś polska przedstawia się bardziej niż uboga: co 20 ma piekarnię, co 30 młyn, co 50 — masarnię, co 110 — przetwórnictwo owoców, warzyw lub grzybów...

Radzieckie Ministerstwo Obrony poinformowało, że w 1990 roku wydatki na obronę wyniosą 71 miliardów rubli, tj. o 8,2 proc. mniej niż w tym roku.

Rząd NRD postanowił zlikwidować Urząd ds. Bezpieczeństwa Publicznego, któremu podlega tajna policja.

Premier Tadeusz Mazowiecki spotkał się z Alfredem Miodowiczem, szefem OPZZ. Celem spotkania była wymiana informacji i poglądów na temat założeń polityki społeczno-gospodarczej w 1990 roku.

Z sondaży zachodniemieckiego tygodnika „Der Spiegel” wynika, że większość Niemców w NRD nie pragnie zjednoczenia Niemiec.

Od niedzieli Rumunia usiłuje nie dopuścić do przecieków informacyjnych, ale chociaż agencja Agerpres milczy, świat obiegiła informacja o zdławieniu demonstracji w Timisoarze.

Uczestnicy demonstracji w stolicy Mongolii domagali się przyspieszenia tempa reform.

Pomnik Lenina w Nowej Hucie zostanie zdemontowany i przeniesiony do muzeum.

Od Nowego Roku Austria wprowadzi preferencyjny status celną dla Polski.

Według zachodniej „Bild Zeitung” byłe kierownictwo NRD było zamieszane w handel narkotykami na dużą skalę.

Od 27 grudnia w autoryzowanych stacjach obsługi i sprzedaży ciągników można nabywać obligacje o nominałach 10 i 12 mln złotych, upoważniające właściciela do kupna ciągnika rolniczego.

Z inicjatywy miejscowego PKPS i ZOZ w Lubinie ma powstać dom dziennego pobytu seniorów i ośrodek dla dzieci niepełnosprawnych. Koszty adaptacji tych dwu obiektów wyniosą po ok. 0,5 mld złotych. Inicjatorzy apelują o finansowe wsparcie.

Pierwsza ekspozycja firmy joint venture Pro International Ltd obejmowała m.in. komputerowy system fotokładu, druga czynna 19–20 bm. w hotelu „Marriott” pokazywała system komputerowy pozwalający na zautomatyzowanie operacji bankowych. Komu kartę kredytową?

Tegoroczna produkcja wydawnicza jest mniejsza o 25 proc. niż w roku ubiegłym.

Program „w obronie książki” zakłada m.in. zniesienie reglamentacji papieru i zrównanie jego ceny z cenami światowymi, zmniejszenie podatku dla papieru, poligrafii i wydawnictw do 20 proc., zwolnienie od opodatkowania podręczników; zniesienie cła na import urządzeń poligraficznych i papieru.

W tym roku legniczanin nie spróbuje słodkości z „Horteksu”. Nowy termin przekazania całości obiektu określono na 15 maja, ale dotrzymanie go wykonawca uzależnia od dopływu gotówki z „Horteksu”. Dotychczas „Hortex” stale opóźniał finansowe należności.

Podobnie jak KW PZPR w Legnicy, zaczęła zarabiać na siebie także instancja wojewódzka w Bydgoszczy proponując mieszkańcom miasta wynajmowanie części siedziby KW na wesela i inne uroczystości rodzinne.

Na zbożu wyrobiska kopalni Węgla Brunatnego „Turów” pojawiły się szczeliny i pęknięcia grożące zalaniem kopalni, znieszczeniem strategicznej drogi Bogatynia — Sieniewka, a nawet zmianą koryta Nysy Łużyckiej.

1 stycznia 1990 roku upływa termin nadsyłania prac na Międzynarodową Wystawę „Satyrykonu 90”. Spóźnialskim przypominać adres: WDK, ul. Leńskiego 19, 59-220 Legnica.

Zespół Pieśni i Tańca „Lubin” obchodzi 20-lecie istnienia.

Nieoczekiwana wizyta



Fot. Wincenty Kolodziejski

13 grudnia, przed południem obok wejść do „Flewexu” i banku PKO na pl. Zawadzkiego w Legnicy zrobiło się pusto. Właściciele „ruchomych kantorów”, czyli po prostu cinkciarze na kilka godzin przerwali działalność, aby zająć się czymś zupełnie niecodziennym.

Kilku kolegów, działających w tych dwóch punktach zebrało milion złotych — mówi pan Maciek. — Zakupiliśmy za to 60 kg pomarańczy i cały karton gumy do żucia. Zostało nam jeszcze 500 tys. zł gotówki. Chcielibyśmy to wszystko przekazać komuś potrzebującemu, najchętniej dzieciom. Tylko bezpośrednio, osobiście.

Krótką konsultacją z Wydziałem Zdrowia i Opieki Społecznej UW w Legnicy i już wsiadamy do samochodów. Za kilka minut, wraz z sześcioma cinkciarzami jestem w Państwowym Domu Dziecka w Golanec, gmina Prochowice. Kierownik PDD, Jerzy Wyżga jest tą wizytą nieco zaskoczony. Przed Mikołajem pieniądze na potrzeby dzieci przekazał legnicki „Legmet”, zespół ar-

chitektów z „Inwestprojektu”, „Legpol”, a „Renifer” dał słodycze. Parafianie od Sw. Jana z Legnicy przyjechali razem ze swoim proboszczem i zorganizowali prawdziwą, mikołajową zabawę. Ale takich ofiarodawców jak dziś jeszcze tu nie było. Nieoczekiwana wizyta wypadła jednak w samą porę.

Właśnie byłem w gminie zalać jakieś pieniądze, bo te ze stawki żywieniowej na cytrusy nie wystarczą, niestety — mówi kierownik. — Ponieważ mamy tu 34 wychowanków, dla każdego przypadnie prawie 2 kg. Pomarańcze wystarczą na Wigilię i na Nowy Rok. Pieniądze zaś przeznaczymy na dofinansowanie książeczek mieszkaniowych.

Na zakończenie wizyty jeszcze jedna, nieoczekiwana deklaracja. Goście obiecują, że gdy tylko zbiorą odpowiednią sumę, kupią dzieciom w Golanec Dolnej otwarcie widok. Skąd taki pomysł?

— Dziś trzeba pomagać biedniejszym, a my chcemy dać przykład — odpowiadają.

(ch)

Ścisłe jawne

IRENA PATER, absolwentka Wydziału Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego, została wybrana na przewodniczącą Miejskiej Rady Narodowej w Legnicy.

Pracę zawodową rozpoczęła w 1963 roku, jako pracownik fizyczny, w legnickiej hucie miedzi. Przez następne piętnaście lat zajmowała różne stanowiska w kilku legnickich przedsiębiorstwach. Ostatnio — do 1983 r. — była radcą prawnym w Kombinacie Budownictwa Komunalnego, „Lefanie” i Fabryce Przewodów Nawojowych. Od sześciu lat prowadzi działalność na własny rachunek, jest właścicielką sklepu galanterijno-odzieżowego przy ul. Chojnowskiej w Legnicy.

Od 1985 roku jest członkiem Stronnictwa Demokratycznego. Pełni w nim funkcję sekretarza Komitetu Miejskiego w Legnicy i przewodniczącego koła przy Zrzeszeniu Prywatnego Handlu i Usług.

Od listopada jest prezesem Zrzeszenia Prywatnego Handlu i Usług w Legnicy.

Ma dwóch synów (18 i 14 lat). Chwile wolne od pracy zawodowej i społecznej poświęca na czytanie książek.

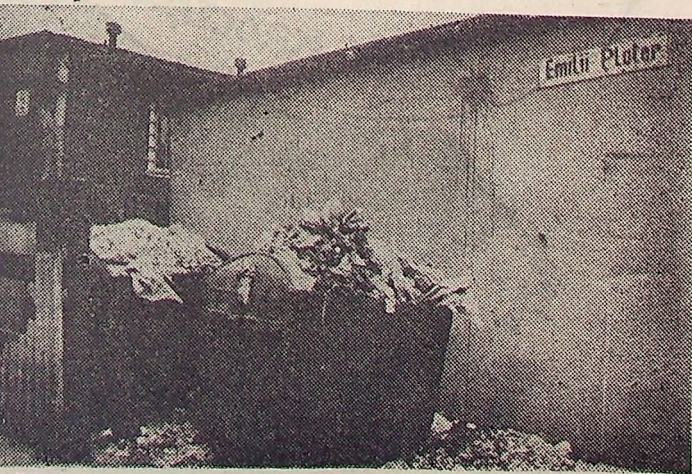
Irena Pater jest drugą w dziejach Legnicy kobietą na stanowisku przewodniczącego MRN.

Płk Tadeusz Byner (lat 47), prawnik (UAM w Poznaniu) został mianowany przez ministra spraw wewnętrznych zastępcą szefa WUSW w Legnicy ds. Milicji Obywatelskiej. Dotychczasową pracę związany z Pomorzem Zachodnim, od 1980 r. był szefem RUSW w Świnoujściu.

W czasie wolnym od pracy zajmuje się sportem, wędkarstwem, turystyką.

Zona, Elżbieta rusycystka jest pracownicą tego samego resortu i wraz z synem, Wojciechem (8 klasa SP) pozostaje jeszcze w Świnoujściu. Córka, Joanna studiuje na IV roku romanistyki UAM w Poznaniu.

Przysłona zero



Zdają wywieźć przed nowym rokiem czy nie? A może to „za-bezpieczony front robót” dla wiosennej akcji „Porządek”

Fot. Wincenty Kolodziejski

Handel

Wigilia, 24 grudnia — o godzinie 10.00 sklepów będzie czynna do 18.00. Sobota, 23 grudnia — ogólnospółdzielczość, do 14.00. Karkonoska, nr 93 — ul. Galaktyczna, nr 95 — ul. Jagiellońska, nr 16 — ul. Głogowska, nr 12 — ul. Jaworzyńska, nr 104 — ul. Lotnicza, nr 33 — ul. Świerczewskiego, nabołowo-piekarnicze 6-16, mięsne do 15, przemysłowe nieczynne z wyjątkiem DH i Megasa — 10-15, monopolowe do 17, kioski „Ruchu” do 15.

Wigilia, niedziela, 24 grudnia — jak w niedzielę, „Delicje” 10-14, kioski jak w niedzielę do 15, od 8 do 15 kioski na dworcu PKP.

1 dzień świąt, 25 grudnia — dyżuruje tylko kioski na dworcu PKP. 2 dzień świąt, 26 grudnia — mleko i pieczywo 8-12 w białach „Wiarus”, „Miedziolanka”, „Rarytas”, „Orion” i w kawiarni „WZ”, dyżuruje kioski.

Środa, 27 grudnia — sklepy spożywcze (jednoosobowe), mięsne, rybne i drobiarskie nieczynne, przemysłowe nieczynne, dyżuruje DH i Megasa 12-18.

28-29 grudnia — jak w dni powszednie.

30 grudnia — jak w Wigilię.

Sylwester, 31 grudnia — jak w niedzielę, dyżuruje kioski.

Nowy Rok, 1 stycznia — sklepy nieczynne, dyżuruje kioski dworcowy 8-18.

Gastronomia

Wigilia, 24 grudnia — do 14, dyżuruje „Cuprum” do 16, bufet dworcowy do 21, „Kefirek” do 19.

1 dzień świąt, 25 grudnia — nieczynne, dyżuruje „Cuprum” 7-19, „Polonia” 13-20.

2 dzień świąt, 26 grudnia — do 18, dyżuruje: „Dworcowa” w pełnym wymiarze czasu pracy, „Cuprum”, kaw. do 20, rest. do 1, „Zodiak” do 22.

Sylwester, 31 grudnia — do 16, dyżuruje: bufet dworcowy do 21, „Odra” do 19, „Piast” do 20.

Nowy Rok, 1 stycznia — nieczynne, dyżuruje: „Relaks” 13-20, kaw. „Cuprum” 10-22, „Piast” 19-1.

Usługi

Sobota, 23 grudnia — jak w wolną sobotę, „Polena” 7-21.

Wigilia, 24 grudnia — jak w niedzielę, „Unita-Serwis RTV” 8-14.

1 dzień świąt, 25 grudnia — nieczynne, dyżuruje 8-14: RTV — S. Wielkopolski, ul. Śląska 9/10, tel. 612-35 i mechanika pojazdowa A. Zieliński, ul. Borsucza 1, tel. 277-03.

2 dzień świąt, 26 grudnia — nieczynne, dyżuruje 8-14: RTV — S. Sonda, ul. Zwirki i Wigury 7/1, tel. 275-75 i mechanika pojazdowa — W. Butrym, ul. Jaworzyńska 162, tel. 200-95.

Sobota, 30 grudnia — jak w wolną sobotę, fryzjersko-kosmetyczne w pełnym wymiarze, „Polena” do 21.

Sylwester, 31 grudnia — nieczynne, dyżuruje 8-14: RTV — E. Repeł, ul. Gwiezdna 9/19, tel. 296-99, mechanika pojazdowa — R. Salamandra, ul. Warmińska 30, tel. 647-30.

Nowy Rok, 1 stycznia — nieczynne, dyżuruje 8-14 zakład RTV — ul. Chojnowska 14, tel. 225 43.

Komunikacja WPK

Sobota, 23 grudnia — jak w dni powszednie.

Wigilia, 24 grudnia — miejskie średnio co godzinę, zamiejskie do 14 jak w dni świąteczne, po godzinie 14 zawieszane są kursy z wyjątkiem linii „10” (z Legnicy 13.50, 15.20, 16.50, 18.20, 21.35, z Prochowic 14.35, 16.05, 17.35, 19.05, 22.15), „17” (z Legnicy 13.30, 14.40, 15.50, 17.00, 19.40, 21.25; z Legnickiego Pola 14.00, 15.15, 16.20, 17.35, 20.15, 21.55), „45” (z Legnicy 14.15, 21.00; z Lubina do Polkowic 15.33, 21.42; z Polkowic do Legnicy 16.15, 22.30; z Lubina do Legnicy 16.42, 22.57).

1 dzień świąt, 25 grudnia — miejskie średnio co godzinę, zamiejskie zawieszane z wyjątkiem „10” (z Legnicy 8.05, 7.35, 9.05, 10.50, 12.20, 13.50, 15.20, 16.50, 18.20, 20.05, 21.35; z Prochowic 8.50, 9.20, 9.50, 11.35, 13.05, 14.35, 16.05, 17.35, 19.05, 20.50, 22.15), „17” — jak w dni wolne od pracy, „45” (z Legnicy do Polkowic 5.20, 8.25, 11.25, 14.45, 18.00, 21.00; z Lubina do Polkowic 6.08, 9.13, 12.13, 15.33, 18.48, 21.28; z Polkowic do Legnicy 6.40, 9.55, 12.55, 16.15, 19.30, 22.30; z Lubina do Legnicy 7.07, 10.22, 13.22, 16.42, 19.57, 22.57).

2 dzień świąt, 26 grudnia — miejskie średnio co godzinę, zamiejskie jak w dni wolne od pracy.

Sobota, 29 grudnia — miejskie i zamiejskie jak w dni wolne od pracy.

Niedziela, 31 grudnia — jak w Wigilię.

Nowy Rok, 1 stycznia — miejskie średnio co godzinę, zamiejskie jak w dni wolne od pracy.

„Marionetki”

Autora listu w sprawie „Marionetek” prosimy o pilny kontakt osobisty lub telefoniczny z redakcją. Dyskrecja zapewniona.

Naszej koleżance
CELINIE FURMANEK
wyraży głębokiego współczucia
z powodu śmierci
M A T K I
składają koleżanki i koledzy
z redakcji „Konkretów”

Im zaufano

Od 10 do 20 grudnia odbyły się wybory delegatów na XI Zjazd PZPR. Frekwencja wyborcza w województwie wyniosła 70,78 proc., w wyniku głosowania mandaty delegatów uzyskali następujący kandydaci:

Okręg Wyborczy nr 1 w Głogowie:

Andrzej Sorokanyecz,

Józef Smoleń,

Ryszard Płatek.

W wyborach wzięło udział 68,5 proc. uprawnionych do głosowania.

Okręg Wyborczy nr 2 w Polkowicach:

Zbigniew Ciastoń,

Eugeniusz Zarecki.

W wyborach wzięło udział 74,0 proc. uprawnionych do głosowania.

Okręg Wyborczy nr 3 w Lubinie:

Władysław Bartkowiak,

Zbigniew Kalinowski,

Krzysztof Dziubak.

W wyborach wzięło udział 61,7 proc. uprawnionych do głosowania.

Okręg Wyborczy nr 4 w Legnicy: Zygmunt Wojdyło,

Marek Hanaszyński,

Bronisława Kowalska,

Wojciech Kondusza.

W wyborach wzięło udział 70,28 proc. uprawnionych do głosowania.

Okręg Wyborczy nr 5 w Złotoryi:

Antoni Zapart,

Stanisław Softysik,

Daniel Smutyło.

W wyborach wzięło udział 76,6 proc. uprawnionych do głosowania.

Okręg Wyborczy nr 6 w Jaworze:

Henryk Nowak,

Mirosław Gibek.

W wyborach wzięło udział 73,6 proc. uprawnionych do głosowania.

Ponadto wojewódzką organizację partyjną na XI Zjeździe PZPR reprezentować będą posłowie:

Irmindo Bocheń,

Wiesław Chmielarski,

Marian Orzechowski.

temat do przemyślenia

Gra w obligacje

Długoterminowa obligacja państwowa, wchodząca do obiegu na dziesięć lat, może być początkiem rynku papierów wartościowych, mechanizmu, bez którego trudno wyobrazić sobie gospodarkę rynkową. Może przybliżyć nas do kolejnego mechanizmu będącego nierozłączną cechą tej gospodarki — giełdy papierów wartościowych. Może, ale nie musi przyciągnąć nas do tak pożądanego celu. Podobnie, jak to było z pożyczką zbożową: na początku „coś nie gra”. Zainteresowanie obligacjami jest mniej niż średnie — usłyszałem w Jaworskim oddziale PKO, placówce wiodącej dla wszystkich oddziałów tego banku w Legnicy. Może więcej klientów będzie w ostatnich dniach miesiąca, kiedy to osłabnie przedświąteczna gorączka zakupów i za kilka dni „załapie się” oprocentowanie miesięczne?

Mała ilość przedpłat — do końca stycznia w zamian za pieniądze dostaje się pokwitowanie z zaznaczoną datą odbioru obligacji — oceniana jest różnie. Realści twierdzą, że deklarowane poparcie dla przemian w kraju nie musi łączyć się z ryzykiem. Zwłaszcza wtedy, gdy w zubożałym społeczeństwie niewiele na nie stać. Najchętniej zakupiliby obligacje drobni ciułacze. Zaniepokojeni galopującą inflacją, chcieliby przed jej skutkami uchro-

nić swoje życiowe oszczędności. Niestety, obligacja okazuje się formą lokaty wyjątkowo dla nich niedogodną, obmyślaną raczej na możliwości prawdziwych bogaczy. Nie przesadza o tym nawet nominalna obligacja, bo najmniejsza ma wartość 200 tys. zł (inne 400 tys., 1 lub 5 mln zł). Najważniejszy jest okres zamrożenia kapitału — równa dziesięć lat, do 31 grudnia 2000 roku. Ta wiadomość sprawia, że spod specjalnych okienek PKO odchodzą zdezorientowani emeryci i nieuwinni odbiorcy środków masowego przekazu. Nie dla nich ta rynkowa gra.

„Gra” w obligacje, oprócz kapitału, wymaga znajomości zasad, a tą pochwalic nie mogą neliści już uczestnicy gry przedwojennej. Młodzi muszą się szybko dokształcać. Dla posiadaczy wolnego kapitału obligacje mają kilka niewątpliwych zalet. Zgodnie z definicją tego rodzaju papierów wartościowych gwarantują stały dochód i zwrot nominalu. Stały dochód zapewni pięć procent (do 30.11.1994 r.) oprocentowanie wg zmiennej, miesięcznej stopy procentowej, równej wskaźnikowi wzrostu cen detalicznych i usług w tym miesiącu. Ponadto będzie można płacić nim za akcje będące własnością Skarbu Państwa, tym samym śmiało wkroczyć na drogę ludowego kapitalizmu.

Największe emocje, prawdziwa loteria zaczyna się po 30 listopada 1994 roku. Od tego dnia wartość obligacji przyrasta wolniej, o 3 proc. rocznie od wartości nominalnej obligacji. Wygasa także prawo zakupu za nie akcji Skarbu Państwa. Pozostające w obiegu obligacje dwa razy w roku, w ostatnie piątki maja i listopada, będą wykupywane przez państwo. O możliwości odzyskania wartości nominalnej i odsetek zdecydować los. Każdorazowo Fortuna zaszczyli swym uśmiechem jedną dziesiątą cierpliwych właścicieli obligacji.

Kto nie gra nie wygrywa. W tej grze wszyscy zyskają po trochu. Oprócz emitującego obligacje państwa, nadzieje na godziwy zysk mogą mieć także nabywcy. Największe placacy obligacjami za akcje lub szczęściarze w losowaniu wykupu. Niewiele stracią nawet najwięksi ryzykanci, przetrzymujący obligacje do wygaśnięcia dziesięcioletniego terminu obowiązywania. Kupić więc czy nie? Jeżeli już mamy za co, musimy nauczyć się ryzyka, niezbędnego w produkcji i na giełdzie papierów wartościowych. Tego wymaga nowy porządek ekonomiczny. Równowagę psychiczną, jednak przy mniejszym prawdopodobieństwie zarówno strat jak zysków, może zapewnić raczej obiegowa książeczka oszczędnościowa.

Od wielu, wielu lat każdy rozpoczynany rok określano z góry jako TRUDNY. Prognoza kłopotów i uciążliwości sprawiała się w pełni. Dziś wszelkie przewidywania dotyczące ekonomiki, a więc i państwa, stały się równie bezwartościowe jak horoskopy uzależniające czyjś los od daty urodzenia. Zadeklarowana przez rząd chęć gwałtownej zmiany systemu musi wnieść nową jakość w dziedzinę dolegliwości życia codziennego — na czas bliżej nieokreślony. Urzędowi optymiści mówią o trzech kwartałach.

Oto po raz pierwszy oficjalnie zadeklarowano obniżenie „realnej konsumpcji” o dwa — cztery procent. Mniejsza o to, co konkretnie znaczy owo spożycie prawdziwe; każda ekipa puszcza w obieg nowe nazwy, wprowadza sekretne wskaźniki. Wyraźnie powiedziano publiczności „będzie gorzej”, chociaż umowa podpisana w kwietniu na stymulnym meblu w Pałacu Namiestnikowski zobowiązywała stronę koalicyjno-rządową do obrony płacy realnej. Wychodzi na to, że umowa przestała obowiązywać, odkąd zamieniono się stronami i miejscami. Te „dwa — cztery procent” mają, jako wskaźnik, jeszcze mniejsze prawdopodobieństwo niż góralskie przepowiednie pogody. Przecież programowo zniesiono plan roczny. Rząd wypuszcza cugle z rąk i ustanawia swobodę cenową rzadko spotykaną w świecie, a już zwłaszcza w gospodarce rozstrojonej. Rada Ministrów wyzwała jednocześnie reakcje łańcuchowe o nieprzewidywalnej sile. Wszystko to przypomina eksperyment podjęty w znanej elektrowni. Zatem „2-4 procent” można uznać za wskaźnik optymistyczny.

Drożeje węgiel, na początek trzy razy, później jeszcze bardziej. Eksperci zastanawiają się, czy wystarczy płacić za tonę trzysta tysięcy czy trzeba pół miliona złotych, by zapewnić kopalniom rentowność. Już z tego powodu ruszą w górę wszystkie ceny, od elektryczności, po pomidory. Ostro zwiększy dolar nabywany przez producentów dla celów zaopatrzeniowych. I nikt nie wie, przy ilu tysiącach się zatrzyma, jaką granicę zdola bank obrobić, dysponując zaledwie miliardem dolarów na sprzedaż. Za kur-

Noworoczny horoskop

sem dolara kroczą wszystkie ceny, podobnie jak benzyna, tylko w błyskawicznym tempie.

Tak więc zmiana systemu wywoła, w pierwszym rzucie, niebywałą drożyznę. Oficjalne prognozy na pierwsze półrocze podają, jako najbardziej prawdopodobny, wzrost cen rzędu 350 procent. Czegoś takiego jeszcze nie przeżywaaliśmy. To już nie szok, ale parokszizm. Oczywiście, płace pozostaną w tyle, bo inaczej cała zabawa nie ma sensu. Nikt już nie podtrzyma hasła „na reformie nikt nie może stracić” — bo wystarczy rozpedzić służbę bezpieczeństwa, zmniejszyć wydatki na wojsko, przestawić przemysł obronny, posłać urzędników na grzybki, no i „zlikwidować marnotrawstwo”, a bilans wyjdzie na zero. Tak można było gadać zanim zaczęło się rządzić.

Otóż czekający nas wzrost cen o niespotykanej skali może wywołać niespodziewane dramaty w skali gospodarstwa domowego oraz narodowego. Gdyby rzeczywiście wprowadzić opłacalny, zdrowy kredyt na budownictwo mieszkaniowe, to za mieszkanie 60-metrowe należałoby płacić miesięcznie — łącznie z komercyjnym czynszem — prawie dziewięćset tysięcy złotych. Na taką zapłatę nie wystarczy nawet pracownikom dobrze zarabiającym, bo podatek wyrównawczy usytuowano na poziomie półtora miliona złotych miesięcznie. Składka PZU ma wzrosnąć co najmniej ośmiokrotnie. Pewne wydatki mogą się po prostu nie zmieścić w „koszyku”, którego pojemność zależy od zarobków. Brak nabywców — po tych cenach — oznacza z kolei upadek producentów, którzy nie potrafią obniżyć kosztów — a to z reguły wymaga nowych technologii. Natężenie i zasięg tych procesów pozostają niewiadomą.

Jeśli społeczeństwo to wytrzyma, jeśli selekcja producentów dokonana się na zasadach darwinowskich, to w rok 1991 wejdzemy z inflacją rzędu 3-5 procent miesięcznie, co daje 40-80 procent rocznie. I to jest wariant najbardziej optymistyczny. Szczęśliwego Nowego Roku.

(Bor)

A' propos



Trzecia siła

Pieniądze do podziału były niewielkie. Średnio 20 tys. zł miesięcznie z tytułu protokołu nr 9. Ale za to pojawiło się aż kilka wersji ich podziału. Najpierw NSZZ „Solidarność” wniosła: wskaźnik 1 dla górników, 0,3 — dla dozoru średniego i... zero dla dyrekcji, dozoru wyższego i administracji. Związki OPZZ obdzielili wszystkie grupy, ale także ze wskazaniem na górników. Oba zarządy doszły jednak do wniosku, że trzeba się jakoś dogadać i wspólnie zaproponowały: wskaźnik 1 — dla górników, 0,7 dla dozoru niższego i średniego, 0,4 dla kierownictwa zakładu, dozoru wyższego i administracji. Ale w tym czasie pojawił się nowy, świeżo zarejestrowany związek pracowników technicznych i administracyjnych i też chciał mieć coś do powiedzenia w tej sprawie. Ten z kolei preferował dozór — wskaźnik 1,5, a dla reszty — 1.

Tym razem jednak związkowcy nie potrafili się dogadać. Wobec rozbieżności zdań, zgodnie z ustawą związkową, ostatnie słowo należało do dyrektora. Kazimierz Ziada, dyrektor naczelny Zakładów Górniczych „Lubin” postanowił podzielić pieniądze stosując wskaźnik 1 dla wszystkich pracowników produkcyjnych i 0,8 dla pozostałych.

Jeszcze parę miesięcy temu, gdy „Solidarność” stała u progu ponownej legalizacji, o pluralizmie związkowym rozmawiałam w ZG „Lubin” w kategoriach czysto teoretycznych. Dziś wielość związków w jednym zakładzie pracy jest już faktem. Faktem stał się też nowy układ sił i nowe związki z tym problemem.

Mówią, że pomysł kilkował co naj-

miej od ośmiu lat. Już wtedy, w latach 80—81 dozór myślał o odrębnych związkach. Ale potem zamiast tworzyć własną organizację ludzie w białych kaskach musieli wykonywać plany uwiązkowania w ramach OPZZ. Dopiero w maju tego roku, po zarejestrowaniu „Solidarności” znów zaczęli poważnie myśleć o swoich związkach. 11 grudnia Związek Zawodowy Pracowników Technicznych i Administracyjnych przy ZG „Lubin” w Lubinie uzyskał osobowość prawną. Nie byli pierwsi w LGOM. Już wcześniej zrzeszyli się ich koledzy w „Zananie” i w Hucie Miedzi „Legnica”.

Nam chodzi o to, żeby nie dopuścić do podziałów wśród dozoru — mówi inżynier Andrzej Kuźmicki, przewodniczący najmłodszego w ZG „Lubin” związku. — Bo jak widzimy na co dzień, przynależność do różnych związków dzieli, nie łączy.

Dozorowi i administracji chodzi również o taki związek, który w pełni reprezentowałby ich zawodowe interesy. Nie czynili tego, mówią moi rozmówcy, członkowie zarządu, ani związki OPZZ, ani „Solidarność”, zdominowane przez robotników i robotnicze interesy. Ciągłe słyszymy, że nas utrudniają. Czterdziestoletnia propaganda stawiająca robotnika na piedestale zrobiła swoje. Działacze „Solidarności” nieświadomi tego, podtrzymują trend partii. Chcemy zajmować się rangą dozoru i w ogóle pozycją inteligencji technicznej. Od tej grupy zawodowej zależy przecież postęp cywilizacyjny. Mamy doganiać świat, ale czy uda się nam to z łopata w rękę?

Nie możemy dopuszczać do dyskredytowania naszych zawodów.

W obiegowych opiniach powtarza się o krociowych zarobkach ludzi na stanowiskach. Tymczasem różnica sięga ledwie ośmiu procent na korzyść dozoru — informuje Krzysztof Bombik, wiceprzewodniczący tymczasowego zarządu i jednocześnie przewodniczący rady pracowniczej kończącej kadencję. — Czy wobec tego opłacają się lata nauki, a potem bagaż odpowiedzialności związany z funkcją kierowniczą?

Związek pracowników technicznych i administracji nie deklaruje się w nazwie jako samorządny i niezależny, bo sama nazwa niczego jeszcze nie przesądza. — Chcemy być z dala od Kościoła i wszelkich partii politycznych. Zamierzamy zajmować się wyłącznie sprawami zawodowymi i socjalnymi swoich członków. Ale bronić będziemy każdego kto się do nas zwróci — zapewnia tymczasowy zarząd.

Na kogo liczą najmłodszą związek? Zgodnie z nazwą głównie na pracowników technicznych, niekoniecznie związanych z dozorem i na administrację. Nie są to liczne grupy zawodowe, dlatego związek pod względem liczebności członków nie zamierza konkurować z innymi. Nie będzie też, jak na razie, molestować dyrektora o przydział siedziby, ani dopominać się o etaty. Funkcje z wyboru mają być pełnione społecznie. Szczegółów programu działania tymczasowy zarząd nie chce na razie zdradzać. Jeszcze za wcześnie. W połowie stycznia odbędzie się ogólne zebranie członków i wtedy zostaną określone kierunki działań. W każdym razie ZZPTiA chce być atrakcyjny dla swoich członków i konkurencyjny w stosunku do innych związków. Czy uda się zrealizować wszystkie pomysły? Wiele będzie zależało od przygotowywanej (ale szkoda, że nie konsultowanej) ustawy o związkach zawodowych.

M.K.

Warszawa

— Czy zetknął się pan z przypadkiem niejakiego Frenkla, zameldowanego na stałe w Archangielsku? — spytał pan Miecio.

— Nie mam zamiaru szukać kontaktu. — Dlaczego pan powstrzymuje swoje naturalne zapędy poznawcze?

— A dlaczego pan nie kieruje swoich zainteresowań w kierunku bieguna północnego czy Portugalii, ale akurat na wschód?

— Odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

— Tylko i wyłącznie z tego powodu, że akurat w Archangielsku, a nie w Lizbonie żył i działał niejaki Frenkiel.

— Twórca nowej ideologii czy ofiara stalinowskiej swawoli?

— Ani jedno, ani drugie — wzruszył ramionami pan Miecio.

— W takim razie dlaczego zainteresował się pan akurat tym Frenkiem, a nie Frenkiem żyjącym w naszym kraju, czy też w Nowym Jorku.

— Bo Frenkiel z Archangielska to niezwykły człowiek. Dzięki sile woli potrafił wstrzymać ruch.

— Cooo?

— To co pan słyszy, była w tym człowieku taka moc, że jak tylko spojrzał na motocykl, czy samochód, to te bezduszne maszyny stawały jak wryte.

— Panie Mieciu, w stanie wojennym my też przeżywalimy nalot bioenergetycznych i specjalistów od nauk tajemnych. Widocznie droga od komunizmu do kapitalizmu wiedzie przez Ciemnogród.

— Pan sobie kpisz ze zjawisk, których nie jest w stanie zgłębić miedź szkiełko i oko, a tymczasem Frenkiel rzucił wyzwanie kolei transsyberyjskiej.

— Dynamitem, czy miną przeciwczołgową?

— Wzrokiem, drogi panie, wzrokiem. Stanął na torach i przy świadkach postanowił udowodnić, że jest silniejszy od elektrowozu.

— Było co zbierać?

— Tak, bo maszynista w porę go zauważył, ale niestety dokończył żywota w szpitalu. Tłumaczył się ponoć, że przed próbą zjadł nieświeżą rybę i to go oślabiło.

— Panie Mieciu, przypadek Frenkla jest godny uwagi ze względu na jego tragiczność, ale wydaje mi się, że należy się interesować zjawiskami, które dzieją się pod naszym nosem, w majestacie prawa i za kilka lat sprawią, iż staniemy się pośmiewiskiem całego świata.

— Czy można wiedzieć co pan masz na myśli?

— Otóż ostatnio na Dolnym Śląsku przemieszczają się dobrzy Niemcy, z dobrymi markami i poszukując bezdzietnych staruszków, aby zagwarantować im stumarkową rentę do końca życia.

— Na pierwszy rzut oka piękny gest, ale nie wierzę w jego bezinteresowność. Podejrzewam, że staruszkowie są namawiani do tego, aby podpisali volkliste.

— Nie zgadł pan, panie Mieciu. Staruszkowie proszeni są o drobną przysługę, która polega na tym, aby w imieniu rentodawcy zakupili na swoje nazwisko gospodarstwo rolne i jednocześnie sporządzili testament, że po ich śmierci nieruchomości rolne zostaną przekazane Niemcom.

— Cwena to, ale o ile mi wiadomo, to cudzoziemiec nie może być właścicielem takiej posiadłości.

— Jeszcze nie panie Mieciu, ale za rok lub dwa stan prawny ulegnie zmianie, gdyż wszystko przecież zostanie urynnowione...

— Chryste Panie, ci staruszkowie nie mają za grosz poczucia obywatelskiej odpowiedzialności — wpadł mi w słowo pan Miecio.

— Przecież jak tego typu transakcje staną się powszechne, to faktycznie będziemy mieli i mniejszość niemiecką i V kolumnę, a na Wigilię zamiast polskich kołęd, będzie śpiewane po wsiach „O Tannenbaum”.

— Panie Mieciu, potrzebny byłby jakiś taki Frenkiel z Archangielska, który zatrzymałby tego typu machinacje.

— Po co aż Frenkiel, wystarczy jeden mądry prawnik, który opracuje sensowne przepisy, ale uszczupli prawnicy zajęci są akurat reformowaniem marginesu społecznego, więc nie mają czasu dla normalnych ludzi.

— W takim razie uczmy się już dzisiaj śpiewać na niemiecką nutę panie Mieciu, bo to pewnie jak amen w pacierzu, że nim się polapiemy, to nas wykupią.

WACŁAW DOMINIK

● Programy nadawane w Związku Radzieckim i Czechosłowacji legnickim oglądają od dawna. O TV5 i innych zachodnich stacjach mówi się w mieście od kilku miesięcy. Czy te czerwone skrzyńki nad hotel „Cuprum” oznaczają, że to już?

— Tak, zaczęliśmy próbne emisje. Na razie dysponujemy nadajnikiem małej mocy, dokładnie trzywatomym. Zadowoleni powinni być mieszkańcy starej części miasta, mniej więcej w promieniu półtora kilometra od „Cuprum”.

● Słusznie więc rozczerowani są mieszkańcy Piekara?

— Rzeczywiście mogą być niezadowoleni. Jest to jednak kwestia czasu lub... pieniędzy. Czasu — jeśli chcemy oglądać programy telewizji satelitarnej za darmo, bo nadajnik o mocy blisko 100 W obiecali Francuzi. Attache Serge Oblain rozmawiał już o tym w Paryżu i radzi czekać. A po pięciu kosztuje — pieniądze na nadajnik trzeba byłoby zebrać od użytkowników. Nie chciałem zaniechać starań, trwających blisko rok i stąd próbny nadajnik...

● Dlaczego na „Cuprum”?

— Nadajnik na „Cuprum” zapewni najlepszy odbiór w starej części miasta, a więc w budynkach, które nie mają anten zbiorczych. Za pomocą bardzo prostej anteny uzyska się tam dobrą jakość obrazu. Na Piekarach należy dostosować istniejące anteny zbiorcze lub użyć anteny indywidualnej.

● Kto finansuje legnicką telewizję satelitarną?

— Wszystkie koszty pokrywa huta, maszt natomiast szybko i tanio zmontowali fachowcy z „Agrometu”. Za emisję programu francuskiego nie będziemy płacić dzięki umowie zawartej pomiędzy rządami, liczymy też na ten bezpłatny nadajnik.

● TV5 — jaki to program? Nie jest chyba tak atrakcyjny jak Sky czy RTL. I język francuski mniej popularny niż angielski?

— Jest to program zbliżony do naszej „jedynki”, może więcej w nim audycji muzycznych, programów „na żywo”. Jeśli od stycznia będzie można nieodpłatnie emitować inne zachodnie stacje, postaramy się program urozmaicić.

● Co można zobaczyć już teraz?

— Testujemy nadajnik i przez 24 godziny, prezentujemy różne programy. To jest zaleta próbnego urządzenia. Można się zorientować, które programy są najciekawsze czy najzabawniejsze, zdecydować co będziemy oglądać później

bliżej świata

Kanał 42

Z RYSZARDEM ASZURKIEWICZEM, specjalistą elektronikiem w Hucie Miedzi „Legnica”, inicjatorem i realizatorem telewizji w Legnicy, rozmawia Lucyna Haluch

● Może pan podać program na najbliższy tydzień?

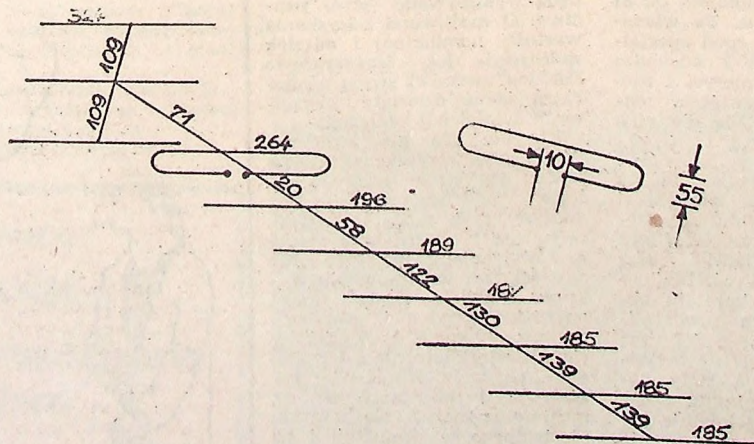
— Próby trwają od kilku dni. Nie mamy jeszcze planu, ale odebrałem już sporo telefonów o konkretne programy. Trzeba będzie o tym pomyśleć.

● A jeśli ktoś zażyczy sobie na przykład teledysków?

— To jest do załatwienia. Polecam sobotni program RTL.

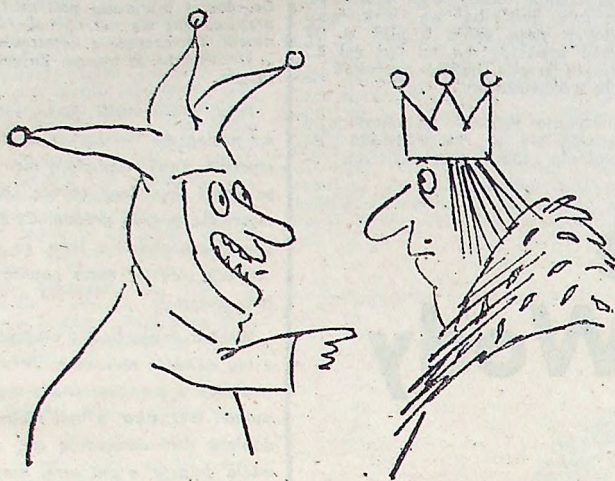
● Dziękuję za rozmowę.

PS. Za tydzień przedstawimy schemat anteny indywidualnej, mimo że po zamontowaniu właściwego nadajnika wystarczy dipol, a nawet antena prętowa.



Uwłaszczanie

Włodzimierz Kałski



-ZAŁOŻYMY SPÓŁKĘ!

Prokuratura Wojewódzka i prokuratura rejonowa z Legnickiego zakończyły przed kilkunastoma dniami zleceną przez Prokuraturę Generalną w ramach prokuratorskiej kontroli przestrzegania prawa kontrolę prawidłowości powoływania i funkcjonowania spółek z udziałem przedsiębiorstw państwowych, spółdzielczych, instytucji i urzędów oraz udziału w nich osób zajmujących kierownicze stanowiska. Kontrola miała odpowiedzieć na pytanie, czy i w jakim zakresie w 1989 roku naruszono przepisy prawa w związku z powoływaniem i funkcjonowaniem wspomnianego typu spółek.

Spółród 188 spółek zarejestrowanych w Legnickim między 1 stycznia a 15 listopada 1989 roku, 28 miało kapitał mieszany, a więc w ich skład weszły osoby prawne. Kontrola objęła 26 spośród nich.

Z jednym wyjątkiem — nie stwierdzono przypadków naruszenia przepisów obowiązujących przy rejestracji. Tym wyjątkiem jest zarejestrowane przez Sąd Rejonowy w Legnicy 8 maja br. Przedsiębiorstwo Uspecjalnione „Młynorol” z siedzibą w Zimnicy, którego udziałowcami są: Przedsiębiorstwo Remontowo-Montażowe Przemysłu Zbożowo-Młynarskiego we Wrocławiu, Państwowy Ośrodek Maszynowy w Legnicy i Okręgowe Przedsiębiorstwo Przemysłu Zbożowo-Młynarskiego Państwowe Zakłady Zbożowe w Bolesławcu. Jako przedmiot działania spółki udziałowcy wskazali prace remontowe dla rolnictwa, montaż maszyn i wykonywanie usług dla przedsiębiorstw rolni-spożywczych. Trzeba więc sprawdzić, czy działanie kierownictwa firm, które weszły w spółkę, nie narusza interesów tych firm, oraz czy zawiązanie spółki nie narusza przepisów ustaw o niektórych warunkach konsolidacji gospodarki narodowej, lub o przeciwdziałaniu praktykom monopolistycznym w gospodarce.

Wśród spółek objętych kontrolą znalazło się 14 takich, w skład których weszły osoby sprawujące kierownicze funkcje w przedsiębiorstwach, spółdzielniach, administracji państwowej, organizacjach społecznych i partiach politycznych. I tak:

■ dziesięciu dyrektorów państwowych przedsiębiorstw ma udziały w sześciu spółkach; pięciu z nich wchodzi w skład zarządów spółek;

■ 28 osób zajmujących w przedsiębiorstwach państwowych inne kierownicze stanowiska posiada udziały w siedmiu spółkach. Siedem z nich zasiada w zarządach tych spółek;

■ w skontrolowanych spółkach ma udziały 17 osób pełniących kierownicze

funkcje w spółdzielczości. W zarządach spółek zasiada 7 spośród nich;

■ w spółkach mają udziały tylko dwie osoby pełniące odpowiedzialne funkcje w administracji państwowej. Obie są udziałowcami jaworskiej spółki „Jarpol”;

■ w dwóch spółkach udziałowcami są osoby pełniące funkcje w organizacjach zawodowych i społecznych, oraz w partiach politycznych. W polkowickiej spółce „Skarbek” udziały mają I sekretarz KZ PZPR oraz wiceprzewodniczący ZZ ZSMP w Zakładach Górniczych „Polkowice”.

Udział osób, o których wspominałem, koncentruje się tylko w niektórych spośród kontrolowanych spółek. Można je w związku z tym nazwać „spółkami prominentnymi”. To te właśnie spółki, niezależnie od legalności ich zawiązania, są przedmiotem szczególnego społecznego zainteresowania. Oto przykłady:

W Zakładzie Produkcyjno-Usługowym „Globus” w Złotorzy, obok Spółdzielni Pracy „Vitrum”, udziałowcami są także m.in. dyrektor Zakładu Aparatury Spawalniczej „Aspa” we Wrocławiu, prezes i główny księgowy spółdzielni „Vitrum”. Udziałowcami Przedsiębiorstwa Produkcyjno-Handlowego „Lenar” w Wilkowie, obok Zakładu Usług Górniczych „Lena” są także dyrektor naczelny „Leny”, jego dwóch zastępców, szef produkcji, główny konstruktor, główny mechanik, główny energetyk, zastępca głównego księgowego oraz trzech kierowników działów.

Twórcami Przedsiębiorstwa Produkcyjno-Usługowego i Handlowego „Jarpol” w Jaworze są, obok Spółdzielni Mieszkaniowej i reprezentującego Skarb Państwa naczelnika Jawora oraz Rzemieślniczej Spółdzielni Wielobranżowej w Jaworze, także prezes wspomnianej spółdzielni mieszkaniowej, jego zastępca, jeden z członków rady nadzorczej, dyrektor spółdzielni wielobranżowej i jego zastępca, dyrektor Urzędu Telekomunikacyjnego w Jaworze, kierownik Wydziału Oświaty i Kultury Fizycznej Urzędu Miasta oraz I sekretarz KR PZPR w Jaworze.

Długa jest lista „prominentów” tworzących, obok Zakładów Mechanicznych „Legmet”, Przedsiębiorstwo Produkcyjno-Handlowe i Projektowe „Lemex” w Legnicy. Są wśród nich m.in. główny inżynier do spraw rozwoju, trzech kierowników wydziałów, główny mechanik, kierownik odlewni, kierownik narzędziowni i główny konstruktor. Podobnie rzecz się ma w przypadku Przedsiębiorstwa Wielobranżowego „Komersbud” w Legnicy. Udziały mają w nim Legnicka

Spółdzielnia Mieszkaniowa, „Inwestprojekt” i Centrum Usług Techniczno-Organizacyjnych Budownictwa — Spółdzielnia Pracy, ale także m.in. prezes spółdzielni mieszkaniowej i jego zastępca, prezes „Inwestprojektu” i prezes CUT-OB — SP. Na marginesie dodam, że niektórzy spośród udziałowców są także członkami innej, założonej w 1988 roku (a więc nie objętej kontrolą) spółki „Omega”, a prezes „Inwestprojektu” Jan Lewandowski jest udziałowcem bulwersującej opinii publiczną spółki „Inwest”.

Prominentów — udziałowców spółek było więcej, ale niektórzy z nich sprzedali swoje udziały. I tak w sierpniu ze spółki „Komako” wycofał się naczelnik Jawora. W październiku sprzedali swoje udziały w „Lemexie” dyrektor naczelny, jego zastępca, dyrektor ds. ekonomicznych i główny inżynier ZM „Legmet”. Udziałów w „Kermazycie” pozbyli się dyrektor ds. technicznych i główny mechanik zakładów „Ponar-Chocianów”, ze spółki „Stamar” wystąpił dyrektor Zakładu Doskonalenia Zawodowego i dyrektor Inspektoratu PZU w Legnicy.

Tylko w pięciu przypadkach osoby będące przedmiotem zainteresowania kontrolerów przystąpiły do spółek, w których udziałów nie mieli ich pracodawcy. Dotyczy to I sekretarzy KR PZPR w Jaworze i KZ PZPR ZG „Polkowice”, dyrektora UPT w Jaworze i dwóch innych dyrektorów.

Prokuratorzy stwierdzili, że udziały jednostek gospodarki uspołecznionej nie wiązały się z przeniesieniem do spółek majątku przedsiębiorstw, Skarbu Państwa lub spółdzielni. Oprócz wkładów pieniężnych często stosowane było oddawanie spółce w użytkowanie maszyn, urządzeń i pomieszczeń, które stanowiły aporty. Ponadto praktykowano zawieranie, oprócz umowy o zawarciu spółki, także umów o dzierżawę pomieszczeń i urządzeń. Nie stwierdzono naruszeń prawa w zakresie przekazywania majątku spółkom.

Niemniej, w związku z ustaleniami kontroli, Prokuratura Wojewódzka zwróciła się z wnioskiem do Izby Skarbowej o skontrolowanie trzech spółek. Przypadek „Młynorolu” opisałem już powyżej. Dwie pozostałe, to „Globus” i „Lenar”. Spółka „Globus” nabyła od spółdzielni „Vitrum” maszyny do nawijania drutu, które wcześniej „Vitrum” zakupiła w zakładach „Aspa” we Wrocławiu. Przypomnę, że udziałowcami tej spółki są spółdzielnia „Vitrum”, jej prezes i główny księgowy oraz dyrektor „Aspy”. Co do „Lenaru”, to spółka ta prowadzi działalność produkcyjną korzystając z pomieszczeń produkcyjnych, maszyn i urządzeń stanowiących własność „Leny”, które nie zostały spółce ani przekazane jako aporty, ani przez spółkę nie wydzierżawione.

Stwierdzono także w czasie kontroli, że środki finansowe zadeklarowane w oświadczeniach złożonych w Sądzie Rejonowym w Legnicy przez Przedsiębiorstwo Budowy Obiektów Użyteczności Publicznej „Budopol” w Legnicy jako udział w spółce „Sawien-Budopol” oraz przez ZM „Legmet” jako udział w spółce „Lemex”, nie zostały zgromadzone do dnia kontroli. Prokuratura Wojewódzka powiadomiła o tym Sąd Rejonowy, który wyciągnie przypisane prawem wnioski (art. 173 Kodeksu Handlowego).

Kontrola ujawniła, że spółki w zdecydowanej większości dysponują nie wielkim kapitałem zakładowym. Jedynie w dziewięciu z nich przekracza on 1 mln zł, z czego w sześciu przekracza 10 mln. Spółki o największym kapitale zakładowym, „Agropur” Głogów (udziałowcy — Państwowe Gospodarstwo Rolne z Głogowa, Grębocic, Jerzmanowej, Kotli, Peławia i Wierzchowic; kapitał — 70 mln zł) i „Budrem” Łagoszów Wlk. (udziałowcy — naczelnik gminy Radwanice reprezentujący Skarb Państwa, PGR Jerzmanowa i Zakłady Górnicze „Sieroszewice”; kapitał — 18 mln zł), to spółki składające się wyłącznie z jednostek gospodarki uspołecznionej.

Spółki działalności produkcyjną i usługową prowadzą często wykorzystując lokale, maszyny i urządzenia firm, które są w spółkach udziałowcami. Zakres działania większości spółek jest najczęściej w umowach o ich zawarciu określony bardzo szeroko. Praktycznie jest to działalność gospodarstwa o identycznym lub zbliżonym profilu do działalności jednostek gospodarki uspołecznionej będących ich udziałowcami.

Obowiązujące prawo na wiele pozwala, dlatego tylko nieliczne z kontrolowanych spółek spotykają represje karne i finansowe. Działalność pozostałych osądzi (?) opinia publiczna.

Prawdopodobnie już niebawem prokuratura zaprzestaną kontroli w zakresie przestrzegania prawa. Stanie się tak z woli ministra sprawiedliwości, który przejmie nad nimi nadzór.

Komu te kontrole przeszkadzały?

Bazar

Maszyna dziewiarska Jednopletywa „Ada” — 300.000 zł telewizor „Elektron 739D” — 1.100.000 zł, narty „Polsport Compact” 150 cm z wiązaniami — 220.000 zł, 150 cm — 180.000 zł, dywan wełniany 2x3 m (prod. CSRS) — 780.000 zł, papier toaletowy — 500 zł, pomarańcze 1 kg — 6500 zł, 3 kg — 19.000 zł, mandarynki 1 kg — 9500 zł, banany 1 kg — 9000 zł, kiwi 1 szt. — 2000 zł, wędzarka elektr. 20 kg — 350.000 zł, 2 kolumny „Altus” 140” — 800.000 zł, odtwarzacz wideo „Multitech” — 380 USD, telewizor „Raduga” przestrojony — 1.700.000 zł, telewizor „Neptun” — 3.100.000 zł, kawa „Alvorada” 250 g — 8000 zł, bomboniera 400 g (prod. RFN) — 17.000 zł, namiot 4-osobowy — 480.000 zł, zegar kuchenny „Janitar” (prod. radz.) — 45.000 zł.

Auto -- giełda

W Legnicy:

Flak 126p (1978) 3,5 mln zł, (1982) 4,5-5 mln zł, 750 USD, (1989) 11-12 mln zł, Flak 125p i FSO — (1977) 4,7 mln zł, (1981) 6 mln zł, (1984) 10 mln zł, Polonez (1981) 10,5 mln zł, 1250 USD, (1983) 12 mln zł, BMW 520 (1977) 1500 USD, Volkswagen Golf (1975) 1350 DM, 1200 USD, Volkswagen Passat (1987) 6500 USD, Peugeot (1981) 2300 USD, Audi 80 (1980) 2400 USD, Audi 100 (1978) 14 mln zł, Wartburg (1982) 8 mln zł, (1987) 12,5 mln zł, Skoda 105S (1982) 1500 USD, (1983) 1550 USD, Mercedes 200D (1973) 1400 USD, (1974) 1600 bonów (1934) 6000 USD, Opel Kadett (1983) 3400 DM, Flak 128 (1977) 1400 USD, Ford Taunus (1979) 9 mln zł, Zastawa 1100p (1979) 5,9 mln zł, Trabant (1973) 2 mln zł, Syrena 104 (1971) 1,1 mln zł, Dacia (1983) 6,5 mln zł, 820 USD, Lada (1977) 6,3 mln zł, (1986) 2400 USD, Skoda 130 (1983) 3500 USD.

W Lublinie:

Flak 126p (1978) 2,9-3 mln zł, (1979) 3,4-3,6 mln zł, (1980) 3,9-4 mln zł, (1981) 4,1-4,6 mln zł, (1982) 4,5-4,8 mln zł, (1983) 5,6 mln zł, 700 USD, (1984) 5,3-5,8 mln zł, (1985) 6-6,5 mln zł, (1986) 7,2-8,7 mln zł, (1987) 9,3 mln zł, 1300 USD, (1988) 10-11,5 mln zł, (1989) 12-13 mln zł, Flak 125p i FSO (1978) 2,7-2,8 mln zł, (1980) 480 USD, (1982) 7,3 mln zł, 570 USD, (1984) 8-8,8 mln zł, (1985) 9-11 mln zł, (1986) 14,5-15 mln zł, (1987) 15-17 mln zł, (1988) 19,6-20 mln zł, (1989) 21 mln zł, 2900 USD, Polonez (1980) 7,2 mln zł, (1984) 2100 USD, (1986) 2250 USD, (1987) 2600-2900 USD, (1988) 4000 USD, (1989) 4250 USD, Skoda 120L (1982) 1200 USD, Skoda 105S (1981) 7,9 mln zł, (1983) 10 mln zł, Lada (1981) 800-1000 USD, (1982) 6,7-7,5 mln zł, (1985) 13,5-14,5 mln zł, Wartburg (1977) 4,5 mln zł, (1978) 7 mln zł, (1982) 7,8-8,4 mln zł, (1985) 1200-1300 USD, Dacia (1981) 6,7 mln zł, (1983) 11,2 mln zł, (1984) 12,3 mln zł, Zaporozec (1976) 2,8 mln zł, Zastawa 1100p (1978) 4,5 mln zł, (1979) 5,5 mln zł, (1980) 5,6 mln zł, Volkswagen Polo (1979) 3000 DM, (1986) 2000 USD, Volkswagen Golf (1975) 1550 USD, (1981) 2400 USD, Ford Escort (1986) 5300 USD, (1987) 13 400 DM, Ford Sierra (1985) 11 400 DM, BMW (1979) 3500 DM, Nisa (1982) 7,6 mln zł, (1986) 11 mln zł, Zuk (1983) 8,3 mln zł, (1988) 1600 USD.

Waluta — złoto

Wczoraj rano Bank PKO w Legnicy kupował dolary po 7000 zł, marki RFN po 4200 zł, bony po 7500 zł, sprzedawał dolary po 7600 zł, marki po 4400 zł, bony po 7400 zł, Kantor „Exchange” kupował dolary po 7600 zł, marki RFN po 4300 zł, bony po 7000 zł, marki NRD po 350 zł, ruble po 500 zł, korony po 140 zł, fornty po 60 zł. Sprzedawał dolary po 8000 zł, marki RFN po 4600 zł, marki NRD po 500 zł, ruble po 700 zł, korony po 250 zł, fornty po 90 zł.

Kantor „Exchange” kupował złoto próby „14” po 40 000 zł, próby „18” po 45 000 zł, za 1 g. Sprzedawał złom próby „14” po 48 000 zł, próby „18” po 53 000 zł za 1 g.

ogłoszenia

Przedsiębiorstwo Handlu i Usług

„S O W A L”

Legnica, Czerwonych Maków 9

K U P I

ciągnik siodłowy „Jelcz — Kamaz” cementowóz lub „Żuka”.

Prowadzi sprzedaż cementu 350 luzem z dostarczeniem na plac budowy. Organizuje wycieczki 1-dniowe do Wiednia i Berlina, tel. 262-78, 45-10-16.

78930-g

Z A P R A S Z A M Y

do nowo otwartego

KANTORU WYMIANY WALUT

w Lubinie, ul. 1 Maja 17a, tel. 44-13-00

(naprzeciwko stacji CPN w mieście).

U nas najkorzystniej dokonasz wymiany walut.

Garantujemy pewność transakcji.

8142-g

Konkrety 5

Do tej budowy przylgnęła nazwa Wielka Woda. Takie były wtedy czasy — wielkie plany, inwestycje, pieniądze. Wielki optymizm chociaż często bez pokrycia. — Trudno powiedzieć dzisiaj, czy pomysł był dobry, czy zły. Czy należało budować kilkanaście cherlawych wodociągów w województwie, czy jeden elastyczny system? — zastanawia się Tadeusz Bojarowski, dyrektor Wojewódzkiej Dyrekcji Inwestycji w Legnicy.

Miedź miała przynieść wielkie zyski, ale i wielkie straty. Przede wszystkim zakłócenia w przyrodzie, których często nie da się już naprawić. Postępujący zanik wody w tradycyjnych ujęciach, pogarszanie się jej jakości, to też koszty w kalkulowane w program rozwoju kombinatu. Bez wody trudno było kreślić jakiegokolwiek wizje: w produkcji, budownictwie, oświacie itd.

Perspektywa zniszczenia głębinowych studni kazała więc myśleć już na początku kariery regionu o wodzie. Projekt zbudowania systemu wodociągowego w LGOM, opartego na zasobach wód powierzchniowych zlewni rzeki Kaczawy powstał jeszcze przed narodzinami województwa. Oficjalne przyzwolenie, hasło do rozpoczęcia budowy dała uchwała Rady Ministrów nr 156 z 1973 roku, w której rząd formułował konieczność przyspieszenia tempa rozwoju przemysłu miedziowego. Więcej miedzi, a więc i więcej mieszkań, szkół, dróg, sklepów — no i wody. Taką konieczność dostrzegała również Wojewódzka Rada Narodowa we Wrocławiu, która rok później zatwierdziła program rządu.

Na Wielką Wodę

miały złożyć się cztery, integralnie związane ze sobą elementy: ujęcia z Kaczawy o wydajności 200 tys. m sześć. na dobę, ujęcia infiltracyjne o wydajności 100 tys. m sześć. na dobę, Zakład Uzdantnia Wody i system przesyłowych rurociągów wody czystej do wielu odbiorców w zagłębiu. Inwestycje rozpisano w czasie i aż na siedem tzw. przedsięwzięć. Wielka Woda miała płynąć nie tylko do Legnicy i Lubina, ale również do Polkowic, Ścinawy, Rudnej, Chocianowa. Ambitne plany kurczyły się jednak z roku na rok, aż na liście zostały tylko trzy przedsięwzięcia. I tak jest do dzisiaj.

Na początku tempo było nawet imponujące. Do 1974 r. Biuro Projektów Budownictwa Komunalnego we Wrocławiu uporało się z założeniami techniczno-ekonomicznymi. Obowiązki głównego wykonawcy przyjął Poznańskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Wodno-Inżynieryjnego „Hydrobudowa 7”, które zaczęło niekonwencjonalnie, bo od... końca czyli od ułożenia 26-kilometrowego rurociągu na trasie z Legnicy do Lubina. Jeszcze nie było wody, ale była rura i to zakupiona w RFN za dewizy. Dostawca po prostu solidnie wywiązał się z zamówienia. Rury znalazły się na placu błyskawicznie, bank goził konsekwencjami, nie było więc innego wyjścia jak tylko zakać.

Rura o przekroju jednego metra czekała w ziemi na wodę kilkanaście lat, ponieważ dopiero wiosną tego roku do Lubina popłynęły pierwsze litry. Do 1977 r. „Hydrobudowa” uporała się też względnie gładko z rozbudową ujęć i starego pomieckiego zakładu w Legnicy. I to był w zasadzie koniec wielkiego tempa. Dwa następne przedsięwzięcia — czyli rozbudowę ujęć w Przybkowie do wydajności 200 tys. m sześć. na dobę i nowy Zakład Uzdantnia Wody oraz układ przesyłowy z Przybkowa do Chrostnika wraz ze stacją wodociągową w Chrostniku — rozbijane na podpunkty, etapy i podetapy — trudno zamknąć do dzisiaj. Reszta — czyli woda dla Polkowic, Rudnej, Ścinawy — to bardzo odległa przyszłość. Wielki znak zapytania!

Zdaniem dyr. Bojarowskiego

rurociąg do Lubina

i zakład w Chrostniku (pierwszy termin — 1981 r.) już dawno można było oddać pod klucz, ale po co. Chrostnik jest ostatnim ogniwem w tym łańcuchu, bez Przybkowa i tak nie może ruszyć pełną parą. Czas działa destrukcyjnie na maszyny, urządzenia i obiekty. Po tylu latach czekania z pewnością kwalifikowałyby się do generalnego remontu.

Przybków był i jest do dzisiaj największą zaporą Wielkiej Wody. Ambicje i roznach hamowała po prostu wielka niemoc — coraz bardziej wszechobecna w gospodarce, ale nieobecna w planach i hasłach tamtych lat. — Wtedy dla tej inwestycji nie brakowało pieniędzy. Budowa kuląa głównie z powodu braku wykonawców. I to był najpoważniejszy problem — twierdzi dyr. Bojarowski.

Impotencję tzw. potencjału wykonawczego pokonywano terapią przymusu,

najczęściej w warszawskich klinikach. Chociaż „Hydrobudowa” nie paliła się do pracy przy obiektach Wielkiej Wody, Zjednoczenie Budownictwa Wodno-Inżynieryjnego w Warszawie wyznaczyło właśnie tę firmę na generalnego wykonawcę. Wkrótce „Hydrobudowa” przemianowała się na „Energo” i rozpoczęła podbój radzieckiego rynku na budowach gazociągów, pozbywając się bez wahania obowiązków generalnego wykonawcy legnickiego systemu wodociągów.

Znow woda powróciła do źródła. Czas tonął w jałowej przepychance z budowlanymi. Następni terapeuci, tym razem Zjednoczenie Przedsiębiorstw Budownictwa Przemysłowego „Zachód” we Wrocławiu, pokazali na Wrocławskie Przedsiębiorstwo Robót Inżynieryjnych i Wrocławskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego nr 1. Pierwsze miało zająć się rozbudową ujęć i przepompownią przewalową, drugie Zakładem Uzdantnia Wody. Wyznaczonych

W lustrze Wielkiej Wody

Wanda Dyba'ska

wykonawców nie przekonywały jednak żadne argumenty, nawet uchwały Rady Ministrów zobowiązujące do rozpoczęcia robót. Centralni planiści fedrowali ambitnie, windując na papierze produkcję miedzi do niebotycznych rozmiarów. Tomy, tony, ale Wielkiej Wody wciąż ani kropli. Wręcz przeciwnie — opóźnienia na budowie były już tak duże, że magiczną produkcję 200 tys. m sześć. na dobę należało przykroć do rzeczywistości.

W 1978 r. z zaplanowanych funduszy sięgających 154 mln

nie udało się wydać ani złotówki.

Dopiero groźby i interwencja władz wojewódzkich w Komisji Planowania przy Radzie Ministrów złamały upór firm. W umowach negocjowanych w wielu punktach przed komisją arbitrażową, wyśrubowano terminy. W ciągu 39 miesięcy (do listopada 1981) miały być gotowe ujęcia wody i przepompownia, w ciągu 46 miesięcy (do lipca 1982 r.) należało uporać się z Zakładem Uzdantnia Wody, do lutego 1981 r. czyli w ciągu 17 miesięcy z rozbudową ujęć infiltracyjnych. Tempo europejskie, ale w polskim wydaniu. Precyzowane w rządowych monitorach produkcyjne cykle wydłużały się w kalendarzu. I trwają do dzisiaj.

Budowę Wielkiej Wody dla zagłębia miedziowego wizytowali premierzy, ministrowie, dyrektorzy departamentów, najwyżsi partyjni dostojnicy. Uczestniczyli nawet w roboczych naradach, wyjeżdżając z Legnickiej z notesami wypełnionymi „historią” wodociągów. I nic. Podsumowanie 1979 r. wypadło gorzej niż źle. Minęło piętnaście miesięcy, prawie połowa inwestycyjnego cyklu, a na prace przy ujęciu wody i przepompowni wydano zaledwie 33 proc. środków. Na budowie Zakładu Uzdantnia Wody też roczne opóźnienie, a zaplanowane środki wykorzystane tylko w 40 proc. Rozbudowa ujęć infiltracyjnych nawet nie ruszyła z miejsca, bo wykonawca zabrał się do dzieła późną jesienią, przeszkodziła więc zima. Koszty inwestycji obciążono odszkodowaniami za przejęte grunt i dokumentację. Razem ponad 13 milionów.

Inwestycyjne cykle pozostały fikcją. Slimacze tempo i opóźnienia mściły się nie tylko na ludziach, terminach, ale przede wszystkim na państwowej kasie. Czas nie tylko niszczył zbudowane już obiekty, ale również weryfikował koszty. Dzisiaj za Wielką Wodę trzeba już zapłacić nie kilkanaście, ale kilkadziesiąt miliardów. Cena spóźniałstwa, niekompetencji, niemożności, rozdeptanej polityki?

Jeszcze dzisiaj największymi grzechami obarcza się głównie budowlanych — bo upierali się, rzucali słowa na wiatr, nie potrafili... W tej chwili

na placu boju

zostało tylko Lubieńskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego od-

powiedzialne za obiekty kubaturowe. Też przymuszone (ale przez władze wojewódzkie) do przyjęcia zadań przerażających jego siły i możliwości, czyli tzw. potencjał. Mimo to wiosną tego roku wszystko wskazywało na to, że Wielka Woda popłynie wreszcie rwącym strumieniem do odbiorców nie tylko w Legnicy, ale i w Lubinie. We wróżby u wierzyła nawet prasa, która po przesłaniu w ramach rozruchu do Lubina pierwszych litrów donosiła: „Przybkowski zakład daje już wodę tak potrzebną Legnicy i innym miejscowościom w zagłębiu miedziowym (...) ciągle jeszcze na budowie trwają roboty wykończeniowe. W tym roku potrzeba na wykonanie niezbędnych prac około 3 mld zł. W tej chwili inwestor ma na ten cel 2,7 mld, resztę trzeba będzie poszukać w budżecie wojewódzkim”.

Kosmetyczne roboty wykończeniowe „sprowadzają się w rzeczywistości do uruchomienia kilku podstawowych o-

biektów umożliwiających uzdatnianie wody czerpanej z Kaczawy. W tej chwili system Wielkiej Wody uzależniony jest od starego legnickiego zakładu. Woda musi przepłynąć przez stare, wysłużone urządzenia, aby mogła nadawać się do picia. Braki finansowe zaś są tak dotkliwe i zasadnicze, że we wrześniu tego roku w Urzędzie Wojewódzkim w Legnicy debatowano poważnie nad zatrzymaniem inwestycji na jakiś czas.

— Dzisiaj utknęliśmy. Od półroczu brakuje nam pieniędzy. Do października uregulujemy część należności, resztę w przyszłym roku, może nawet z odsetkami, ale trudno. Nie zatrzymujemy budowy, bo taki manewr kosztowałby zbyt wiele. Jeżeli będą środki, to w pierwszym półroczu na pewno uporam się z Chrostnikiem, a do końca przyszłego roku zamkniemy tę część inwestycji. Bez pieniędzy trudno wyegzekwować cokolwiek od wykonawcy, bo żeby wymagać, trzeba płacić — mówi dyr. Bojarowski.

Wojewódzka Dyrekcja Inwestycji jako inwestor zastępczy działa w imieniu Legnickiego Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji, inwestora bezpośredniego i przyszłego użytkownika. Ostatnio na kłopoty z wykonawcami i pieniędzmi coraz częściej nakładają się — najogólniej mówiąc — różnice zdań między inwestorami. Zdaniem dyrektora Bojarowskiego Przedsiębiorstwo Wodociągów i Kanalizacji zbyt formalistycznie podchodzi do problemów na budowie. W każdym technicznym zadaniu są kłopoty, które po prostu trzeba pokonywać. Pokonywać, a nie asekurować się: że to odebrane, tamto nie, na to jest papierek na tamto nie ma. Sytuacja jest trudna i ludzie muszą to zrozumieć, próbować niekonwencjonalnych rozwiązań, a nawet ryzykować.

— To nie jest tak, że ja chcę, czy nie chcę, lub żądam oddania obiektów pod klucz. Gdybym był takim formalistą nie powinienem podawać Lubinowi ani kropli, ponieważ do tej pory nie ma między nami spisanej umowy. I być nie może dopóty, dopóki nie zostanie zamknięty cykl wody czystej. Ja muszę przestrzegać przepisów zarówno prawa wodnego jak i sanitarnego. Wszystkie elementy systemu muszą być wykonane zgodnie z projektem, bo jeżeli tak się nie stanie, sanepid nie dopuści do uruchomienia systemu. W tym zakładzie nie można pozwolić sobie na nonszalanecję, podchodzić do problemów według zasady: uda się, albo się nie uda. Woda to przecież życie miasta — dowodzi Tadeusz Bacmański, który na początku grudnia br. złożył rezygnację z zajmowanego stanowiska.

Wyda się, że wszyscy mają rację, ale na budowie drepczą w miejscu. Dlaczego? Na to pytanie, próba odpowiedzi następnym razem.

P.S. Wszystkie informacje dotyczące dziejów budowy systemu Wielkiej Wody pochodzą z rozmów i opracowań udostępnionych w Wojewódzkiej Dyrekcji Inwestycji.

Widmo

Kogo dziś najłatwiej krytykować? Tak, tak... partię. Kiedyś wystarczyła byle aluzja lub choćby spadek piłkarzy o jedną ligę w dół i już można było wylecieć na pysk. Dziś nawet ostre „targanie po szcękach” nie wywołuje żadnej reakcji. Ba, nawet oficjalnej polemiki nikt nie przysłał, nikt się nie obraził, nie skrzywił nawet. Towarzyście z komitetów przestali zwracać na to uwagę. Zająć się czymś innym.

Fakt, wielu myśli, jakby załapać się na pociąg do Warszawy w okolicach 27 stycznia. Inni rozglądają się nerwowo za jakąś „cywilną” robotą. Jeszcze inni wytrwale prą do przodu. Ci chyba najwięcej zrozumieli z tego, co się stało 4 czerwca i co się może powtórzyć przy lada okazji.

Władza przychodzi i odchodzi, a wraz z nią również pieniądze. Jeszcze rok temu nikt w komitetach nie myślał o mamonie. Wszystko to byli ideowcy, którzy dopiero dziś dowiadują się, że partia miała dotacje, a oni sami korzystali z przywilejów (tanie stołówki, samochody służbowe, mieszkania dla kadry). Dziś partia nie ma pieniędzy, Sejm nie da dotacji, a ze składek nie utrzyma się nawet Komitet Centralny.

Zmiany, jakie dokonały się u nas, zmniejszyły tradycyjny obieg pieniędzy. Zamknięcie kurka najbardziej boleśnie odczuwają dziś nie superdeficytowe zakłady, ale... towarzysze z komitetów. Po prostu nie stać ich już na utrzymywanie rozbudowanego aparatu partyjnego. Dlatego nikt nie protestuje przeciw „wyprawadaniu partii z zakładów”, redukcjom w samym aparacie i... komercjalizacji partii. Komitety przestają się dziś zajmować polityką. Stają się ośrodkami zarabiania pieniędzy. Widmo komercjalizacji krąży dziś po partii. Krąży i uderza w to wszystko, co jeszcze jako tako działa. Wielu towarzyszy patrzy na widmo z pobożną nadzieją — a może przypływu pieniędzy w ostatecznym rachunku uratuje polską lewicę od zagłady? Jeśli tak, to nie dziwnego, że nie w głowie im pyskówki prasowe.

W Legnicy na murach i w witrynach sklepowych pojawiły się ostatnio ni to plakaty, ni to zawiadomienia o działalności firmy „Niva”. Jest to przedsiębiorstwo „komitetowe”. Świadczy usługi sprzętem „komitetowym” i ludźmi — nazwijmy ich — z pionu technicznego. Legnica nie jest tu zresztą wyjątkiem. Gdzie indziej poszli dalej i wyprzedają nawet budynki.

Paradoksem komercjalizacji komitetów jest przyjęcie przez nie roli, którą stary Marks przydzielił zgnitym kapitalistom. Krwiopijcom, którzy przywłaszczali sobie wartość dodatkową pracy proletariuszy całego świata. W ten bezenny sposób wykorzystywali ich, a w konsekwencji doprowadzili do... rewolucji, czyli własnego upadku (rzecz jasna — nie wszędzie).

Dopóki partia miała charakter państwowy, przywłaszczała sobie wartość dodatkową w sposób subtelny — poprzez dotacje. Kiedy przestało kapać z tego kurka, partia zrozumiała, że do rewolucji droga wiedzie poprzez... wyzysk pionu technicznego.

P.S. A nie mówiłem? Najłatwiej krytykować dziś partię. Na szczęście powstaje ich już coraz więcej, a PZPR traci monopol na krytykę!

WIESŁAW PIOTRKOWSKI

● Czy rzeczywiście stoimy wobec dy-
lematu: pić czy nie pić? Tym bardziej,
że mowa o wodzie...

— Niestety, tak. Co gorsza, z roku
na rok sytuacja staje się coraz drama-
tyczniejsza. Lata niefrasobliwości wy-
stępują teraz z rachunek, tym trudniej-
szy do zapłacenia, że dzisiaj rzeczywi-
ście pole manewru prawie nie istnieje.

● Jakże są źródła tak dramatycznej
sytuacji?

— Składa się na to wiele czynników.
Od dawna wiadomo, że obszar Polski,
to rejon dużego spadku wskaźnika od-
pływu wód w porównaniu do terenów
przyległych, pomimo bardzo podobnych
warunków klimatycznych. Dlaczego tak
się dzieje — nie bardzo wiadomo. Ko-
lejnym czynnikiem jest niekorzystne
rozczłonkowanie przemysłu. Koncentruje
się on na południu kraju, gdzie rzeki
są jeszcze stosunkowo ubogie w wodę.
Dużo łatwiej ulegają one skażeniu. Na-
sza gospodarka od początku była gospo-
dą braków i niedostatków. O ochronie
przrody myślano niewiele, ważna
była produkcja i czynniki natury spo-
łeczno-politycznej. Doprowadziło to do
podjęcia wielu błędnych, nie tylko z
punktu widzenia ochrony środowiska,
decyzji, jak np. budowy elektrowni Ko-
zience, Zakładów Azotowych w Pula-
wach, Huty Lenina itd.

● Gdzie, pana zdaniem, tkwi szansa
poprawy jakości wody, którą pije-
my?

— Prawie połowa miast pobiera wo-
dę do celów komunalnych i przemysł-
owych z rzek. Podlega ona następnie u-
zdatnianiu i tu, moim zdaniem, tkwi
jeden z wielkich błędów w gospodaro-
waniu wodą. Proces uzdatniania jest
bardzo kosztowny. Tymczasem zużywa
się ją bezmyślnie do podlewania traw-
ników czy zmywania ulic. Wodę tej sa-
mej jakości piją ludzie. To przecież ab-
surd! Człowiek potrzebuje dziennie 2-3
litry płynów. Statystycznie zużywa wo-
dę 10 razy więcej. To właśnie skala
problemu. W państwach wysoko uprze-
mysłowych ludność płaci za wodę. U
nas są to opłaty symboliczne, stąd brak
motywacji do jej oszczędzania. Do pra-
nia czy zmywania można używać wody
gorszej jakości. Ponieważ w wodzie po-
bieranej z rzek jest sporo substancji
szkodliwych dla zdrowia, które nie są
usuwane, należy wodę do picia pobierać
ze źródeł nieskażonych, np. ze studni
artezjskich i sprzedawać ją w butel-
kach, jak ma to miejsce w innych kra-
jach. Uważam, że dla Warszawy jest to
w tej chwili jedyne sensowne rozwią-
zanie. Jakość wody w naszych kranach
jest zła, a w przypadku tej pobieranej
ze zbiornika zegrzyńskiego powinien
zostać wydany zakaz używania do ce-
łów konsumpcyjnych.

● Dlaczego, czyżby groziło to zatrui-
ciem pijących?

— Trudno w to uwierzyć, ale tak!
Część mieszkańców Warszawy ponosi,

Trucizna w szklance (wody)

Z prof. dr. hab. inż. JANEM DOJLIDÓ, kierownikiem Zakładu Chemii i Biologii Wody IM-GW
w Warszawie rozmawia Marek Wołoszyński

nie wiedząc o tym, konsekwencje błęd-
nych decyzji. W założeniu woda ta mia-
ła być lepszej jakości niż wiślana. Nie-
stety, w czasie przeciągającej się budo-
wy zbiornika i ujęcia, uległ zmianie
skład chemiczny wód zalewu. Jest to
efekt uprzemysłowienia i intensyfikacji
rolnictwa w zlewni Bugu i Narwi. W
wodzie znajdują się duże ilości sub-
stancji humusowych, które w trakcie u-
zdatniania tworzą z chlorem bardzo
szkodliwe dla zdrowia chloroformy. Ich
stężenie w wodzie wodociągowej prze-
kracza kilkakrotnie dopuszczalne nor-
my!

● Czy nie ma możliwości przeciw-
działania?

— Można, oczywiście, zamknąć ujęcie.
Tylko co dalej? Przebudowa stacji u-
zdatniania to kwestia czasu i dużych
pieniędzy, których zawsze brakuje.
Szczęściem w nieszczęściu jest duża lot-
ność chloroformów. Gotując wodę przez
10-15 minut pozbywamy się ich pra-
wie zupełnie. To już coś. Tylko należy
o tym ludziom mówić. Czy ludzie od-
powiedzialni za ten stan nie zdają so-
bie sprawy z odpowiedzialności, jaka
na nich ciąży? To, że nie można dokla-

dnie określić ilości ludzi, których cho-
roby zostały zapoczątkowane, czy też
wzmoczone przez trujące substancje
znajdujące się w wodzie, nie może być
okolicznością łagodzącą.

● Jak w świetle przytoczonych fak-
tów wygląda sytuacja zaopatrzenia lud-
ności w dobrą wodę w skali kraju?

— Jakość wody jest generalnie bar-
dzo zła. Jedyne około 11 proc. rzek pro-
wadzi wody I klasy czystości, 23,4 proc.
to II klasa, 26 proc. — trzecia, a poza
normą jest aż 39,8 proc. To zestawienie
najlepiej charakteryzuje skalę proble-
mu. Do tego dochodzi wzrastające za-
nieczyszczenie wód podziemnych, stano-
wionych, bez przesady, strategiczne re-
zerwy wody pitnej. Przy tym w szyb-
kim tempie rośnie zapotrzebowanie na
wodę, głównie na wsi. Na początku
XXI wieku grozi nam jej niedobór.

Ratunek widzę w zdecydowanych
działaniach zmierzających do ochrony
wód i racjonalizacji ich wykorzystania.
Musimy mieć świadomość, że oczysz-
czalnie mechaniczne i biologiczne ju-
ż nie wystarczają. W wielu regionach
niezbędne są oczyszczalnie chemiczne.
Czysta dla oka woda jest już często
rozcieńczoną trucizną. Żeby nie być go-
łosownym: Wisła w roku 1988 dostar-
czyła do Bałtyku m.in.: 20.434 t żela-
za, 12,9 t bardzo trującego kadmu i
39,2 tony rtęci! Te substancje można
zredukować tylko poprzez zmianę tech-
nologii produkcji i oczyszczalnie che-
miczne. Nie wspominam tu o olbrzy-
mich ilościach związków azotu i fosfo-
ru dostarczanych przez rolnictwo. Na-
dziei na poprawę upatruję w prawidło-
wej eksploatacji wód głębinowych, o-
chronie wód powierzchniowych oraz
szeroko rozwiniętej akcji propagando-
wej. Ludzie muszą zrozumieć, że bez
„żywej” wody ich własne zdrowie jest
zagrożone.

● Myślę, że część z nas już to rozu-
mie. Świadczą o tym coraz dłuższe ko-
lejkki przed ujęciami wody artezjskiej
w Warszawie.

— To dobrze, ale skala tego procesu
musi być bez porównania większa. Po-
dziękowaniem za wysiłek będzie szklan-
ka dobrej herbaty.

● Dziękuję za rozmowę.



moje paranoje

Rehabilitacja psubrata

Grzegorz Orawski

Ponoć w Wigilię zwierzęta przemówią
ludzkim głosem. Na legnickim bruku
złotłwicy twierdzą, że to nie nowina,
bowiem pewne sfery przemawiają-
ce, od lat kojarzą się im z ogrodem
zoologicznym, ale... Nie, przed świętami
nie dam się sprowokować do zwyczaj-
nego w tym miejscu koktaju polityki i
magla. Przyznam jednak, że od czasu
— gdy młodzieńcy z „Pomarańczowej
Alternatywy” demonstrowali pod hasłem
„Uwolnić słonia — zamknąć niedźwie-
dzia” — mariaż polityki i zoologii i tak
stał się faktem. Od siebie dodałbym
jednak „i zrehabilitować psa!”.

Tak, właśnie psa, zanim ten wygarnie
nam z grubej rury w wigilijny wieczór.
Zaiste dzwone wiesz łączą nas bowiem
z czworonogiem, którego obłudnie nazy-
wamy swoim najczystszy (najwerniej-
szym) przyjacielem. Bo czy to po chrze-
-

cijańsku, uczciwie i sprawiedliwie, że
WSZYSTKO co najgorsze, krajowy ho-
mo sapiens (?) skojarzył właśnie z psem?
Brednie? Zaraz, a o kim to mówimy:
ty psubratie lub dobitniej sukinsynu —
o przyjacielu, psakrew...?

Tak, doszło do tego, że współczesnemu
troglodycie psi słownik najzupełniej wy-
starczy do opisanego otaczającego go świa-
ta zdarzeń i stanów emocjonalnych. Ta-
ki, narzekając na pieskie życie w real-
nym, choć schyłkowym socjalizmie na-
wet w psią pogodę wybierze się na pił-
karski stadion, by tam się wyżyć i po-
psioczyć. Gdy już się rozgrzeje i moż-
na być pewnym, że wraz z kumpłami
rozpocznie skandowaną wyliczankę „raz,
dwa, trzy — lubińskie (warszawskie
wrocławskie, poznańskie — do wyboru)
— zupa!”

go szczecińszka, to już musi się wyszu-
meć. Nie pomoże głos spikera dociera-
jący ze stadionowych szekekaczek. Ry-
tuał musi być dopełniony. Zadyma i la-
dowanie w milicynnej suce.

Nieszczęsnego czworonoga wprzęgnięto
też w służbę ideologii. Nie kto inny, a
sam Feliks Dzierżyński, z którego pom-
nikiem rozstaliśmy się nieco gwałtownie
(i nie całkiem po europejsku) pisał.
„Mówią o mnie, że jestem krwawym
psem Rewolucji, i słusznie bo jestem do
niej przykutą łańcuchem, i gotowy bro-
nić jej zębami”. Jakby w rewanżu, nie-
co później, odstępców od jedynej słusz-
nej drogi, którą oświecił Ziutek Sło-
neczko, nazwano — jakżeby inaczej —
łańcuchowymi psami imperializmu. Cie-
kawo, dziś byłaby to już chyba cała sfo-
ra. A jak nazwano najemnych żołnierzy,
oczywiście, o ile nie byli to niosący in-
ternacjonalistyczną pomoc za psie gro-
sze ludzie Fidela? Czy nie psami wojny?
Komu mało, to niech przypomni sobie,
że i jedną z naszych narodowych uło-
mości sam mistrz Wańkowicz określił był
„kundlismem”. Ładne, co?

Zresztą pies mordę lizał ideologom.
Od psiej frazeologii nie są wolne nawet
stosunki męsko-damskie. Jeśli w drodze
wejścia sobie, upatrzywszy ten sam obiek-
t pożądaną, dwa przysłówowe psy na ba-
by, to można być pewnym, że będą ze
sobą gryźć się, jak psy o kość. Gorzej,
że i zwycięzca tej potyczki kilka lat póź-
niej będzie — jak podpowiadają staty-
styki — żył ze swą wybranką jak pies
z kotem. A przysłowie polskie piekło?
Czyż nie jest wypełnione po brzozi czy-
stej krwi psami ogrodnika? Co to, wia-
domo, same nie żerze ale innym nie
dadzą nawet skorzystań.

Jakby za karę — pieski świat — ze
wszystkiego, do czego tak tęsknie wzdry-
chamy, a co światu dała wielka Ame-
ryka, my przyswoiliśmy sobie najgorsze
pod Słońcem zarcie, które dziś panoszy
się na ulicach, przyczajone w niewiele
większych od psiej budy punktach sprze-
dazy na kółkach. Byliśmy jednak kon-
sekwentni w wyborze. Postawiliśmy na
obrzydlstwo w postaci butki z kawali-
kiem papierowej parówki czyli hot-doga!
Zapytacie, gdzie tu pies pogrzebany?
Ano, chodzi tylko o to, że nawet do
cywilizacji naszych marzeń też chcieli-
byśmy przesiłnąć się, tak jakoś — psia-
kość! — bez wysiłku, psim swędem.

Na koniec prezent pod choinkę. W
ramach rekompensaty dla tych, którzy
do dziś nie mogą dojść do siebie po
tym, co się im przytrafiło, gdzieś tak
w połowie roku. Fraszka Antoniego Ma-
rianowicza:

„Okradli mnie, złupili, ograbili dzisiaj” —
Skarżył się pewien Azor, dart jak
opętaniec.
„Co się stało?” — pytał go Ciapki
i Brysie.
„Moją smycz mi zabrali — jęknął —
i kaganiec!”.

Oczywiście, wszelkie skojarzenia są tu
jak najbardziej przypadkowe. Azor to
zwyczajny mieszaniec, kundel po prostu, a
za tem ni wiłk to, ni owczarek, ale —
wiadomo — strzeżonego...

Zamiast pointy, proponuję zajrzeć pod
księgarskie lady. Sprytajski trafia tam
na... „Łowców psów” naszego redakcyj-
nego kolegi i literata Ryszarda Adamo-
wa. Czyżby o hylach? Tfu, na psa u-
rok!

Kłątwa faraonów i przekleństwo cywilizacji

Elżbieta Pomorska

W 1922 roku angielscy archeolodzy H. Carter i Carnawon odkryli w egipskiej Dolinie Królów koło Luksoru grobowiec Tutenchamona. Pomimo wieloletnich badań w dolinie i poszukiwań dokonanych przez rabusiów grobów dwa archeolodzy byli szczęśliwcami, którzy grobowiec znaleźli po 5 latach badań. Otworzyli tumbę zamkniętą w XIV wieku przed naszą erą. Do grobowca weszło ponad 20 badaczy. W niedługim czasie wszyscy zmarli.

Powstało przekonanie o „kłątwie faraona”, który mścił się na zakłócających mu wieczny spokój. Autor książki „Bogowie, groby, uczeni” C. Ceram wyśmiał wiarę w „kłątwę faraona”. Tymczasem po wielu latach w Krakowie w 1973 roku otwarto kryptę grobową Kazimierza Jagiellończyka i jego żony Elżbiety Rakuszyńskiej. Wśród innych badaczy prowadzących prace w krypcie był także Bolesław Smyk — profesor Akademii Rolniczej w Krakowie i kierownik Katedry Mikrobiologii. Kilkaście osób, które badały grobowiec w niedługim czasie zmarło. Profesor Smyk opisał symptomy zatrucia jakich doznał po pracach w krypcie. Były to silne bóle głowy, osłabienie pracy serca, zaburzenia równowagi, bezsenność. Ból głowy ustąpił po dwóch tygodniach, a zaburzenia równowagi po 5 latach. Jednak początkowo te objawy, których zresztą doświadczali i inni, profesor przypisywał emocjom związanym z wejściem do krypty po 4 wiekach.

W listopadzie 1973 r. Agence France-Presse nadała z Krakowa, że „Profesor Bolesław Smyk, mikrobiolog z AR w Krakowie, powiedział, że udało mu się ożywić bakterie, jak również pewien rodzaj pleśni, wyjęte z wnętrza trumny królewskiej. Pośród bakterii znalazł się szczep, dotychczas nie znany nauce — stwierdził profesor. Po zbadaniu tych mikroorganizmów profesor zniszczył je, aby uniknąć ryzyka zakażenia...”.

Wciąż „kłątwa faraonów” i „przekleństwo króla” istniały naprawdę w postaci mikroorganizmów, których jady zatruty śmiatkiw naruszających spokój zmarłym. Odkrycie prof. Bolesława Smyka odbiło się szerokim echem na świecie i było wielką naukową sensacją.

Profesor uważa, że nasza obecna sytuacja ekologiczna powoduje dużo większe zagrożenie niż „kłątwy faraonów i królów”, ponieważ dotyczy nas wszystkich. O tym jak szybko i głęboko zanieczyszczone jest środowisko, świadczą takie fakty. Jeszcze w końcu lat 40 w Krakowie studenci kąpali się w Wiśle, pamięta to sam prof. Smyk będąc jednym z nich. Także górale, którzy przywozili drewno na opał do miasta jeszcze w latach 50. w rzece poili konie. Niedawno góral przywoził paszę dla zwierząt hodowlanych na AR. Jego koń nie chciał się napić wody z kranu, tej, którą co-

dziennie piją mieszkańcy Krakowa. Podobna sytuacja jest we Wrocławiu i w Legnicy.

Nie zdajemy sobie sprawy z tego, że w wodzie, glebie, występują liczne odmiany grzybów. Znamy je pod najpopularniejszą postacią pleśni. Grzyby potrzebują do życia podłoża z innych organizmów, wilgoci i dostępu powietrza. Ich działalność jest w dużej mierze pożyteczna, bowiem wraz z innymi drobnoustrojami grzyby rozkładają swoje podłoże, mineralizują materię organiczną, pełnią funkcje sanitarne i użyźniają gleby.



Grzyby, żyją wszędzie, a wytwarzane przez nie toksyny dostają się do ziarna i maki.

Fot. ARK

Ale współczesne rolnictwo i ogrodnictwo dostarcza ziemi ogromnych ilości preparatów chemicznych, które przez lata używania kumulują się. Są to środki do zwalczania chwastów (herbicydy), do zwalczania owadów (insektycydy), grzybów (fungicydy), spełniają one pozytywną rolę zwalczając chwasty i pasożyty, ale mają też bardzo zdradliwe działanie. Wpływają bowiem mutagenie zmieniając garnitur genetyczny różnych grzybów i pleśni. Chemiczne oddziaływanie zmienia właściwości biologiczne tych grzybów występujących w glebach. Jeśli dawki chemikaliów są odpowiednio

duże, mogą całkowicie zabić drobne organizmy żyjące w glebie. Ale najczęściej nie zabijają one grzybów, ale powodują ich mutacje. Podobnie działają nitrozoaminy, które znajdują się w glebach zasilanych nadmiernie nawozami azotowymi.

Pod wpływem tych chemikaliów grzyby pożyteczne zmieniają swój skład genetyczny i wytwarzają silnie trujące substancje (mykotoksyny). Te trujące substancje stanowią wielkie zagrożenie dla roślin, zwierząt i dla ludzi. Działanie substancji trujących jest bardzo perfidne, uszkadzają one bowiem płód dojrzewający w organizmie matki, zarówno u zwierząt jak i u ludzi. Uszkadzają krew, tkankę nerwową, system moczowy, tarczę u dzieci i dorosłych.

Mykotoksyny wywołują także raka u zwierząt i ludzi. Najbardziej na nie wrażliwy jest drób. Te jady wytworzone przez zmutowane grzyby mogą gromadzić się w wątrobie, początkowo nie wywołując żadnych skutków, ale gdy przekroczą punkt krytyczny wywołują typ raka, na który nie znaleziono jeszcze skutecznych leków.

Te zagrożenia niesie intensywność upraw, nadużywana jest chemia, by osiągnąć wyższe plony. Do tego zatrucia dorzuca swoje odpady przemysł — Śląsk, zagłębie miedziowe emitują kobalt, ołów, chrom, miedź. Pochodzące z hut i kopalń pierwiastki dołączają się do herbicydów i im podobnych, i powodują nowe mutacje grzybów i innych mikroorganizmów.

Te trujące substancje wędrują wraz z produktem. Zatruta gleba rodzi zatrute zboże, z niego wypiekany jest zatruty chleb, a zwierzęta otrzymują je w paszy.

W latach wilgotnych ziarno pszenicy łatwo ulega grzybom toksynotwórczym, grzyby giną gdy przerabia się ziarno na mąkę i piecze chleb, ale nie giną toksyny wytwarzane przez te grzyby i one dostają się do naszych i zwierzęcych organizmów. Na przykład substancje takie jak flatotoksyny są odporne na temperatury do 360 stopni C. Więc ani gotowanie, ani pieczenie nie niszczy ich. Niewidoczne mykotoksyny, których się nie obawiamy, bo ich nie widzimy, są wielkim zagrożeniem dla naszego zdrowia, ale najsilniej oddziałują na dzieci i osoby starsze.

Grzyby wydzielające trucizny żyją i w naszych mieszkaniach. W Krakowie zostało przebadane kilkaset mieszkań, głównie w budownictwie wielkopłytowym. W około 30 proc. stwierdzono obecność grzybów toksynotwórczych, są one wielkim zagrożeniem dla żyjących tam ludzi. Takie mieszkania powinno się dezynfekować, osuszać, by usunąć warunki dla rozwoju grzybów.

Akademia Rolnicza w Krakowie uruchomiła jednoroczne międzyuczelniane studium ekologiczne, które ma na celu uświadamianie lekarzy i ludzi kierujących gospodarką o niebezpieczeństwach, jakie niesie za sobą rolnictwo i przemysł, który wywołuje powstawanie mutogennych grzybów. Bowiem dopóki nie poznamy i nie zrozumiemy mechanizmów zagrożeń, nie potrafimy im przeciwdziałać.

podróże

W Neseberze i Skopje

Pod koniec trzeciej nocy podróży autokar zjechał wreszcie z krętej, górskiej drogi i zaparkował pod najlepszym hotelem w Kazanlyku. Zespół Pieśni i Tańca „Lubin”, który przybył nim właśnie w odwiedziny do swoich bułgarskich przyjaciół jak na komendę przebudził się i wyobraźnia powędrowała do luksusowych pokoi i łazienek. Po godzinie oczekiwania pojawili się wreszcie gospodarze i... powieźli nas za miasto. Nad ranem wylądowaliśmy w niewielkim ośrodku wypoczynkowym kombinatu „Arsenal”. Za kilka godzin wyznaczono pierwszy... koncert.

Tak rozpoczął się pierwszy etap artystycznej podróży, w którą jesienią br. wyruszył w dwudziestym roku swojej działalności lubiński zespół. Koncert w świetlicy „Arsenal” wypadł ponoć przeciętnie. I to w dużej mierze raczej z powodu widzów, którzy na serio potraktowali nową reformę bułgarskiej gospodarki, niechętnie pozostawiając swoje warsztaty. Demo Azmołów, wicedyrektor „Arsenal” zapewnił mnie, że chodzi o od-

rzucenie administracyjnego kierowania gospodarką i usamodzielnienie przedsiębiorstw. Jest to bułgarska droga do demokracji życia społecznego. I chyba nie mylił się, bo mimo zapewnień sekretarzy, dyrektorów i szefów związków w kombinacie i na szczelbu miejskim o pełnej kontroli nad tym, co się dzieje, działało się już wiele, o czym nie chcieli powiedzieć. Po południu tłumy — zamiast usłuchać nawoływań i oklaskiwać kolarzy kończących tu etap Wyścigu Dookoła Bułgarii — wołały wykupywać żywność, alkohol, atrakcyjniejsze wyroby przemysłowe, gdyż wokół aż huczało od plotek. A wystarczyło kilka tygodni, żeby społeczeństwo przestało słuchać dotychczasowych przywódców również w ważniejszych sprawach...

Drugi koncert, tym razem w centrum Kazanlyku, przyniósł „Lubinowi” sukces, a czarnowłosi bułgarscy chłopcy długo po zakończeniu występu adorowali lubińskie tancerki. Nazajutrz — miła niespodzianka. Gospodarze wiozą nas do swojego ośrodka wczasowego w

Neseberze, kilkadziesiąt kroków od brzegu Morza Czarnego. Na tle oliwkowych drzewek „Lubin” koncertuje po raz trzeci. Oklaskują go wczasowicze, a także szefowie zespołu folklorystycznego „Arsenal”, który tutaj przebywa na „zgrupowaniu kondycyjnym” przed wyjazdem do... Brazylii. Lubinianie zazdroszczą bułgarskim kolegom tej „trasy”. Tym bardziej, że 45 dni występów to okazja do zarobienia sporego grosza, kiedy na „głowę” przypada 20—35 dolarów za występ. Miejsce bułgarskiego folkloru w hierarchii społecznej jest jednak znacznie wyższe niż u nas. „Arsenal” utrzymuje... 320 osobowy zespół. W tym właśnie eksportową grupę reprezentacyjną, ćwiczącą codziennie po trzy godziny. Nasze władze kombinatu wolą utrzymywać piłkarzy i bokserów.

W bułgarskim programie pozostaje już tylko... plażowanie i dyskoteka. Tu znów sukces. Nasza skrzypaczka Krysią Paćce wygrywa ze swoim bułgarskim partnerem konkurs tańca. I choć ginie potem główna nagroda, kiełbasa salami — pozostaje satysfakcja.

Kolejny etap to Skopje w Jugosławii. Czekają na „Lubin” w Domu Pioniera „Karpasza”. Zanim nas powita jak zwykle uśmiechnięty Jordan Samardziski, trzeba odczekać swoje na granicy, gdzie bułgarscy celnicy ostro „gola” swoich zachodnich sąsiadów, wyciągając im z samochodów niemal wszystko, co służy do jedzenia czy ubrania. W Skopje świeci mocno słońce, nie ma gdzie po-

plywać, ale za to na chodnikach stoją setki kawiarnianych stolików, na których kelnerzy bardzo chętnie stawiają piwo, brandy, koniak czy rakiję. Ponieważ „Karpasza”, podobnie jak nasze domy kultury, nie jest finansowym potentatem, „Lubin” rozchodzi się po domach swoich macedońskich przyjaciół. W ciągu tygodniowego pobytu tylko dwa występy: w niedalekim Sztipie i w dużej hali koncertowej w stolicy Macedonii. Jest więc dużo czasu na zwiedzanie miasta i poznanie ludzi. „Urynkowiona” Jugosławia choruje, podobnie jak i Polska, na hiperinflację, która wyniesie w tym roku ok. 2000 proc. Nie dziwimy się już, gdy dolar jednego dnia kosztuje 34 tys. dinarów, a dwa dni później — 36 tys. Zachwyca zawartość sklepów, ale przerażają ceny. Mimo to w domach, w których nas goszczą, żyje się w miarę dobrze. Sporo zachodniego sprzętu elektronicznego, instrumenty muzyczne, eleganckie meble, dywany. Nie narzeka tutaj na Polskę. W Skopje i okolicy mieszka ok. 200 Polaków. Nie zakładają swojego stowarzyszenia narodowościowego, gdyż wątpią, czy władze kraju nekane go tak licznymi problemami tego typu będą chciały wyrazić zgodę na rejestrację. I choć nie ma formalnej organizacji — istnieją ścisłe kontakty i więzi. Latem spotykają się na biwakach poza Skopje. Zimą przyjmują się w swoich mieszkaniach. Wiele wiedzą o Polsce i czekają na nowe wiadomości. Najchętniej, oczywiście, na te dobre...

GRZEGORZ CHMIEŁOWSKI

— Byłem członkiem prezydium Regionalnego Komitetu Wykonawczego NSZZ „Solidarność” Dolny Śląsk. Wiedziałem, że muszę dotrzeć z Głogowa do Wrocławia, do regionu. Ale jak? Komunikacja nie działała. Na dworcu PKS dopadłem autobus „okazję” w kierunku Lubina, a tam inny, powracający do bazy we Wrocławiu. Po czterech godzinach byłem we Wrocławiu. Na Dworcu Głównym spotkałem jednego z naszych ludzi. Od niego dowiedziałem się, że w nocy do naszej siedziby, przy ulicy Mazowieckiej wpadli mundurowi (wojsko?, ZOMO?) i zdemolowali nam sprzęt — najbardziej ucierpiał studio radiowe.

Przed regionem

było już sporo zamieszania. ZOMO rozganiało ludzi gromadzących się wokół naszej siedziby. Pamiętam taki, właściwie humorystyczny obrazek: drobna starszuszka z parasolką poruszająca się na rosyjskich zomowców. W sumie nie było nam do śmiechu. Nie wiedzieliśmy jak się sytuacja rozwine, co będzie dalej? Postanowiliśmy ukryć nasz sprzęt: maszynę do pisania, powielacze itp. Wzięliśmy to na siebie.

Około szesnastej zjawił się w regionie Marek Petrusiewicz z wiadomością o spacyfikowaniu strajkujących zajeźdni, łącznie z Grablowską. Regionalny Komitet Strajkowy, na czele z Władkiem Frasyniukiem przeniósł się do Dolmelu. Pod wieczór Mazowiecką obstawili zomowskie wozy.

Osiemnasta trzydziści. — Przystępują do akcji. Była możliwość ucieczki przez sąsiadujący z nami Wojewódzki Dom Kultury, można też było skryć się na dachu. I pewnie bym tak zrobił, gdyby nie Marek Petrusiewicz, niedługo znany sportowiec, reprezentant Polski w pływaniu, teraz — inwalida. Przez moment wahaliśmy się, ale tylko przez moment. Pozostali, a byli to pracownicy administracji, bodajże pięć osób — uciekli.

Zamknęliśmy się na pierwszym piętrze w biurach, na parterze mieściła się redakcja. Drzwi ustąpiły bardzo szybko. Wpadają do mego pokoju po cywilnemu, ale w kominiarkach — widać było tylko oczy — i z krótką bronią automatyczną. Moment grozy. „Wstać!” — siedziałem za biurkiem. Szybkie przeszkanie biurka i następna komenda: „Wychoć!” Zdałem chwycić kurtkę z wieszaka. I w tym momencie wpada „szaleniec” z siekierą w rękę. Z odkrytą twarzą. Młody blondyn o długich włosach. Struchlałem. A on z jakimś niesamowitym szaleństwem zaczął walić siekierą po meblach, rozwalając nawet telefon. Dwóch rosyjskich panów chwyciło mnie pod ręce, ledwo dostawałem nogami do ziemi. Na dole przekazali mnie mundurowym.

Ścieżka zdrowia

Pchnęli mnie pomiędzy szpalier uzbrojonych w paliki zomowców. Zanim z wysokiego parteru dobiegłem do samochodu, dostałem siedem razy. Marka prowadziła za mną. Miał chore nogi i kłopoty z chodzeniem.

Znacznie później dowiedzieliśmy się, że przez jakiś czas po Wrocławiu krążyły ulotki informujące, jakoby nas przy tej okazji dotkliwie pobito i odwieziono karetką do szpitala. Nie była to prawda. Karetka faktycznie się zjawiała, ale po to by udzielić pomocy dwóm zomowcom, którzy zasiałi podczas interwencji.

Wrzucili nas do „budy” i zawieźli na ul. Łąkową do Komendy Wojewódzkiej milicji. Tam wstępne przesłuchanie. Zabrali też dokumenty. Na korytarzu po raz ostatni widzieliśmy się z Markiem. Na noc zamknięto mnie samego w jakiejś ciemnej i zimnej klatce w piwnicy — nie wiem czy to była cela. Stałem po kostki w wodzie. Nie było gdzie usiąść, nie mówiąc już o leżeniu. Następnego dnia przenieśli mnie do zbiorowej celi z przycami. Ludzie byli załamani — kleczyli po kątach, modlili się, plakali. Po trzech dniach wieczorem trafiliem do więzienia przy ulicy Kłockowskiej. Znalazłem się w ośmioosobowej celi. Tam warunki były już bardziej znośne. Po czułem się pewniej, bo byłem wśród swoich. Tym co nas podtrzymywało na duchu były m.in. śpiewy. Codziennie rano i wieczorem o określonej porze pełnym głosem śpiewaliśmy pieśni patriotyczne i religijne. Nasze głosy dochodziły aż na ulicę, gdzie ciągle stały tłumy ludzi.

Wigilia

Nawet tu, w więzieniu odczuwaliśmy przedświąteczny nastrój. Rano gorąca kąpiel. Pod celę wrzucono nam parę świerkowych gałązek. Niektórzy dostali paczki, a w nich — opłatki. Dzieliłmi się opłatkiem. Po zewnętrznym murze,

na sznurku podawaliśmy opłatek tym, którzy go nie mieli. Szykowaliśmy się do Wigilii.

Wczesnym popołudniem, gdy nastąpiła szarówka (zegarków nie mieliśmy) zaczął się dziwny ruch na korytarzu. Słyszmy — wywołują z cel. Z naszej wywołano trzech, w tym i mnie. Na dziedzińcu stało sześć samochodów. W każdym mieściło się po 26 więźniów. Zadanych informacji. Nie wiedzieliśmy, dokąd nas powiozą. Na terenie Wrocławia próbowaliśmy śpiewać, krzyczeć, żeby ludzie wiedzieli, że nas wiozą. Ale potem, poza miastem nie miało to już sensu.

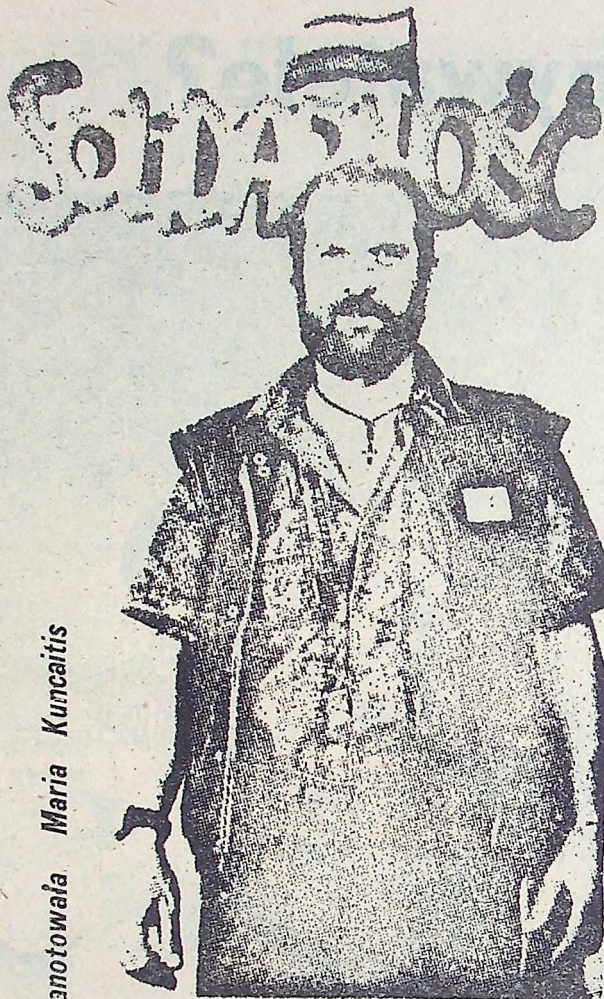
Po pewnym czasie samochody zatrzymały się w szczerym polu. Słyszeliśmy ciszę... Najstraszniejsze myśli kłębiły się w głowie. Jakies odległe, wojenne

że coś Polskę... „Rota”... Kiedy rok później zorganizowaliśmy w Grodkowie spotkanie internowanych, mieszkańcy mówili nam, że nasze śpiewy umożliwiły im regulowanie zegarków.

Od stycznia zaczęły już nas odwiedzać rodziny, a od połowy marca pojawiła się

szansa wyjścia na wolność

ale pod warunkiem podpisania „lojalności”. Zaczęły się też usilne namowy do emigracji. Nie trzeba było nawet opuszczać więzienia, żeby zatwierdzić formalności. Wystarczyło powiedzieć — tak. Niektórzy korzystali z tej szansy, ale większość z nas nie traciła nadziei. Chociaż muszę wyznać, że i sam przeżyłem mo-



W internacie

zafotowała Maria Kuncaitis

skojarzenia... Jestem mocny, mimo tego bałem się. Strasznie się bałem. Inni też. Ale ruszyliśmy. Potem, gdy zastanawialiśmy się wspólnie nad tym epizodem, doszliśmy do wniosku, że było to rozwiedzenie dróg w kierunku na Nysę i Grodków. Trzy „budy” pojechały w jednym kierunku, a trzy w drugim. Ja — na Grodków.

Święta Bożego Narodzenia

witaliśmy w nieogrzewanej celi i na gołych deskach. Potem dostaliśmy materace i powoli zaczęliśmy się urządzać. Jeszcze wtedy nie przypuszczaliśmy, że przyjdzie nam tu spędzić wiele miesięcy. Pierwsza i najważniejsza rzecz, to było wychowywanie służby więziennej. Uważaliśmy się za więźniów politycznych i zgodnie z tym statusem chcieliśmy być traktowani. Mieliśmy świadomość, że więziona nas niesłusznie. Wymagaliśmy normalnego odnośnienia się, a nie warczenia i pokrzykiwania. Na tym tle w Sylwestra doszło do buntu. Głośno krzycząc i tłukąc w kraty i aluminiowe miski protestowaliśmy przeciwko więziennym warunkom.

Rezultat był taki, że siódmego stycznia zmieniono nam komendanta. Z czasem wymogliśmy nawet ciepłą wodę i gniazdko elektryczne w celach, a od Wielkanocy, kiedy to podstępem zorganizowaliśmy wspólne śniadanie, nie zamknięto już nas w ciągu dnia w celach. I tu również przyjął się zwyczaj śpiewania. Codziennie rano, punktualnie o dziewiątej i o siedemnastej po południu więźniowie rozbrzmiewali pieśniami: „Bo-

ment słabości. Zdarzyło się to już na wolności, kiedy odwoziłem na lotnisko kolegę wyjeżdżającego do USA. Wracalem z lotniska dość przygnębiony i coś mnie podkusiło by wejść do ambasady amerykańskiej. Szybko jednak otrzaskałem się z tych mrzonek. Powiedziałem sobie wtedy: Zostaję, bez względu na wszystko. Tu jest moje miejsce.

W Grodkowie mieliśmy sporo wolnego czasu i staraliśmy się by ten czas nie był stracony. Były kursy języków obcych, polityczne i organizacyjne. Kto chciał mógł się tam wiele nauczyć. Bardzo sobie ceniliśmy kontakty z Kościołem, a zwłaszcza niedzielne msze, w których pośrednio uczestniczyli okoliczni mieszkańcy. Szczególnie pamiętna była Wielkanoc ze świętym od miejscowej ludności, przekazanym za pośrednictwem księży. Do naszych wiernych gości należała Maja Komorowska. Przywoziła owoce, warzywa i witaminy, których więzienna kuchnia bardzo nam skąpiła.

Siódmego lipca znów byłem wolny. W Hucie Miedzi „Głogów”, gdzie przedtem pracowałem, nie chciało mnie przyjąć. Ale mój kierownik Władysław Wroński z wydziału ołowiu uparł się. Dzięki niemu wróciłem do hut. Poręczył za mnie, a ja zaufania nie zawiodłem. Nikt mi niczego nie mógł zarzucić, co wcale nie oznaczało, że moje drogi z „Solidarnością” rozeszły się.

P.S. Podczas majowych strajków br. Romuald Halicki stał na czele Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w KGHM, obecnie członek prezydium Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność”.

A może na piechotę?

Przeczytałem niedawno w „Konkretych” o tym, że gdzieś w miejscowości S., na jednokierunkowej drodze stał zaparkowany „na chwilę” dźwięk samochodowy, a głodny kierowca udał się do pobliskiego sklepu. Przypomniałem sobie o tym będąc mimowolnym uczestnikiem podobnego zdarzenia.

29 listopada br. zaparkowałem swoje fso-1500 na parking osiedlowym przy aptece na ul. Iżerskiej. Około godziny 15 ponownie chciałem udać się do miasta i jakież było moje zdziwienie, gdy ujrzałem swój samochód zablokedowany przez wóz z napisem „Wojewódzka Kolumna Transportu Sanitarnego w Legnicy” (fso combi bez noszy, z radiem i radiostacją). Po bezskutecznym oczekiwaniu około pół godziny, zacząłem poszukiwać kierowcy. Pierwszą moją myślą było, że skoro wóz z „kolumny” parkuje przed apteką, to kierowca na pewno jest tam służbowo. Na moje pytanie pani magister odpowiedziała, że nie było i nie ma u nich żadnego kierowcy z sanitarki. Rozważyłem i inne możliwości, kierowca mógł być w kiosku, kwiaciarni, budce Totolotki, księgarni. Nie pomyślałem, jak normalny zdrowy Polak. Po około 40 minutach ujrzałem kierowcę powracającego z „Delicji” i trzymającego w rękach cztery butelki wódki. Pan kierowca wsiadł spokojnie do samochodu, poprawił lustro i pojechał pełnić swoje obowiązki. Na drzwiach samochodu widniał numer 319. Podejrzewam, że kurs miał podpisany i na bramie w kolumnie stwierdzono, że pojazd przybył o czasie. Ja mogłem wreszcie odjechać swoim samochodem.

Jest to jeden z wielu przypadków wykorzystywania państwowych środków do celów prywatnych. Często są przypadki dowozu wody na budowę przez samochody MPO, łapanie okazji na przewóz pralki, lodówki, itp. Sam też nie jestem bez winy — w stanie wojennym poprosiłem załogę radiowozu MO o przewóz pralki ze sklepu do mieszkania (bagażówki nie kursowały po 13 grudnia '81). Przewieźli i nie wzięli ani złotówki.

Reasumując: Nic w tym dziwnego, że na przyjazd karetki czy lekarza z przychodni trzeba czekać, przecież normalnie myślący Polak nie odstawi samochodu do bazy, a następnie powędruje po trunkowe zakupy. Czemuż to ma chodzić na piechotę? Przecież tak robi KAŻDY.

Nazwisko i adres
do wiadomości redakcji

Gdzie są pralnie?

Podobno czystość to zdrowie — hasło to przetrwało wojnę; zmiany ustrojów — nie przetrwały natomiast punkty pralnicze w Legnicy.

Przed 30. laty, gdy zamieszkałem w Legnicy, w okolicy była pralnia prywatna, punkt pralniczy przy ul. Jaworzyskiej, punkt przy ul. H. Sawickiej, pralnia w rynku — to wszystko w promieniu 1 km od mojego miejsca zamieszkania. Najpierw zniknęła pralnia prywatna, następnie zamknięto punkt przy ul. H. Sawickiej (powstał sklep nabiałowy, chociaż 100 m dalej jest mleczarnia i sklep spożywczy), później radni stacali boje o pralnię w rynku — mieli uśpielić pomysły. Ale władze miały „władzę” i pralnia zniknęła. Z mojego rejonu ostał się tylko punkt pralniczy przy ul. Jaworzyskiej 26, mający coraz to nowych właścicieli. (Sądząc po oznakowaniach bielizny, chyba czterech). Ale nie to jest ważne.

Raptem w ostatnich dniach października, prawie z dnia na dzień, zlikwidowano ten ostatni punkt. Cała dzielnica została pozbawiona punktu pralniczego. A korzystało z niego wiele osób. Teraz przeniesiono ten punkt, a właściwie połączone z punktem przy ul. Chojnowskiej. Zeby chociaż ze względów higienicznych czy lokalowych, ale to taka sama nora. Dwie pracujące ledwo mogą się tam pomieścić i zmagazynować wszystką przyjmowaną odzież. No, i my musimy jeździć taksówką z bielizną do prania. I komu to przyszkadza? Nie każdy ma samochód i nie każdego stać na taksówkę, żeby jeździć na koniec miasta z bielizną do prania.

Komu był potrzebny lokal przy ul. Jaworzyskiej 26, komu i za ile go sprzedano?

Jestem chora, a niedługo będę jeszcze spać w brudzie z łaski... właśnie. Nie wiem czyje, bo nie wiem, kto wymyślił tę likwidację. Zarząd pralni znajduje się w Lubinie, a czy to spółdzielnia, czy przedsiębiorstwo państwowe — nie wiem, bo co konsumenta obchodzi, kto zawiaduje tym interesem.

Nazwisko i adres
do wiadomości redakcji

Gablotki

Wskazujemy adres zaniedbanych i zapomnianych gablotek przodowników pracy, należących do Legnickich Zakładów Gastronomicznych, Powszechnej Spółdzielni Spożywców, Miejskiego Przedsiębiorstwa Remontowo-Budowlanego, Miejskiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej i innych zakładów, które znajdują się na placu Stalina pod okiem ojców miasta. Gablotki te popularyzują raczej niedbalstwo ludzi odpowiedzialnych za ten stan rzeczy, bo przecież przodownikom pracy należy się coś więcej. Prawda?

(1954)

Zapomniano o człowieku

(...) Tylko 6 rodzin otrzymało mieszkania tj. tyle, ile pracuje w tym PGR-ze, a przecież potrzeba co najmniej 16 rodzin by obrobić istniejący areal ziemi. Co stoi na przeszkodzie, aby sprowadzić robotników? Nic. Obok majątku PGR mieszka bowiem 7-miu gospodarzy indywidualnych posiadających duże mieszkalne domy. Prawie w każdym domu można ulokować rodzinę robotniczą. Jednak — jak dotąd — nikomu z zespołu Rosochata nie przyszło do głowy porozmawiać z gospodarzami i spisać odpowiednie umowy najmu. Brak troski o ludzi mści się na każdym kroku. Oto księgowy PGR zamieszkał... w świetlicy. Tym samym odebrał robotnikom tegoż PGR-u jedyną skromną świetlicę, gdzie odbywały się często pogadanki, gdzie można było posłuchać muzyki. To, że brygadziści K. (...) czy chlewnistrz J. D. (...) zarabiają po 2700 zł miesięcznie, nie dowodzi jeszcze, że w PGR Zimnice jest dobrze. Taki stan rzeczy, jak brak mieszkań i świetlicy świadczy o zapomnieniu uchwał II Zjazdu Partii. (...)

(1954)

I co dalej będzie?

Dziwne koleje przechodzi miejska pływalnia przy ul. Mickiewicza. Częste zmiany kierowników powiększają i tak niemały balagan. Rokrocznie w okresie jesienno-zimowym, oczekujący na otwarcie jedynej istniejącej krytej basenu w Legnicy zadają sobie pytanie, czy basen będzie otwarty, na jak długo, czy znowu jak co roku — na miesiąc lub dwa. Takie pytania zadają sobie również nasi sportowcy w roku bieżącym. Ponieważ termin otwarcia basenu przewidziany na 1 października nie był dotrzymany ze względu na remont i brak koku. Może jednak „właściciel” basenu tj. Miejskie Zakłady Oczyszczania Miasta odpowie, dlaczego remont nie był wykonany latem i czy długo ma zamiar zwodzić legnickich sportowców i młodzież.

(1954)

Pijaństwo i chuligaństwo

W Legnicy przy alei Parkowej mieści się kiosk PPK „Ruch”, który często jest oblegany przez tłumy ludzi, przyglądających się historiom „nie z tej ziemi”. Najczęściej są to pijackie i chuligańskie sceny. Rolę główną gra sprzedawczyni kiosku i jej znajomy, który nie pracuje zawodowo i prześiaduje całymi dniami w kiosku, urządzając pijackie libacje. Gorszące to zjawisko naprawdę nikogo nie bawi...

(1954)

W najbliższym czasie

Wielu działaczy sportowych narzekało na chorobliwy zastój budownictwa sportowego w naszym mieście. Mieli rację — bito „Włókniarza” za rozgrzebanie bieżni, za fruwanie płachty na ogrodzeniu, proponowano nawet odebrać stadion. Energicznie to proponowali. Ale czy też tak energicznie pomagali „Włókniarzowi” odbudować stadion? O energii się wtedy nie słyszy. To jakieś greckie słowo, prawda?

Radosną wiadomość podał obywatel Kamień ze Zrzeszenia Sportowego „Stal”. Zakomunikował on zebranym, że w najbliższym czasie u wylotu ul. Złotoryjskiej rozpocznie się budowa stadionu i basenu pływackiego. Dokumentacja wraz z kosztorysami są już zatwierdzone, przez GKKF Stadion z basenem i urządzeniami zajmie powierzchnię 6 hektarów, a koszty budowy wyniosą 4 mln zł. Na ten cel Min. Hutnictwa przyznało dwa i pół miliona, Wrocław pół miliona, zaś jeden milion należy wygospodarować

Prezydium MRN przyrzekło udzielić poważnych subwencji na budowę stadionu przy ul. Zwirki i Wigury, zaś „Włókniarz” zobowiązał się do wiosny wyremontować swój stadion.

Niemal owacyjnie przyjęto propozycję radnego Suchojada o budowie w Legnicy Centralnego Parku Dziecięcego. Obywatel Suchojad zobowiązał się opracować projekt tego cennego, od dawna o-

Zmiany personalne

W dniu 21 listopada 1956 r. obradowała sesja Powiatowej Rady Narodowej w Legnicy. Klub radnych ZSL postawił wniosek o wyrażenie wotum nieufności dotychczasowemu wiceprzewodniczącemu Prezydium PRN ob. Gawłowi.

Po długiej dyskusji w czasie której uzasadniono potrzebę zmiany na stanowi-

się tym ludziom przejść do innej pracy, nawet fizycznej, ale w tym samym zakładzie, wśród tej samej załogi? Niech swą pracę zmyją z siebie dawne grzechy. Czyż mają z tym chodzić do końca życia? Czyż błędów nie popełniali i inni?

Inny przykład: załoga spółdzielni „Dobrobyt” zwoluje zebranie, na którym „rozprawia się” ze „stalinowcami” M(...), A(...), i G(...). M(...) zarzucono chęć rozbicia spółdzielni przez zgłoszenie do statutu poprawki umożliwiającej zabranie mienia spółdzielczego członkowi opuszczającemu spółdzielnię. Rzecz jasna, poprawka chyba nie bardzo trafna i słuszną, ale źle zrozumiana przez załogę doprowadziła do tego, co tam się stało.

A cóż się zarzuca dyrektorowi TOR-u tow. T(...) czy dyrektorowi MPK K(...)? To, że byli „stalinowcami”. Czy to słuszne i sprawiedliwe? A kogo to często się stawia na ich miejsce? Sadza się ludzi o słabych kwalifikacjach, bez przygotowania, niezdolnych pokierować takim czy innym zakładem, co w rezultacie zamiast poprawy przynosi szkodę. A poza tym co im wszystkim się zarzuca? Tak wiele, ale najczęściej nie konkretnego. Błędy i niedopatrzienia występują niestety jeszcze nagminnie i nie zawsze z winy ludzi atakowanych. A przecież wielu z nich niemało trudu włożyło w minionym okresie w budowę naszego życia, naszych zakładów produkcyjnych i spółdzielni. Bo jak inaczej mogło być? Czyż to jest dobry członek partii, który jej nie wierzy? Partii, która potrafi i przyznała się do swych błędów przed całym narodem? Czyż więc za to trzeba tych ludzi usunąć poza własną załogę, poza nawias społeczeństwa?

Zgadza się, że ludzie którzy się skompromitowali, nie cieszą się zaufaniem, nie umieją pokierować załogą ani naprawić zła — muszą odejść, ale trzeba, by temu towarzyszył zdrowy rozsądek, spokój i rzeczowa rozważa. O przejawie takiej rozważa może świadczyć choćby ostatnie zebranie legnickiej ekspozytury PKS. Stawiano tam wiele zarzutów pod adresem dyrekcji, podejmowano nawet próby zdjęcia całego kierownictwa, ale po wygarnięciu sobie wszystkich bólów, po wypowiedziach ze strony oskarżonych (...) zwyciężyła zdrowa myśl kierowana nie przez prezydium zebrania, a przez salę wypełnioną po brzegi załogą. Zdjęto wprawdzie kilku kierowników, którzy w oczach załogi skompromitowali się (...). Ale nie wyrzucono ich na bruk, nie stosowano popularnej taczki, lecz rozsądnie postanowiono, by przeszli do innej pracy wśród tej samej załogi. Swoją bojową postawą załoga ta uzyskała warunki poprawy stylu pracy, o czym napiszemy przy innej okazji.

(1956)

Łatwy chleb

Na targowisku miejskim prowadzone jest stoisko sprzedaży mięsa z uboju gospodarczego, gdzie rolnicy mają możliwość sprzedaży nadwyżek z własnego gospodarstwa.

Nieuczciwi kombinatorzy wykorzystują jednak możliwość zakupienia bez ograniczeń na tym stoisku mięsa, słoniny czy łoju i wykupują od razu większe ilości tego towaru, sprzedając go następnie po wyższych cenach w różnych melinach.

Podobnie radzą sobie spekulanci z innymi towarami przywożonymi przez rolników na sprzedaż do miasta. Już na dworcu i na przedmieściach wykupują masło, jajka, drób, miód itd. sprzedając następnie te artykuły na targowisku, oczywiście po cenach mocno wyśrubowanych. (...)

(1957)

Dziwne obyczaje

Nikt się nie gorszy, kiedy pacjent pokazuje język lekarzowi, ponieważ sam lekarz o to prosi. Natomiast łatwo sobie wyobrazić zdziwienie pacjentek, przybyłych z Legnickiego Pola (...), którym pielęgniarka w poczekalni gabinetu rentgenologicznego pokazała język zamiast udzielenia informacji o sposobie załatwienia sprawy prześwietlenia pacjentek. W tym miejscu owa pielęgniarka mogłaby się oburzyć na nieścisłość naszej notatki, gdyż poinformowała one przybyłe kobiety, że prześwietla się bez kolejki tylko prywatnych pacjentów, którzy płacą żywą gotóweczką.

A działło się to roku pańskiego 1957 w miesiącu grudniu, w Ośrodku Zdrowia miasta Legnicy. I cóż wy na to obywatele?

(1957)

wybrał: (wk)

Cóż wy na to, obywatele?



czekiwane go obiektu. Budowa ich rozpocznie się w najbliższym czasie.

(1955)

Wkrótce trzeci ekran

Powszechnie wiadomo, że w kinie „Bałtyk” praca pod względem organizacyjnym uległa znacznej poprawie. Zadowolona się to energicznej postawie kierownictwa kina. Lecz mimo szerokiego rozprowadzenia abonamentów i zbiorowej sprzedaży biletów dla zakładów pracy, tworzą się nadal przy kasach poczwórne kolejki, w których dokuczliwie dają się we znaki chuligani.

Prezydium MRN czyni duże starania o możliwie najszybsze oddanie dla mieszkańców Legnicy trzeciego kina przy ul. Nowy Świat 19. Przewiduje się również przeniesienie na okres zimowy aparatury z kina „Zielone” do Domu Młodego Robotnika przy ul. Jordana. W ten sposób problem kin w naszym mieście zostanie rozwiązany

(1955)

sku wiceprzewodniczącego PRN padło wiele zarzutów pod adresem ob. Gawła. Stwierdzono, że ob. Gawel niewłaściwie odnosił się zarówno do pracowników PRN, jak i do mieszkańców naszego powiatu. Swoją niewłaściwą postawą i zachowaniem wytworzył atmosferę nieufności i pozbawił się autorytetu działacza społecznego. W wyniku tajnego głosowania ob. Gawel został wyprowadzony ze składu Prezydium PRN.

Sprawa zmian personalnych, dokonywanych w sposób drastyczny przez tzw. wywołanie na taczkach, stała się u nas ostatnio poważnym zagadnieniem, tym bardziej, że tu i ówdzie ma ono charakter demagogiczny. Aby lepiej to zobrazować przytoczymy kilka przykładów. W Legnickich Zakładach Przemysłu Odzieżowego zdjęto dyrektora technicznego B(...) majstra Sz(...), kierownika zbytu i zaopatrzenia O(...) i kierownika personalnego W(...). Postawiono im wiele zarzutów, może i słuszych. Ale po co zaraz te taczki? Czemu nie pozwoli

Pan Jerzy Wyrobek jest poważnym człowiekiem. Biznesmenem. Tacy ludzie kłamią tylko w interesach. Prawie nigdy dla idei. Jednak historia jego życia brzmi tak nieprawdopodobnie...

Wojna zastała siedemnastoletniego Wyrobka na mokołowskim lotnisku. Był wówczas uczniem Szkoły Podchorążych Lotnictwa. Wrzesień to dla pana Jerzego przede wszystkim ucieczka. Panika, palenie dokumentów. Dzisiaj nawet nie potrafi odtworzyć trasy ucieczki na Wschód. Pamięta tylko ataki niemieckich bombowców, nocne wędrówki, krycie się po lasach. W połowie września dotarli do Lwowa. Tutaj mieszkał brat pana Jerzego. Niestety, opuścił już miasto. Większość uciekinierów zdążyła w stronę Rumunii. Wraz z nimi kieruje się pan Jerzy.

★

17 września. Idą Rosjanie. Nikt jeszcze nie wiedział, wróg to, czy sojusznik. Niektórzy mieli złudzenia... Jerzego aresztowano w Czortkowie. Kilka dni później wraz z grupą polskich żołnierzy przebywał już w Kamieńcu Podolskim. Stamtąd, konwojowani przez czerwonoarmistów na koniach, całą noc szli do stacji kolejowej. „Byliśmy strasznie głodni, wszyscy byli spragnieni i wyczerpani ucieczkami we wrześniu. Rosjanie mieli wspaniałą zabawę, wciąż strzelali nam pod nogi poganiając raz po raz. Można było wówczas łatwo uciec, jednak ludność ukraińska była bardzo źle usposobiona do Polaków. Słyszało się o mordach dokonywanych na polskich żołnierzach”. Oficerowie uważali się za internowanych. Wszak ZSRR nie wypowiedział wojny Polsce. Po całonocnym biegu polskich jeńców zagnano do bydzących wagonów. „Ścisł był taki, że nie mogliśmy nawet usiąść. Ludzie konali z pragnienia”.

Podróż trwała trzy albo cztery dni. Przez Charków (tam dostali jedzenie) dojechali do stacji docelowej. Nazywała się Starobielsk. Nie była to duża miejscowość. Nie było zresztą szans na ucieczki krajoznawcze. Polskich oficerów i podchorążych umieszczono w zabytkowej cerkwi. Wnętrze zapelniały kilkupiętrowe prycze. Nie dla wszystkich starczyło miejsce. W Starobielsku spadł śnieg. Część polskich oficerów nocę spędzała na zewnątrz. Ludzie już wówczas nie wytrzymywali trudów wzięcia. Złe warunki atmosferyczne, stracone w kampanii wrześniowej siły i złe wyżywienie mnożyły ofiary. W Starobielsku przeprowadzono ewidencję więźniów. Wszystkim zabrano dokumenty i pieniądze. Rosjanie mieli przygotowane „czarne listy” z wykazami ludzi, których szukali. Jeśli wśród więźniów znajdowała się taka osoba — wkrótce znikła. „Mówiono nam, że zostali oni zwolnieni i pojechali do domu”. Wkrótce z obozu zabrano wszystkich policjantów. „W nadziei, że jadą do Polski dawaliśmy im listy. Do Krakowa, gdzie przed wojną mieszkaliśmy, wiadomości ze Starobielska nie dotarły nigdy”.

Amerykanin w Kozielsku

Krzysztof Samborski



Uważali się za internowanych...

Fot. ARK

„W kolejnej selekcji wybrano Wyrobka. Kilku innych wybrano do znowu wysiadki. Tym razem są w Kozielsku. „Nikt z nas nie wiedział gdzie się znajdujemy. Dopiero po kilku dniach jeden z NKWD-istów powiedział nam, że w pobliżu Smoleńska”. Zakwaterowano ich w luksusowych, w porównaniu ze Starobielskiem, warunkach. Przed wojną znajdował się w tym miejscu ośrodek szkoleniowy NKWD. „W Kozielsku regularnie dostawaliśmy jedzenie. Można było kupić papierosy”. Do obozu Wyrobek przybył wraz z pierwszym transportem. „Wciąż napływali nowi wkrótce na gorze gdzie mieszkaliśmy zabrakło miejsca. Dla przybywających stworzono drugi obóz. Tam chodzili się kąpać. „Tam też wyświetlano nam radzieckie filmy propagandowe. Z nich dowiedziałem się o upadku Warszawy, o radziecko-niemieckiej

defiladzie w Brześciu”. Mimo wszystko Kozielsk pan Jerzy wspomina miło. To chyba kwestia charakteru. Z całego pobytu najchętniej mówi o kawałach urządzanych sobie nawzajem, o wyścigach wszy, o obozowej latrynie, z której wciąż znikły deski.

★

Wielka liczba żołnierzy wymagała stałego zaopatrzenia. Najmłodszych i najsilniejszych spośród polskich jeńców Rosjanie zatrudnili przy rozładunku wagonów. Wyrobek pracując na kolejowej bocznicy już przemyslił o ucieczce. Badał częstotliwość odjazdów pociągów, obserwował kierunki odjazdów. Na początku października we trzech zdecydowali się uciekać. Po prostu wskoczyli do otwartych drzwi przejeżdżającego pociągu towarowego.

Ucieczki chyba nikt nawet nie zauważył. Trzykrotnie zmieniali pociągi, kierując się na zachód. Dojechali wreszcie do Baranowicz. Tutaj kończyły się szerokie torry i tutaj pan Jerzy rozstał się ze swoimi towarzyszami. „Nie potrafię powiedzieć, w jaki sposób dostałem się do Brześcia. Na drogach wciąż znajdowało się dużo ludzi. Ja w swoim słowym mundurze nie wyróżniałem się w tłumie. Nie mieliśmy już wówczas na nim żadnych oznak, ani nawet guzików”.

W Brześciu legalnie przekroczył granicę podając się za studenta z Krakowa. „Nawet nie sięga. Niemcom przyznałem się, że jestem żołnierzem. Odstawiono mnie na bok”. Dokładnie sprawdzano podane przez Wieczorka dane i zamiast do Krakowa, pojechali do Norymbergi. „W Polsce byłem tylko tranzytem — śmieje się dzisiaj — nie przypuszczałem jednak, że wrócę tutaj dopiero po trzydziestu latach”.

W Niemczech umieszczono go w stałym. Najpierw w Norymberdze, później w Oberlangen, w kopalniach Trewiru, w Hoffnungsthal. Z każdego obozu próbował uciekać — za każdym razem go łapano i osadzano w innym. W Oberlangen dowiedział się o tragedii katyńskiej, początkowo nawet nie skojarzył tego faktu z obozem w Kozielsku. Refleksja przyszła później. Później też dowiedział się, że na liście zaginionych znajduje się jego starszy brat Kazimierz. Propaganda hitlerowska próbowała wykorzystać tragedię Katynia, do stworzenia z polskich żołnierzy znajdujących się w niemieckiej niewoli antybolszewickiego legionu. Podziemna organizacja obozowa, w której działał Wyrobek, ostro się temu sprzeciwiała.

★

Po wojnie pan Jerzy zostaje w Niemczech. Powód — miłość. Żeni się z Niemką. Są szczęśliwi do dzisiaj. W Hanowerze kończy uniwersytet, studiował tam mechanikę, hydraulikę, procesy spalania w wysokich temperaturach. Wspomnieniami z wojny nie dzieli się z nikim. Znajomi wynieśli z wojny zupełnie inne doświadczenia. Pracuje naukowo. Odrzuca propozycje wyjazdów do Indii, Nowej Zelandii. W 1957 roku decyduje się na emigrację do USA. Amerykanin szukał wówczas naukowców — Rosjanie wypuścili pierwszy satelitę. Wyrobek pracuje jako konstruktor dla największych amerykańskich firm: General Motors, NASA. Dokłada cząstkę swojej wiedzy do ładowania Amerykanów na Księżycu. W 1970 roku krótko przebywał w Polsce. O Katyniu mówi się wówczas szepem. Niedawno otworzył własną firmę. Produkuje podzespoły do komputerów. W tym roku przyjechał do Polski na wakacje — zrobił się z tego wyjazd w interesach. „Pomimo siedemdziesiątki na karku wciąż pracuję i mam nadzieję zrobić w Polsce good business” — mówi jedyny Amerykanin, który był w obozie w Kozielsku.

mity i rzeczywistość

Gdy nadejdzie pełnia księżyca

Maciej Janczyk

Tak zazwyczaj zaczyna się wiele ludowych legend i podań o tajemniczych zjawiskach dziejących się w mrokach nocy, rozświetlonych jedynie bladoniebieskim światłem, niepokojącym ludzi od zarażenia dziejów. Pełnia Księżyca, uosobiona z „godziną duchów”, zjaw i innych niezwykłych atrakcji ma także, jak ogólnie uważa się, moc „wyciągania” z łosek niektórych osób i skłaniania ich do niebezpiecznych spacerów. Istnieją jednak jeszcze i inne, mniej znane, ale bardzo ciekawe skutki wpływu księżyca na zachowanie i życie człowieka.

Jeden z amerykańskich lekarzy przez dziesięć lat systematycznie notował związki zachodzące między poszczególnymi fazami Księżyca a zmianami w psychice człowieka. Jako materiał badawczy posłużyły mu dane o przypadkach śmierci z przyczyn nagłych i naturalnych. Z analizy 1887 morderstw i samobójstw popełnionych w ciągu piętnastu lat wysunął on rewelacyjny wniosek, iż wszystkie były w pewnym stopniu uzależnione od... odpowiedniej fazy

księżycowej, a ich nasilenie przypadło w okresie pełni. Podobne rezultaty uzyskał badając terminy 2008 nagłych zgonów.

Również i w innych krajach, a także w Polsce, doświadczenia i analizy umożliwiły ustalenie pewnych prawidłowości oddziaływania Księżyca na ludzkie zachowanie. Na przykład rytm okołomiesięczny — pisał Tadeusz Dzierżykraj-Rogalski — jest związany przede wszystkim z miesiącem księżycowym, a nie kalendarzowym. Niektórzy badacze podkreślają istotną rolę rytmu księżycowego (lunarnego) dla ogółu świata żyjącego. Chodzi tu głównie o wpływ spolaryzowanego światła Księżyca i o jego przyciąganie, znaczące się szczególnie wyraźnie wtedy, gdy Ziemia, Słońce i Księżyc znajdują się w linii prostej.

Pełny obieg Księżyca wokół Ziemi wynosi 29 i pół doby, zaś obrót Ziemi wokół swej osi — liczony względem Księżyca — trwa 24 godziny i 50 minut. Rytm księżycowy jest wyraźnie widoczny u płci żeńskiej, zgodnie z ogólną

prawidłowością występującą w świecie przyrody.

Wiele zdarzeń istotnych dla życia człowieka jest w pewien sposób związanych z fazami Księżyca. Spostrzeżenia te sprzeczają się do następujących stwierdzeń:

- w czasie pełni popelnia się więcej morderstw niż w innych fazach;
- w okresie tym rejestruje się więcej niż zazwyczaj przypadki poważniejszych obrażeń ciała i skaleczeń;
- rekordową wysokość osiąga liczba śmiertelnych wypadków drogowych;
- w czasie pełni zdarza się więcej samobójstw niż w innych okresach;
- w połowie okresu księżycowego nasilają się przypadki zaburzeń psychicznych, podczas gdy liczba ich spada w czasie nowiu i pełni.

Również w klinikach psychiatrycznych zaobserwowano, iż stan zdrowotny pacjentów polepsza lub pogarsza się w zależności od fazy Księżyca.

Wyraźnie oddziaływały one także na

nasilenie się krwotoków przy wrzodach żołądka i choroby epileptycznej. Sprawdziły się też niektóre hipotezy lekarzy wskazujących związek między fazami Księżyca, a zaburzeniami w układzie krążenia.

Czym zazwyczaj tłumaczy się wpływ ziemskiego satelity na organizm i psychikę człowieka? Jedną z licznych teorii wyjaśnia to następująco: gdy Księżyc osiąga swój najwyższy stan nad określonym obszarem Ziemi, wymaga się jego oddziaływanie jako czynnika powodującego przypływ i odpływ mas wodnych, przy czym siła ta jest największa w czasie nowiu i pełni. Jeśli się uwzględni, że ciało człowieka składa się, tak jak powierzchnia Ziemi, w 80 procentach z wody, a w 20 ze składników stałych, Księżyc powoduje w ludzkim organizmie coś, co przypomina przypływ i odpływ wód. W rezultacie powstają określone zaburzenia w funkcjonowaniu wywołujące takie stany, jak nadpobudliwość i napięcia psychiczne. Następnym etapem może być wzmożona agresywność. Dużą rolę odgrywają też, jak można przypuszczać, względy kulturowe, psychologiczne czy społeczne.

Działaniem księżycowego pola magnetycznego tłumaczy niektórzy fakt, że rozwój dziecka w łonie matki trwa dokładnie dziewięć miesięcy księżycowych, to jest 266 dni. Badania wykazują, że w czasie pełni przychodzi na świat więcej dzieci niż w czasie pozostałych faz. Wzrost liczby urodzeń zaznacza się w pierwszej kwadrze. Dużo przypada tu przed samą pełnią, zaś najmniej na ostatnią kwadrę. Zatem, panie i panowie, uwaga na Księżyc!

Przebudzenie

Wiesław Piotrkowski

„Lemkowyna, Lemkowyna
tu do dzisiaj był nasz świat
Lemkowyno, Lemkowyno
nie zapomnę ciebie, nie!”

(Refren piosenki ze sztuki
Andrzeja Kopczy: „Odcięte
korzenie”)

Najbardziej na zachód wysuniętą grupą ludności rusińskiej byli zamieszkujący Beskid Niski Lemkowie. Nazwa powstała w pierwszej połowie XIX wieku i — jak dowodzą badacze — wiązała się z częstym używaniem przez nich słowa „lem”, które znaczy „tylko”, „jeno”. Na wschód od Lemków żyli Bojkowie i Huculi. Wszystkie trzy grupy ludności nie posiadały wyraźnej rozwiniętej świadomości przynależności narodowej i państwowej, a ciągłość ich kulturalnej egzystencji opierała się na trzech elementach: języku, religii i folklorze zbliżonym nieco do góralskiego.

Po ostatniej wojnie w granicach Polski znalazło się ok. 1 miliona Ukraińców, w tym 150—180 tys. Lemków. Większość z nich wyjechała w ramach repatriacji do Ukraińskiej SRR (tylko od sierpnia 1946 do końca 1947 roku opuściło Polskę ok. 530 tys. osób). W drugą stronę ciągnęły tabory z lwowiakami, wilniakami...

W tym czasie obszar południowo-wschodniej Polski od kilku już lat znajdował się w polu działania Ukraińskiej Powstańczej Armii, która zbrojnie zamierzała oderwać te ziemie od Polski i utworzyć Samostijną Ukrainę. W tej walce UPA odnosiła nie tylko porażki ale i sukcesy. Władza ludowa dopiero po zabójstwie gen. Świerczewskiego postanowiła radykalnie skończyć z ukraińskim nacjonalizmem. W tym celu przeprowadzono zakrojoną na dużą skalę

miedziowego pracowali w przedsiębiorstwach KGHM.

Jan Szkurat jest emerytem lubińskiego Przedsiębiorstwa Budowy Kopalń. W jego domu wiszą na ścianach święte ikony obok Matki Boskiej Częstochowskiej. W innych domach coraz rzadziej spotyka się ikony, coraz częściej zastępują je obrazy, które można nabyć w sklepach „Veritasu”. — Nie chcemy się wyróżniać — mówią często ich właściciele nie zda-

zacierają się. Jak powiada jeden z Lemków: — Czy my chcemy, czy nie chcemy, nasze dzieci ulegają polonizacji.

Nie ma w tym glosie żadnej rozpacz ani radości. Po prostu stwierdzenie faktu. Lemkowie na swoich dawnych ziemiach stanowili większość. Co krok spotykali materialne przedmioty własnej kultury poświadczające ich tożsamość. A to drewniana cerkiew z trzema baniami, z których środkowa zawsze poświęcona



Od sierpnia w Michałowie pod Lubinem stoi cerkiew z trzema „baniami” — zupełnie jak w Beskidzie Niskim...

Fot. Wincenty Kołodziejcki

jąc sobie sprawy, że z Lemkami łączy ich już tylko przeszłość.

Być Lemkiem w 1947 roku

znaczyło na ziemiach odzyskanych tyle co „banderowiec”. Odzywały się wówczas liczne głosy protestu polskich repatriantów ze wschodu, którzy na własnej skórze odczuli działalność UPA. Opinia taka przyjechała wraz z Lemkami w zalakowanej kopercie. Konwojowali ich bowiem pracownicy Urzędu Bezpieczeństwa i oni przekazywali owe koperty miejscowym władzom. Znajdowały się tam informacje o każdej rodzinie lemowskiej.

Kiedy przyschły już nieco rany repatriantów, pojawiło się uczucie wyższości nad Lemkami. Przybyli tu w ostatniej kolejności, aby zasiedlić najbardziej zniszczone gospodarstwa. Być Lemkiem znaczyło wówczas być gorszym, biedniejszym, z którego się wyśmiewano. Pisali o tym badacze problemu — Andrzej Kwilecki i Kazimierz Pudło. Trudno się dziwić, że w tej sytuacji Lemkowie starali się upodobnić do reszty społeczeństwa. Starsze pokolenie — mimo szoku związanego z akcją „W” — widziało pewne korzyści w asymilacji: możliwość znacznego awansu cywilizacyjnego i materialnego, możliwość w miarę normalnego współżycia z polską większością.

Do 1956 roku Lemkowie mieli ograniczoną swobodę poruszania się poza miejsce osiedlenia i całkowity zakaz zmiany miejsca zamieszkania. Nieliczne wyjątki odnosiły się do sytuacji, w których dochodziło do łączenia rozdzielonych przemieszczonych rodzin.

Na obszar dawnego województwa wrocławskiego przybyło ok. 16 tys. Ukraińców, z tego 90 proc. to Lemkowie. W powiecie lubińskim zamieszkało 2427 osób. W kronice gminy lubińskiej Czesław Sternicki zamieścił ich nazwiska, daty urodzenia i wieś, z której pochodzą. Dla wielu Lemków jest to swoista księga metrykalna i świadectwo tożsamości.

Lemkowie żyją dziś

w kilkunastu wsiach województwa legnickiego

Są to wsie mieszane — żyją w nich również Polacy. Z biegiem lat różnice

ki nim właśnie powstało w tym roku Stowarzyszenie Lemków. Jego szef, Andrzej Kopczy, mówi, że „najpierw były próby amatorskiego teatru lemowskiego w Legnicy. Polityka polskich władz dążących do rozbicia i asymilacji Lemków nie do końca okazała się skuteczna”.

Do stowarzyszenia należy ok. 300 osób. Prowadzą zespół taneczny i teatr amatorski. Ponadto mają również pewne ambicje polityczne. W ostatnich wyborach próbowali wystawić swoich kandydatów na posła i senatora. Tym razem nie udało się zabrać tylko po 2700 podpisów. Według szacunków stowarzyszenia w Polsce żyje obecnie ok. 60 tys. Lemków, na terenie województwa legnickiego — ok. 5 tys.

Większość spośród Lemków to grekokatolicy, którzy od niedawna mają w Legnicy swojego biskupa. Wyznający prawosławie Lemkowie — póki co — mają cerkwie. Bez względu jednak na wyznanie, religia pomagała Lemkom utrzymać ich tożsamość. W cerkwiach obu wyznań trudno dziś odróżnić, co lemowskie, a co boskie. Pięknie haftowane „ręczniki” przykrywające ołtarze posiadają zróżnicowane wzory jak zróżnicowane były poszczególne wsie Lemków. W cerkiewnym śpiewie tylko wytrawny muzykolog potrafi odróżnić elementy religijnej frazy od ludowych przyspiewek. Cerkiew pomaga w oddzieleniu tego, co lemowskie od tego, co obce.

Do czasu utworzenia własnego stowarzyszenia większość Lemków należała do Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego. Jego liczebność (atrakcyjność?) jest jednak niewielka i nie przekracza 5 proc. ogólnej liczby Lemków w naszym województwie (wg przybliżonych obliczeń).

Istnienie UTSK postawiło na nowo kwestię

tożsamości Lemków

Nie stanowią oni odrębnej grupy narodowościowej i w oficjalnych urzędowych formularzach wpisują w rubryce „narodowość” — Polak lub Ukrainiec. Jednak zdecydowana większość spośród nich nie czuje się w pełni ani Ukraińcami, ani Polakami. W UTSK czuli się z pewnością nieco obco i stąd duża rezerwa wobec towarzystwa. Ci zaś Lemkowie, którzy należą do UTSK deklarują się jako Ukraińcy i sami przez to traktują swoje lemowskie pochodzenie etniczne jako przeżytek.

Do nowo powstałego Stowarzyszenia Lemków należy również niewiele osób. Wiąże się to z krótkim czasem działania stowarzyszenia zapewne, ale czy wyłącznie? W każdym razie utworzenie stowarzyszenia daje szansę Lemkom na podtrzymanie własnej odrębności. Pytanie tylko — na jak długo? Bez szkół z własnym językiem, bez nowych instytucji, wysiłki Andrzeja Kopczy i skupionych wokół niego ludzi nie zdadzą się na wiele.

Jak w każdej grupie mniejszościowej tak i wśród Lemków można spotkać różne opinie na temat ich asymilacji. Obok tych, którzy widzą w tym zjawisku obojętną konieczność, są i tacy również, którzy pragną zachować swoją etniczną tożsamość. W każdym razie coraz więcej lemowskiej młodzieży przestaje się wstydzić używając swojego języka w miejscach publicznych. Czas pokaże, czy to tylko chwilowy zwrot, czy też głębsza tendencja oznaczająca przebudzenie Lemków.



Akcję „Wisła”

Wzięło w niej udział ponad 17 tys. żołnierzy Wojska Polskiego, KBW i MO. W trakcie działań wyeliminowali oni z walki ok. 1500 członków UPA. Ponadto władze postanowiły przesiedlić całą ludność zamieszkującą te tereny. Od kwietnia do 1947 roku zamiar ten realizowano tak gorliwie, że omyłkowo przesiedlono również niewielką liczbę ludności polskiej. Tym jednak pozwolono w miarę szybko na powrót.

Jan Szkurat, sołtys z Liścia, należy do tych, którzy mogli wrócić na Lemowszczyznę dopiero po 1956 roku. W czasie wojny był „krasnoarmiejcem”. Po powrocie z wojny do rodzinnej wsi Bortne (dzisiaj Bartne) w powiecie gorlickim nie zastał rodziców. Wyjechali do Związku Radzieckiego. On został.

Wiosną 1947 roku do jego wsi przyjechał oddział polskiego wojska. Wkrótce rozeszła się wieść, że będą ewakuować Lemków. — Oficer mówił, żeby nie zabierać plugów i ciężkiego sprzętu, bo tam wszystko będzie — wspomina Szkurat. — Ale ludzie brali wszystko, co mieli, co udało się im wrzucić do wagonu towarowego, w którym musieli się pomieścić dwie rodziny z całym ich dobytkiem. Podróż trwała około tygodnia. Trzeba było robić postoje, bydlę na karmić, zdobyć czystą wodę do picia. W końcu przyjechaliśmy do Miłkowie. Tam już wszystko było zajęte. Wrócili nas do Legnicy, a potem już był Liściec.

Z Bortnego przyjechało tu 38 rodzin. Wówczas stacjonowało we wsi jeszcze wojsko radzieckie, Polaków nie było. Chłopi spod Gorlic chcieli ziemi i kupowali ją za obiegową walutę, jaką wówczas był alkohol. Raz kupili i podzielili na 38 kawałków. Za mało — coż to jest — narzekali Lemkowie. Powtórzyli więc transakcję jeszcze raz i jeszcze raz. W jakiś czas potem polskie władze zatwierdziły wszystko i nawet obiecały dodać im ziemi. Skończyło się na obietnicach, a w Liściu przez wiele lat 138 hektarów ziemi podzielonych było na 38 działek. Są to małe gospodarstwa. Toteż wszyscy ich właściciele, żeby wyżyć, imali się dodatkowej pracy. Byli robotnikami w powstającym na ich oczach PGR-ze, a po erupcji wulkanu

W mijającym roku legnicki sport odniósł sporo sukcesów. Zawodnicy i drużyny z naszego regionu zdobyły kilkadziesiąt medali na najważniejszych imprezach rangi krajowej i europejskiej. Cieszyli się kibice, radowali działacze, którzy w każdym krążku widzieli szansę przedłużenia (niekiedy wątpliwej) egzystencji na sportowym firmamencie. Tym razem nie o sukcesach. Postanowiliśmy ułożyć własną, niezależną „czarną listę” legnickiego sportu. Taka tytułowa parszywa trzynastka. Znajdą się na niej ludzie, kluby, zjawiska, które w 1989 roku miały miejsce i które można nazwać plamą lokalnej kultury fizycznej. Publikujemy ją w przekonaniu, że z tej lekcji w przyszłym roku zostaną wycofane właściwe wnioski. Naszym pożytecznym życzeniem jest, by za rok nie było „wsadu” do tego typu klasyfikacji...

Zaczynamy od przyznania tytułu honorowego. Tytuł jak najbardziej honorowy, na który zasłużył „ktoś” ze sportowej centrali, a jest tym kimś Polski Związek Tenisowy. Panowie z PZT będący wybitnymi fachowcami w rozliczeniach podstolików, dogadali się ze szwedzkim menag tenisowym mr Profusem i „odstąpiono” mu utalentowanego tenisistę Adama Skrzypczaka z Zagłębia Lubin. Ten piętnastoletni chłopak robi błyskawiczną karierę i jego wartość rynkowa dochodzi do prawie 300 milionów złotych polskich. Zeby było śmieszniej, nikt nie prosił lubińskiego klubu o zgodę na ten transfer. Rzecz jasna, na konto Zagłębia nie wpłynęła ani złotówka, co nie oznacza, że promieniści PZT są biedni. Nowe samochody kosztują... Dolarzy do kieszeni, figa dla Zagłębia i chyba zasłużony tytuł honorowego parszywca...

Teraz będzie już bez honorowych szarf. Będzie normalnie, tzn. niewesoło.

Pierwsze miejsce na naszej czarnej liście przyznaliśmy jednogłosem ekscyżarowcowi Górnik Polkowice Krystianowi Szymikowi. Facet ten robił niezłe wyniki, ale miał pecha, gdyż po mistrzostwach kazano mu oddać siusiu do badania. Wątpliwości nie było. Szymik był dokładnie nafaszerowany testosteronem. On sam został zawieszony, klub otrzymał taką karę w lidze i w złotówkach, że do tej pory czkawka ich męczy. Argumentem przemawiającym za kandydaturą Szymika jest jego małomówność. Mimo usilnych starań kilku dziennikarzy i speców z PZPC nie puścił parzy z ust. „Toteż nie dowiedzieliśmy się, kto mu podał koks...”

Druga lokata także przypadła w udziale zawodnikowi Górnik Polkowice. Mowa o kolarzach: Robertcie Krzyżostaniku i Jerzym Woźniaku, którzy powołani zostali do kadry na wyścig dookoła Meksyku, ale w nim nie wystartowali. Na lotnisku w Chicago, gdzie mieli prześladkę, powiedzieli „cześć” i ulotnili się w 34 Avenue. Polski Związek Kolarski stracił kilka milionów — koszt przełotu, polskie kolarstwo — nie po raz pierwszy — twarz. Nikt tego kroku nie mógł w kraju zrozumieć. Prezes WFS, Ryszard Matuszak, który w Głogowie mieszka(!) z Robertem w jednym bloku, stwierdził, że tego nie rozumie. My potrafimy to zrozumieć, przypominając sobie przetargi o Roberta w czasie jego przenosin z Głogowa do Polkowic. Chłopak zażądał sporej gotówki, co dobrze świadczyło o jego zamiłowaniu do pieniędzy. Taka dezercja to milowy krok w rozwalaniu polkowickiego kolarstwa.

Na trzecim miejscu uplasowali się piłkarze i działacze Kuźni Jawor i Stali Chocianów. Pamiętamy nieszczęsny, a raczej komiczny finał wojewódzkiej Pucharu Polski w Prochowicach i wielką parodię futbolu. Stal zdobyła puchar i trzy dni później oddała w lidze Kuźni trzy punkty pomagając kolegom w utrzymaniu się w lidze. Oczywiście, przeprowadzono „wnikliwe śledztwo”, które niczego nie wykazało. Nie wiadomo, czy dogadali się działacze, czy też tylko piłkarze. Ponoc transakcja nie była zbyt wygórowana i nie przekroczyła 5 milionów...

Czwarte miejsce zarezerwowaliśmy dla duetu: wicewojewoda Tadeusz Podwiński i szef SZS Adam Kielbasa. Za co? Za wybitne osiągnięcia w „rozwoju” sportu szkolnego. Szczytem ich możliwości było to, że siatkarki międzyszkolnego klubu Cuprum po wywalczeniu awansu do 2 ligi nie posmakowały tego chleba. Wspomniany duet odpowiedzialny za losy szkolnych klubów nie potrafił przez pół roku załatwić niezbędnych spraw natury organizacyjno-finansowej, umożliwiających start lubinianek w drugiej lidze. Na to konto trzeba także zapisać rachityczną postawę siatkarki I-

Szóstą miejsce bez większych kłopotów wywalczył Artur Szostaczko, także tenisista ziemny z Lubina i także uciekinier. Nie przypominamy jego perypetii i mimo wszystko faktu sporej pomocy udzielonej mu przez Zagłębie. W rewanżu szefowie Zagłębia bardzo liczyli na Artura w rozgrywkach I ligi. I przelicyli się. Artur spakował klubowy sprzęt i wybrał tenisową wolność w RFN. Ponoć się już urządził udzielając lekcji podstarzałym Niemkom. Rzecz jasna lekcji gry w tenisa. Na marginesie tej ucieczki i przypadku polkowickiego zastanawiamy się poważnie nad trze-

bowi. W tym błogosławionym postanowieniu wytrzymał 4 dni. Ruszył w tango i ze zdumieniem stwierdził, że już nie jest zawodnikiem pierwszego składu. Gra w okręgówce nie bardzo mu się podobała, więc postarał się o czerwony kartonik. Teraz już nikt mu nie zarzuci, że nie gra za wódeczkę...

Lokata ósma tym razem jest zarezerwowana dla bokserów lubińskiego Zagłębia. Sprawa w sumie najświeższa. Rudzki, Zgierski i Strzechowski zostali powołani na turniej Stamma. Nie pojechali załatwiając sobie zwolnienia. Kilka dni po turnieju już „zdrowi” wystąpili w meczu ligowym. Podejrzanie o tchórzostwo przed Kubańczykami jest bezpodstawne. To raczej działacze tej sekcji wpadli na taki pomysł chcąc zachować siły bokserów na mecz ligowy. Na niewiele się to zdało, bo mecz ligowy lubinianie przegrali. Niasmak jednak pozostał.

Dziewiąte miejsce przyznajemy piłkarzom nożnym Miedzi za szczególnie „ambitną” postawę w rundzie jesiennej. No i za wysokie „umiejętności”. Przy okazji trzeba przyklasnąć ekstranerowi Konsewiczowi i działaczom za zorganizowanie zgrupowania w Zaporozu Głowę bym dał, że po męczącym sezonie trzecioligowym futbolisci raczej odpoczywali w Kraju Rad, a nie ostro trenowali. Efekt wszyscy widzieliśmy: bez szybkości, agresywności, bez umiejętności strzelenia z dystansu. A swoją drogą ciekawi jesteśmy, jaki wpływ na taką formę mają nierzadkie wizyty w lokalach gastronomicznych w porze bardzo nocej?

Miejsce dziesiąte zajęli działacze sekcji piłki nożnej Górnik Polkowice. Duży punkt w walce o 10 miejsce wywalczyli jeszcze w okręgówce. Przez czyjeś niedbalstwo piłkarze nie dojechali na mecz z Chojnowianką. Kroila się afera, ale sprawę umiejętnie wyciszone. Drugi punkt to polityka transferowa. Beniaminek na pniu zakupił 13 zawodników płacąc za nich sporo gotówki. Grupa bankietowa, mimo niezłych zarobków, nie zdołała się utrzymać w III lidze. Piłkarze nie narzekali, bo na finiszu ligi sprzedali kilka meczów i byli po milionie do przodu. Po aferze z lewym etatami w Victorii Walbrzych, prezisi nakazali piłkarzom zjazd na dół kopalni i improvisowanie pracy przynajmniej przez cztery godziny. Futbolistom się to nie podobało i proklamowali nieformalny bojkot. Prezisi się wystraszyli i jest po starcie. Jak długo? Może być długo, bo Górnikowi szykuje się powrót do III ligi...

I na tym powinniśmy zamknąć naszą listę, ale że jest to parszywa TRZYNASTKA więc dopisujemy:

11 miejsce — zarząd sekcji siatkówki Chrobrego Głogów. Po wywalczeniu awansu do drugiej ligi klub zakupił 4 siatkarki z Łodzi. W tej nowej sytuacji w drużynie z Głogowa gra czterech łodzian i dwóch chłopców z Wrocławia. W tym samym czasie najlepsi siatkarze Ikara Legnica emigrują do Sosnowca.

12 miejsce — władze sekcji piłki ręcznej Zagłębia Lubin, którzy po nieudanym finiszu ligowym całą winę zrzucają im... sprzedanie meczu z Miedzią.

13 lokata — sternikom sekcji piłki ręcznej w... Miedzi za „załatwienie” sprawy z trenerem Jeżakiem i zawodnikiem Bobkiem. Domniemywanie, że klub nie sprostał ich finansowym wymaganiom jest zgola błędne, gdyż w podobnej sprawie z innym zawodnikiem potrafiło się dogadać...

★

I to wszystko na dzisiaj. Przepraszamy tych, którzy się na tej liście nie znaleźli, choć robili wszystko, by na nią trafić. Wszystkim sportowcom i działaczom życzymy... nietrafienia za rok na powyższą listę. Zdrowych i wesołych świąt...

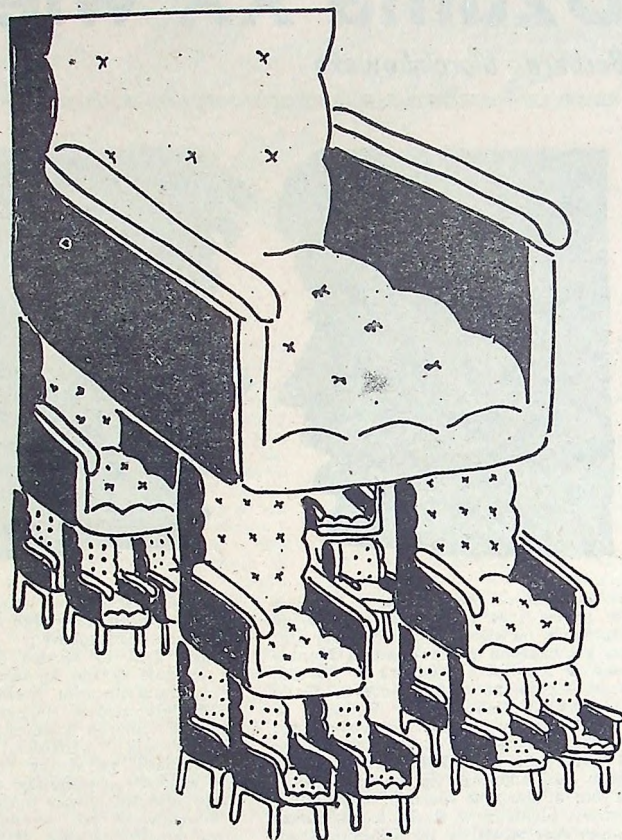
WERONIKA JAKUBOWSKA

Legnica

Konkrety 13

Parszywa trzynastka

Zygmunt Jakubowski



kara, którzy mogliby być w 2 lidze gdyby... No właśnie. W tym roku znów dwóch najlepszych siatkarzy zasiliło Płomień Milowice. Oby tak dalej!

Na piątym szczeblu tej listy umieściliśmy szalikowców Zagłębia Lubin i Chrobrego. Ci pierwsi „zapracowali” na tak wysokie miejsce ordynarnym chamsstwem na każdym meczu ligowym i zdemolowaniem pociągu w czasie podróży na mecz do Wrocławia. Fani Chrobrego nie chcą być gorsi urządzili sobie w czerwcu najazd na Legnicę niszcząc co się da i bijąc kogo popadnie. Postawa tych młodych ludzi, a także ich współplemieńców z Miedzi i Kuźni przekonała nas, że decyzja ministra Kiszczaka o rozwiązaniu ZOMO była wielkim nieporozumieniem. W czasach kiedy nie wypada być opozycją polityczną, długie pały są niezbędnym narzędziem w zaprowadzaniu ładu na stadionach.

cią listu anonimowego działacza, który sugeruje istnienie mafii handlującej legnicko-lubińskimi sportowcami. Jakiś procent z tych niby-ucieczek zasila klubowe kasy. Fikcja? Może. Jeżeli w ramach tych dziwnych ucieczek pojawi się nazwisko zawodnika podane w owym anonimowym liście, to uwierzmy we wszystko co tam napisano...

Siódemka w naszym przypadku nie oznacza cyfry szczęśliwej. Trudno. Przyznajemy ją piłkarzowi Dawkowi Marciniakowi. Chłopak ma niewątpliwie talent do skórzanej kuli i nie mniejszy do rozrywkowego życia. Kilku działaczy Zagłębia już posiwało przy próbach reorganizacji Darczka. Nie pomogli nawet śniadania u dyrektora Halamskiego. NIC. Piłkarz w połowie roku na łamach kilku poważnych gazet złożył uroczyste zapewnienia, że już więcej nie sięgnie po kieliszek i nie sprawi kłopotów klubu...

listy

„Przysłona zero”

W nawiązaniu do krytycznej notatki w „Konkretych” nr 42 zarząd Legnickiej Spółdzielni Mieszkaniowej wyjaśnia, że usunięcie powstałej szkody na ociepleniu ściany szczytowej w budynku przy ul. Horyzontalnej 29 zostanie wykonane do końca br.

Mamy gwarancję wykonawcy robót, który po zakończeniu swoich aktualnych

prac w budynku przy ul. Biegunowej 4-20 przystąpi do usuwania ubytków ocieplenia ścian szczytowych oraz naprawy szkody powstałej przy ul. Horyzontalnej 29.

ZENON KARCZ
prezes zarządu
Legnickiej Spółdzielni
Mieszkaniowej

Klient podchodzi...

Pragnę podzielić się z czytelnikami wrażeniami, jakich doznałem w związku z obsługą klientów w Składzie Cel-

nym przy ul. Waszkiewiczza w Legnicy. Około półtora miesiąca temu kupiłam tam odtworzac „Samsung”. 15. 11. 1989 roku oddałam sprzęt do naprawy i poinformowano mnie, iż sprzęt odbiorę za tydzień. W wyznaczonym dniu okazało się, że magnetowid jeszcze nie jest naprawiony. Przez trzy następne dni jeździłam do składu celnego po to tylko, żeby dowiedzieć się, iż odtworzacz jeszcze nie został naprawiony. W piątek 24.11. po południu odebrałam sprzęt bez możliwości sprawdzenia na miejscu. W domu okazało się, że odtworzacz jest nadal zepsuty. W poniedziałek po pracy zmuszona byłam zawieźć sprzęt do

składu celnego. W związku z tym interesowały mnie warunki i termin naprawy gwarancyjnej oraz ewentualność wymiany sprzętu lub możliwość zwrotu gotówki. Na żadne moje pytanie nie dostałam konkretnej odpowiedzi. Zostałam potraktowana lekceważąco, jak powietrze. Do tej pory nie wiem, jakie mam prawa, a jakie obowiązki spoczywają na spółce z o.o. w stosunku do sprzętu podlegającego naprawie gwarancyjnej.

Na AIDS zmarło w Polsce 18 osób, nosicieli wirusa HIV stwierdzono dotychczas 530. „Dziwną chorobę” wykryto najpierw w Stanach Zjednoczonych, a przynajmniej tam odnotowano pierwsze zachorowania i zgony, a także zaczęto prowadzić statystykę ilustrującą niebezpieczne rozprzestrzenianie się nieznanego wirusa. W USA wirus HIV pojawił się prawdopodobnie już w 1978 roku, a chorobę rozpoznano w 1980 roku w Nowym Jorku. Do jednej z klinik przyjechał 32-letni mężczyzna (jak się potem okazało — homoseksualista) w bardzo ciężkim stanie. Mimo wysiłków lekarzy chory zmarł po kilku miesiącach leczenia. Ofiary AIDS, co początkowo dezorientowało lekarzy, wykazywały różne objawy chorobowe, ale łączyło je jedno: gwałtowny rozwój i przebieg łagodnych zazwyczaj chorób, nieskuteczność leczenia, wreszcie śmierć pacjenta...

Najpierw pojawia się strach

Pierwsze informacje o AIDS wywoływały w naszym kraju uśmiech politowania. — Rady nie możemy dać sobie z salmonellą a strasznyemu ludzi „adidasem” — słyszało się często komentując. Zresztą, po trosze uzasadnione. Przeciwny obywatel, niehomoseksualista przecież, nie musi mieć wyobraźni naukowca czy lekarza, który zna groźbę słowa „epidemia”. A zjawisko rozwoju epidemii jest bardzo ciekawe. Najpierw — nieważne, czy chodzi o epidemię dżumy, cholery czy zwykłej grypy o łagodnym przebiegu — występują zachorowania pojedyncze, nieliczne, marginalne. Zwiastuny choroby nie niepokoją, bo jest ich niewiele. Wirusy tymczasem „szykują się” do „ataku generalnego”. Jeżeli zbiorą dostatecznie dużo sił — następuje moment zwrotny w rozwoju epidemii. Nagły, niekontrolowany, nieoczekiwany wzrost zachorowań, którego już nie można opanować: zachorowania i zgony mnożą się w postępie geometrycznym, dziesiątkują skupiska ludzkie, śmierć zbiera żniwo bogatsze niż w czasie wojny...

Człowiek średniowieczny, obserwujący skutki tak częstych w swoich czasach epidemii, upatrywał ich przyczyn w „morowym powietrzu”. Nie znane przecież były bakterie, prątki i wirusy. „Morowe powietrze” było karą z niebios, ostrzeżeniem czy też szczególną formą doświadczenia ludzkości. Godził się z tym, ale też wynalazł lekarstwo: ucieczkę od ogniska choroby, izolację chorych. W przypadku np. trądu było to dosyć łatwe: widoczne objawy choroby były zarazem wyrokiem. Strach przed chorobą był silniejszy niż odruchy serca. Strach przed nieznanym drzeł się w każdym z nas. I kiedy wreszcie okazało się, że AIDS nie jest tylko kaczka dziennikarska, że dotarł do naszych domów, przychodni i szpitali, strach ukazał swoje janusowe oblicze. Pielęgniarki i salowe odmawiały pomocy rodzącej chorej, rodzeństwo żąda wyprowadzenia się z domu chorego brata, a mieszkańcy osiedla piszą sżaliste protesty przeciw umieszczeniu w pobliżu ich domów przychodni dla chorych na

W woj. legnickim od półtora roku bada się wszystkich dawców krwi na obecność wirusa HIV. Przebadano wszystkich chorych na narkomanie, leczonych w zamkniętych placówkach służby zdrowia, znaczną ilość prostytutek i tych homoseksualistów, którzy wyrazili zgodę na pobranie krwi. Poza tym na obecność wirusa HIV badane są osoby wyjeżdżające za granicę, jeśli wymagają tego przepisy kraju docelowego i w tym przypadku badanie kosztuje 10 tys. zł.

Wszyscy, którzy chcą przeprowadzić badania na obecność wirusa HIV, lub zasięgnąć szczegółowych informacji na ten temat, powinni skontaktować się z najbliższą stacją sanepidu, oddziałem PCK lub zgłosić się do poradni skórno-wenerologicznej.

Dotychczas w woj. legnickim stwierdzono jednego nosiciela wirusa HIV, trzy inne osoby są podejrzane o nosicielstwo.

AIDS. Pielęgniarka z oddziału chorych na AIDS Kliniki Chorób Zakaźnych Akademii Medycznej w Warszawie chętnie rozmawia z dziennikarzem o swojej pracy, ale odmawia podania nazwiska. „Nauczyłam się nie przyznawać, gdzie pracuję”...

wyżej 60 st. Celsjusza, toteż łatwo go „zabić”. Właściwie wirus HIV nie ma dogodnych warunków do przeżycia poza organizmem nosiciela — a ponieważ do innego organizmu przedostaje się poprzez uszkodzoną skórę lub błonę śluzową, przypadkowe zarażenie się AIDS jest mało prawdopodobne.

To, co już o AIDS wiemy, powinno, przynajmniej teoretycznie, zahamować rozwój epidemii. Z jednej strony wiemy przecież, jak wystrzegać się zachorowania, z drugiej — potrafimy go wy-

wymi i chorymi nie istnieje. Jeśli chcemy ją stworzyć — obróci się to przeciwko nam. A że jesteśmy bardzo blisko epidemii, której opanować nie będziemy w stanie, świadczą fakty.

Przed rokiem 1981 w USA stwierdzono 57 zachorowań na AIDS. W roku 1981 — 255, w 1982 — 832, a w roku 1986 chorych było już prawie 30.000. W tym też roku stwierdzono zachorowania w 26 krajach Europy, w Ameryce Południowej, Japonii, Australii, Chinach. Na 100.000 chorych w 1986 roku aż połowa, 50.000, przypadła na Afrykę, co wcale nie jest przypadkiem, bo tam prawdopodobnie AIDS wziął swój początek. W Afryce zachorowania na AIDS nastąpiły prawdopodobnie już w latach sześćdziesiątych, a ze względu na specyficzne warunki i brak odpowiedniej opieki lekarskiej, wirus rozwijał się bez przeszkód nie rozpoznany i nie dostrzegany. Dane dotyczące chorych i nosicieli na kontynencie afrykańskim są szacunkowe, w rzeczywistości może ich być kilkakrotnie więcej.

Pierwszego chorego w Polsce odnotowano jesienią 1986 roku, był to Polak, który powrócił do kraju po kilkunastoletnim pobycie w USA. Do połowy 1987 roku rozpoznano 33 zakażenia wirusem HIV, nosicieli wirusa jest ponad 500 osób...

Jest to jeszcze liczba pozwalająca na opanowanie sytuacji, zduszenie epidemii w zarodku. Ale aby tak się stało — zamiast odwracać się od chorych, trzeba stworzyć system opieki lekarskiej nad nosicielami wirusa i chorymi.

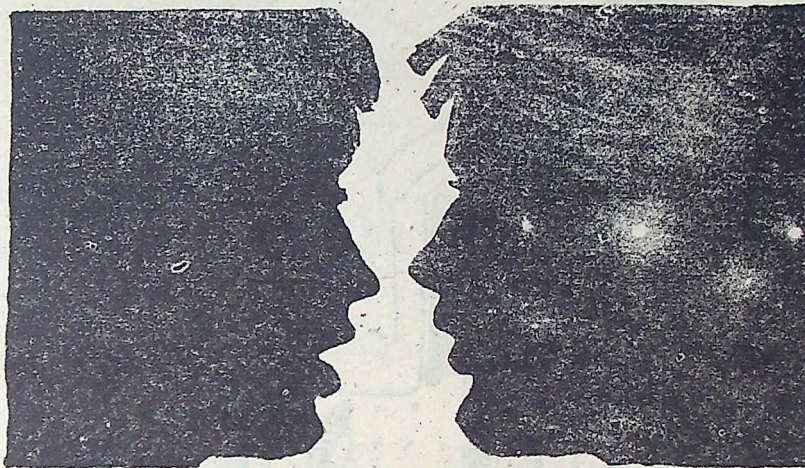
Ryzyko można zmniejszyć

Nie wszyscy nosiciele wirusa HIV chorują lub też muszą zachorować na AIDS. Choroba może, ale nie musi się rozwinąć. Jest to ogromna szansa także dla nosicieli wirusa, choć ryzyko zachorowania jest u nich znacznie większe, a choroba może ujawnić się nawet po kilku latach wylegania. Najbardziej narażeni na zakażenie są homoseksualiści, biseksualiści, narkomani i prostytutki. Ryzyko zachorowania jest większe dla osób często zmieniających partnerów seksualnych i nie stroniących od stosunków przypadkowych i przygodnych. Można je zmniejszyć stosując stale prezerwatywy i unikając niektórych form współżycia seksualnego (coitus analis, coitus in ore). Chory na narkomanie nie powinni używać wspólnych strzykawek i igieł. W wielu krajach bada się dawców przed pobraniem krwi, aby nie doprowadzić do zakażenia tą drogą. U nas w Polsce badania takie rozpoczęto, ale nadal istnieje ryzyko zakażenia pacjenta z powodu stosowania strzykawek i igieł wielokrotnego użytku. Należy też wiedzieć, że nosiciele wirusa HIV ryzyko zachorowania na AIDS mogą zmniejszyć stosując zdrową dietę, prowadząc higieniczny tryb życia, unikając nadmiernego wysiłku, alkoholu, papierosów, przeziębień.

Poszukiwania szczepionki i leku działającego na HIV, chociaż intensywnie prowadzone w licznych ośrodkach naukowych na świecie, jak dotąd, nie przyniosły rezultatu. Może zresztą lek taki nie istnieje?

Dzuma XX wieku

Barbara Marcinkowska



dek odporności organizmu u chorego. Ale już w 1984 roku duże, pracujące niezależnie od siebie grupy badaczy (jedną prowadzoną przez Łukasza Montagnier w Instytucie Pasteura w Paryżu, drugą kierowaną przez Roberta Gallo w Instytucie Rakowym w Bethesda w USA) odkryły wirusa powodującego chorobę, nazwanego, obecnie w skrócie, HIV (Human immunodeficiency virus). Wirus HIV znajduje się we krwi zakażonych, a także w spermie, wydzielnie pochwy, niekiedy w ślinie, łzach, moczu i kale. Jest wrażliwy na działanie środków odkażających (np. lizol, formalina, alkohol, podchloryny) i temperaturę po-

rowania, z drugiej — potrafimy go wykryć, a więc ostrzec jego nosicieli przed dalszym nieświadomym przenoszeniem wirusa. Jest to bardzo dużo, ale, jak się okazuje — nie wystarczy. Przeszkodą w zahamowaniu rozwoju epidemii AIDS jest zdrowe społeczeństwo, które traktuje chorych i nosicieli wirusa z nieukrywaną wrogością. Mechanizm kontreakcji ze strony chorych może być znacznie groźniejszy w skutkach — czego przecież chorzy mają świadomość.

Traktowany jak wyrzutek społeczeństwa nosiciel wirusa HIV ma możliwość zakażenia chorobą wielu, bardzo wielu zdrowych. Granica między zdro-

wielką sympatią, co według mnie jest nieprawdziwe. Mniejszość ukraińska jest w naszym narodzie tolerowana z zapewnieniem jej takich samych praw jak ludności polskiej.

Jestem byłym mieszkańcem województwa lwowskiego na terenie obecnej zachodniej Ukrainy. Większość przesiedleńców na zachodzie Polski, również pochodzący z obecnej zachodniej Ukrainy, mieliśmy możliwość żyć razem z Ukraińcami. Ukraińcy — rodacy biskupa pana Martyniaka każdą nadarżającą się okazję wykorzystywali, żeby mordować Polaków. Ostatnią taką okazją, kiedy Polacy byli masowo mordowani przez Ukraińców, była II wojna światowa.

Pod zaborem niemieckim w Małopolsce wschodniej zamieszkałej przez ludność mieszaną polsko-ukraińską działała bandycka organizacja, Ukraińska Powstańcza Armia, która za zadanie postawiła sobie wymordowanie na wschodzie Polski wszystkich Polaków. W różnych miejscach wywieszali ogłoszenia napisane po ukraińsku do ludności polskiej następującej treści.

„Polacy! Nakazuje się wam opuścić tereny zachodniej Ukrainy za 48 godzin. Po tym terminie będziecie podlegać likwidacji”. Z prawej u dołu podpis: Ukraińska Powstańcza Armia. Termin nie był przestrzegany.

Kolejny po fachu (księża) — pana biskupa Jana Martyniaka Ukraińcy nie tylko, że nie wychowali ludności ukraińskiej w miłości do bliźniego, ale pod okupacją niemiecką zamienili w kościołach ukraińskich naukę Bożą na naukę ukraińskiego bandytyzmu. W kościo-

łach ukraińskich poświęcali: noże, siekiery i inne narzędzia służące do mordowania Polaków.

Obecna Ukraina znowu staje się krajem niebezpiecznym dla Polaków. Zdarzają się na razie, choć rzadko, przypadki mordowania Polaków. Należy do ludzi, którzy swoje życie zawdzięczają wyzwoleniu przez Armię Czerwoną. Mój 84-letni dziadek i babka, jak wiele moim rodakom zostało pomordowanych przez bandy UPA.

Jestem ciekaw, jaki byłby stosunek Ukraińców w Polsce razem z biskupem panem Janem Martyniakiem do Polaków w przypadku wybuchu III wojny światowej?

ROMAN KOZAR
Gaworzyce

OD AUTORA: Jestem winny p. Kozarowi sprostowanie jednej informacji.

Rzeczywiście nie wszyscy Polacy, legniczanie, dumni są z greko-katolickiego biskupa. Dowodem powyższy list. Zapędziłem się widocznie w naiwny patriotyzm lokalny, uwierzyłem w tolerancję Polaków. Po prostu wydawało mi się, że możemy być dumni z tego, iż właśnie na Dolnym Śląsku Kościół ten znalazł mimo wszystko znośne warunki, doczekał się takiego człowieka.

Jest jednak kilka kwestii różniących nas z moim korespondentem. Przede wszystkim nie uwierzę, że Ukraińiec nie jest człowiekiem i jego nienawiść do Polaków jest zupełnie bez powodów. Nikt już nie jest w stanie wyważyć krzywd obu narodów. Można tylko współczuć pokrzywdzonym, życia nikomu nie przywrócimy. Przyczyny śmier-

ci zwykłych, nie wmieszanych w żadną politykę ludzi były najczęściej od nich niezależne. Dobrze, pewnie, leż w każdym razie, zrzucić winę na obcych. Skoro jednak mój adwersarz upoważnia swoim listem do argumentów osobistych spyta: Czy moja babka, Polka, miała zniecierpliwić Polaków za to, że jej syn przeżył wojnę i zginął od kuli nie Niemca, nie Ukraińca, a Polaka?

Może dlatego, że jestem bezwyznaniowcem, łatwiej mi spojrzeć, niż panu Kozarowi, na różne Kościoły. Tak się dziwnie składa, że chyba wszystkie poświęcały narzędzia zbrodni. Zawsze z przekonaniem, że użyte będą w jedynie słusznej sprawie. Każdy święcił, co miał, maczugi, noże, armaty. Byli tacy nawet, co imię Boga profanowali na przedmiocie (co prawda nie poświęconym) podtrzymującym spodnie.

Co do zarzutu goebelsowskiej kwalifikacji. Najprościej byłoby obrazić się, nie wiadomo tylko, na co bardziej: na sposób jakoś dziwnie znajomy, czy na przypisanie osobie Goebelsa, która, akurat z panem Kozarem oceniamy „podobnie”. Gdybym był tak cyniczny, jak pan sądził, przypomniałbym tylko, że żaden z uczonych, nawet tych potępiających Goebelsa, nie powiedział, że jego propaganda była nieskuteczna. W końcu Niemcy mu uwierzyli, nawet w to, że Żyd nie jest człowiekiem. Czy ja mam pisać, że Ukraińiec... Nie, ja otrzymałem porządne katolickie wychowanie. Taki polski paradoks...

MACIEJ GINGLAS-ZALEWSKI

listy

Między Moskwą a Rzymem

Protestuję i proszę o sprostowanie informacji w artykule z „Konkrety” nr 48. Artykuł jest poświęcony Kościołowi ukraińsko-katolickiemu (greko-katolickiemu, unickiemu) w Polsce i między innymi jego biskupowi, legnickiemu Ukraińcowi, panu Janowi Martyniakowi. Pan Gínglas-Zalewski pisze, że na terenie województwa legnickiego mamy ok. 3 tysięcy wyznawców Kościoła ukraińskiego, a w Polsce około 300 tysięcy wyznawców — polskich Ukraińców. Według redaktora miało wanie biskupem pana Jana Martyniaka — to radość dla 300 tysięcy Ukraińców w Polsce, zaszczyt dla legniczan, walbrzychian i tak dalej. Lista zaszczyconych podana przez pana redaktora jest długa.

Takiego pracownika jak pan Maciej Gínglas-Zalewski nie powstałoby nawet sam minister propagandy III Rzeszy Niemieckiej Goebels, który mówił, że naród uwierzy w każde kłamstwo pod warunkiem, że to kłamstwo będzie się powtarzało tysiąc razy. Artykuł „Między Moskwą, a Rzymem” popsuł mi samopoczucie na wiele tygodni. Można z niego wyciągnąć wniosek, że Ukraińcy są darzeni przez Polaków

Dokładnie rok temu, gdy spacerowałam po pekińskim placu Tian-An-Men, przychodziły mi do głowy różne myśli, ale nie ta, że za kilka miesięcy stanie się on sceną krwawych porachunków ze strajkującymi studentami. W Pekinie było cicho, spokojnie, nawet trochę sennie. Inny temperament mieszkańców Państwa Środka sprawia, że dla nas, Polaków, poruszają się, mówią, pracują flegmatycznie, aby nie powiedzieć — leniwie. A przełom naszego europejskiego starego i nowego roku to też w Chinach żadne święto. Mają swój kalendarz, swój Nowy Rok, obchodzony również uroczysto, choć inaczej.

Chiny fascynowały przez stulecia i fascynują nadal. W mijającym roku, roku Węża, świat dwukrotnie zwracał baczniejszą uwagę na tego kolosa: raz z powodu manifestacji studentów, które stały się pretekstem do zwrotu w polityce wewnętrznej, zewnętrznej i gospodarczej Chin, powtórnie przy wyróżnieniu dalajamy Pokojową Nagrodą Nobla, co zresztą wywołało ostry protest chińskiej ekipy rządzącej.

Nobel dla uchodźcy

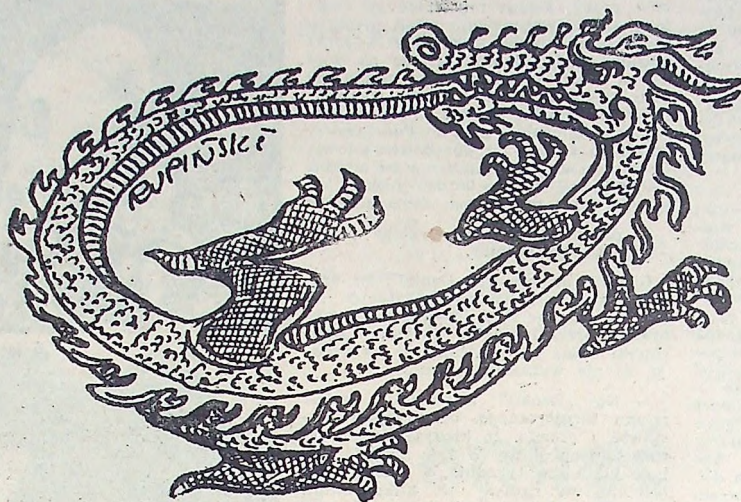
Nagrodę odczytano w Pekinie na swój sposób: jako próbę mieszaną się w wewnętrzne sprawy Chin, obrażania narodu i tak dalej. Można ową notę, wystosowaną do parlamentu norweskiego, zinterpretować też jako erupcję wulkanu długo gotującego się wybuchu. Władze pekińskie mają przecież świadomość, że na całym nieomal świecie zarówno sposób rozprawienia się ze studentami, jak i uszytywanie się wobec rozpoczętego ledwie-łedwie procesu reform (tutaj nasuwają mi się inne słowa — najlepiej przystawałoby określenie „reakcyjny”, ale specje od polityki nie wymyśliłi jeszcze pojęcia socjalizmu reakcyjnego) przysporzyły i sympatyków im nie zjednały. Nagroda dla dalajamy, to policzek w sensie moralnym, bankructwo idei asymilacji (czytaj: ujarznienia i podporządkowania) Tybetańczyków.

Chiny nigdy nie były monolitem, choć za taki je uważaliśmy ze względu na nieomal hermetyczną, wielowiekową izolację, barierę językową, niezrozumiałą zupełnie kulturę. W rzeczywistości ojczyzna czwartej części mieszkańców północnej Ziemi zamieszkiwana jest przez 56 narodowości, a język dzieli się na wiele dialektów znacznie bardziej odległych, niż kaszubski od góralskiego. Do tego stopnia, że mieszkańcy północnych i południowych obszarów Chin mogą się porozumieć jedynie na... piśmie, jeżeli, oczywiście, sztukę odczytywania ideogramów dostatecznie opanowali... Ale wróćmy do Tybetu. Minęło właśnie trzydzieści lat od aneksji Tybetu przez Chiny po stłumieniu antychińskiego powstania. Ze takie powstanie wybuchło, nie ma się czemu dziwić, bo Tybet z Chinami właściwymi niewiele ma wspólnego.

Podbiły przez Mongołów w XIII wieku, już w sto lat później usamodzielnia się, dzięki wzrostowi politycznego wpływu lamaizmu, a od XVII wieku dalajama staje się faktycznym władcą Tybetu. W zależności od Chin popada znow, w XVIII wieku. Fakty dokonane potwierdza w 1951 roku „Układ o pokojowym wyzwoleniu Tybetu”, co, w rzeczywistości, przesądziło o losach czterech i pół miliona Tybetańczyków. Re-

Chiński syndrom

Agnieszka Szydłowska



socjalizowani w duchu ogólnochińskiego przemian socjalistycznych Tybetańczycy wzniesili antychińskie powstanie narodowe w 1959 roku. Aby uniknąć represji, Tybet opuściło ponad sto tysięcy jego rdzennych mieszkańców, w tym także obecny dalajama. Szacuje się, że ok. 10 tysięcy uciekinierów dotarło do Australii, Kanady, USA, RFN, Szwajcarii i Francji. Państwa te przyjęły ich gościnnie, obdarowały obywatelstwem i przywilejami stąd wynikającymi. Sto tysięcy Tybetańczyków zamieszkuje w Indiach, a siedzibą dalajamy i rządu emigracyjnego stało się miasto Dharamsala. Tybetańczycy na emigracji żyją nadzieją powrotu. Jeśli nie w tym, to w następnym wcieleniu. Lamaizm jest przecież odłamem buddyzmu. W Indiach traktowani są jak obcy, bo obcy jest ich język, obyczaj, a także religia. Wyrosło następne pokolenie emigracyjne, młodzi ludzie, którzy nierzadko ukończyli studia i w Tybecie ojców — ubogim i zgrzebnym, nie znaleźliby już dla siebie miejsca. Dharamsala, miasto tybetańskie w Indiach, ma 12 lamajskich klasztorów, szkołę dla duchownych, klasztor żeński, dom spokojnej starości dla lamów i mnichów, bibliotekę, archiwum, wystawy sztuki tybetańskiej. I dalajamę — Yeshi Norbu. „Gdziekolwiek przebywa Yeshi-Norbu, jest to święte miasto” — mówią Tybetańczycy. On jednocy, daje siłę i władzę. Bieczny klejnot, Ocean Mądrości. Wierzą, że odrodzi się powtórnie w Tybecie. On sam tak nie sądzi. „Najgorszą byłaby utrata naszej tybetańskiej tożsamości, wymazanie nas z mapy świata. Byłaby to rzecz najgorsza, a istnieje niebezpieczeństwo, że może się tak stać naprawdę”.

Autorytet moralny dalajamy spęda sen z powiek władców z Pekinu. Choć przez trzydzieści lat działali, że w Tybecie wszystko, co tybetańskie, traktowane jest z lekceważeniem i pogardą. Pismo tybetańskie uległo prawie całkowitemu zapomnieniu, sam język zawiera mnóstwo słów chińskich, a uczeni i lamowie na ogół umierali w więzieniach z głodu lub na skutek tortur...

Zaprawdę, groźnym przeciwnikiem dla Chin, liczących prawie miliard mieszkańców, jest dalajama, sprawujący rząd dusz nad czterema milionami Tybetańczyków...

Jak w teatrze cieni

Chińską specjalnością jest teatr cieni i cień jego teatru odnalazłam w wydarzeniach na placu Tian-An-Men. Nie jestem do końca przekonana, czy ofiarami represji nie stali się także dziennikarze Van i Hu — moi koledzy z kursu językowego w Lipsku. Dramat uczestników akcji protestacyjnej przeżywałam więc podwójnie. Włosy stają dęba,

gdy czyta się o takich apelach, jak ten z „Zemninzypao” — pochwalający donosicielstwo i wprost do niego nawołujący. Jest to logiczne. Tak olbrzymi kraj nie może sobie pozwolić na utrzymywanie armii zawodowych donosicieli, bo go na to nie stać. Skoro nawet uczniowie szkół podstawowych pracują „dla dobra kraju”, w którym bieda aż piszczy, to liczy się każda para rąk do pracy, a nie do „poczty pantoflowej”.

W ciągu ostatnich lat w Chinach w nielase (głównie z tego powodu) była też armia. Paradoxs? Niezupełnie. Pół tysiąclecia żołnierze grabili, gwałcili, mordowali. W pamięci ludu zapisali się nie jako obrońcy, lecz ciemiężcy. Zamieszki między cywilami a żołnierzami nie należały do rzadkości także w dziejach Chińskiej Republiki Ludowej, chociaż informacje o nich rzadko docierały do opinii publicznej. Coś tam jednak zawsze przeciekało do wiadomości dziennikarzy zagranicznych. Np. „epizod” w miasteczku Zhangye w listopadzie 1987 roku, gdzie w pijackiej bójce z żołnierzami zginęło kilkunastu cywilów, a kilkunastu lub kilkudziesięciu innych odniosło rany. Wcześniej, we wrześniu tego roku, kadet szkoły lotnictwa w Changsha został skazany na śmierć za pobicie studenta uniwersytetu. Student zmarł, oprócz kadeta ukarano i jego dowódcę za brak dyscypliny, aby uspokoić studentów. Powszechne w ostatnich latach stały się kradzieże broni i sprzętu wojskowego. Uzbójonych cywilów, co prawda, nie widziałam, ale co bogatszy Chińczyk (zwłaszcza właściciel i właścicielki kramów na bazarach) paradował w wojskowym, ocieplanym płaszczu. Można też było taki płaszcz (koszmarnie brzydki, jak większość wyrobów na kraj) kupić na bazarze za trzysta juanów (wtedy około 80 dolarów USA po kursie oficjalnym i ponad 40 po czarnym rynku), czyli 3 miesięczne przeciętne pensje. Stosunek do armii najlepiej odzwierciedla chińskie przysłowie: „Nie bierz się do dobrego żelaza do wyrobu gwoździ i nie bierz się do dobrych ludzi, by robić z nich żołnierzy”.

Dla władców z Pekinu armia była też — powiedzmy — niewygodna. Podział kraju na regiony wojskowe sięga okresu cesarstwa i republiki. Są to niby-księstwa stanowiące domenę generałów. Dzisiejsi generałowie, panoszący się na swoich „włościach” od wielu lat, posiadają ogromne wpływy i nieraz decydują o polityce władz na swoim terenie. Toteż wrogi i niechętny nastawienie do armii raczej popierano. Do czasu. Latem tego roku wojsko wróciło do łask. Cierpieli i zdyscyplinowani Chińczycy wyczerpali zasoby cierpliwości, a w takich sytuacjach, jak wiemy, pozostają czołgi jako ostateczny argument.

Cień wolności pojawił się na placu Tian-An-Men w roku Węża nagle i równie szybko znikł... Na jak długo?

Nowy, stary mur

Chińczycy niewiele wiedzą o „pierestrojce”, przemianach zachodzących w Polsce, Czechosłowacji, NRD. Cenzura czuwa. Nowy mur ochrzczono mianem „bambusowej kurtyny”. Jest szczelna. Aby wiedzieć, jak bardzo, trzeba osobście porozmawiać z mieszkańcem Państwa Środka. Na szczęście, są ludźmi myślącymi. Mówią niewiele, w stosunkach z cudzoziemcami nie są wylewni, ale wyczuwa się, że mimo silnego poczucia identyfikacji z kulturą narodową, pragną otwarcia Chin. Nie deklarowanego, lecz rzeczywistego. Specyfika kultury, izolowanych przez tysiąclecia Chin, podobnie jak chińska kuchnia, opiera się wszelkim opisom i uogólnieniom. Są tradycje głęboko zakorzenione w świadomości, dla nas niepojęte. Na przykład, cnota synowskiej nabożności, przez tysiąclecia fundament chińskiej rodziny.

W literaturze (czy tylko?) opiewa się hynów, którzy osłabionych wiekiem rodziców karmili rosolem z własnego dziecka, synowe karmiące piersią bezżenne teściowe, zaprzędawanie dzieci w niewolę, aby rodzicom sprawić godny pochówek. Medycyna chińska, oprócz akupunktury, rozwinęła przemysł, a zarazem makabryczny zestaw medykamentów, wśród których, oprócz specyfików z wnętrza małp, jaszczurek, węży, tasemców i nieopierzonych, było odnaleźć fragmenty zwłok ludzkich. Mistrzowie wushu wierzyli, że dzięki ćwiczeniom qigongu potrafili się uodpornić także na... kule europejskich karabinów. Mistrzowie kuchni kańtońskiej do przyrządzania smakolejków używają nawet koników polnych i karaluchów, nazywając je zresztą poetycznie „polnym drobiem”. Nawet już w Pekinie mawia się złośliwie, że „w Kantonie jada się wszystko, co posiada nogi, z wyjątkiem stołu, wszystko, co lata, z wyjątkiem samolotów oraz pływa, z wyjątkiem okrętów podwodnych”... Dziwny, fascynujący kraj.

Niewiele komentatorów na świecie czuje się dziś na siłach, aby przedstawić prognozy rozwoju sytuacji gospodarczo-politycznej w ChRL. W chwili, gdy wydawało się, że zaczyna dominować polityka „otwarcia” i reform, wydarzenia na placu Tian-An-Men wywołały największy od czasów rewolucji kulturalnej kryzys polityczny. Lato w Pekinie było gorące...

Chińczycy nie mają urlopów, ale mają je przywódcy, którzy letnią kanikule zwykli spędzać w kurorcie Beidaihe nad Zatoką Bohai. W tym roku wakacje mieli tylko studenci, i to wakacje przedterminowe. Zresztą uczelnie praktycznie nie funkcjonowały od połowy kwietnia, to jest od rozpoczęcia wieców, manifestacji, strajków okupacyjnych i głodówek, zakończonych wręcz strzelaniną na placu Tian-An-Men w nocy z 3 na 4 czerwca. Studenci domagali się demokracji, otrzymali sądy ludowe, wilebne bilety, wyroki wieloletniego więzienia i skierowania do pracy na wieś, w celu „reeducacji”. Nie jest znana liczba ofiar śmiertelnych, ani też wydanych wyroków śmierci. Ale na placu Tian-An-Men, gdzie od kilku miesięcy obowiązuje zwiędziających okazanie biletu wstępu, zapanała spokość...

Z panteonu wodzów, oprócz wielu innych, odszedł także Teng Siao-ping — szara eminencja. Czystki ideologiczne objęły rodzinę wielu najważniejszych osobistości, w tym także syna Teng Siao-pinga, ostatnio szefa korporacji Kanghua, a w czasie rewolucji kulturalnej ofiary Czerwonej Gwardii (podczas przesłuchania wyrzucono go z okna czwartego piętra, przez co jest kaleką przykutym do wózka inwalidzkiego). Zlikwidowano wiele fikcyjnych przedsiębiorstw, pozwalających bogacić się rodzinom prominentów, specjalne sklepy, prywatne przyjęcia i podróże zagranicę na koszt państwa.

Do łask wróciła armia, która stłumiła „rebelię” i pomaga „wykorzenić” zalążki kolejnych zamieszek. Ataki na sektor prywatny w prasie i telewizji nie ustają, a bez wychylenia nawołuje się do studiowania klasyków marksizmu-maoizmu. Chińczycy, zwłaszcza młodzi, przechodzą obowiązkowe kursy ideologiczne, ucząc się na pamięć całych ustępów ideologicznych i cytując je później podczas egzaminów...

Niedawno władze polityczne Chin podjęły decyzję o odbudowie Wielkiego Muru. W świetle tegorocznych wydarzeń można spytać, czy tylko o symbol kultury materialnej tu chodzi?

REMONT

Każda szkolna wycieczka bawiąca w Krakowie za punkt honoru poczytuje sobie złożenie chociażby krótkiej wizyty w Wieliczce. Od dwóch lat spotyka je jednak przykra niespodzianka. Wieliczkę zamknięto na klódkę. Nie można zwiedzić ani zabytkowej kopalni, ani Muzeum Żup Solnych. Przed zamknięciem bywało tu ponad 800 tysięcy turystów rocznie. Z czasem remont kopalni-muzeum stał się koniecznością. Przyśpieszili do niego najlepsi fachowcy, wśród nich pracownicy Zakładu Budowy Kopalń KGHM w Lubinie.

W Wieliczce byłem kilka razy — ze szkolną wycieczką i prywatnie, ze znajomymi. Po raz pierwszy jednak schodzę tam w górniczym ubraniu, w kasku z lampą. Przede mną idzie „szef” ekipy lubińskiej — inżynier Paweł Dąbrowski. W Wieliczce pracuje już od czterech lat. Przyjechał z pierwszą grupą specjalistów z KGHM, „szefuje” od początku. Wcześniej pracował „na węglu” i „na miedzi”. — Sól to co innego — mówi. Tutaj wszystko jest inne. Nawet sygnały windowe. Do dziś w Wieliczce pracują konie. I to bynajmniej nie w zabytkowej części kopalni.

Schodzimy szybem Daniłowicza na dół. Cały szyb został odnowiony. Tę robotę wykonali ludzie z Przedsiębiorstwa Robot Górniczych z Mysłowic. Inżynier Dąbrowski mówi o historii kopalni. Ten szyb zaczęto drążyć już w 1636 roku. Dzisiaj wiedzie tędy trasa turystyczna. Wreszcie schodzimy na ostatnią platformę. Jesteśmy na pierwszym poziomie kopalni, 64 metry — coś to znaczy wobec głębokości szybów lubińskich! Dochodzimy do ozdobnej bramy otwierającej wejście do chodnika. Te mury postawiono tu w 1910 roku, szczególnie je sobie upodobał wówczas pracujący w Wieliczce inżynier Geppert. Przez osiemdziesiąt lat cegły skruszały, ubytki w murze wypełniano nową cegłą, nie wyglądało to najpiękniej. Lubiąscy górnicy mur rozebrali cały, każdy element został wymierzony. Wymiary zanotowano i zaczęła się harówka. Cegły sprowadzono aż z Gozdnicy zza Bolesławca. Dziś nie produkuje się już cegieł o takich kształtach i wymiarach jak przed osiemdziesięcioma laty. Przez dwa miesiące cięto gozdnicką „klinkierówkę” diamentową pilą. Przecięte cegły układano na powierzchni jak kostki domina. Pasowało wszystko. Czy warto było? Efekt ocenia zwiedzający.

Idziemy dalej starą trasą turystyczną. Wchodzimy do komory Michałowice. To jedna z największych w kopalni — ponad 40 metrów wysokości. Na dole pracują „nasi”. Naprawiają chodnik przechodzący pod Michałowicami. To jedna z najpiękniejszych komór — twierdzi zakochany w Wieliczce inżynier Antoni Wojciechowski — niestety, dyrekcja kopalni wciąż odwleka jej remont. Pozostawienie jej w tym stanie grozi zawaleniem. Wówczas w środku miasta zrobi się wielka dziura, w której zniknie basen i Dom Kultury. Nie można jej zasypać piaskiem, jego ciśnienie byłoby tak wielkie, że zniszczyłoby wszystkie inne komory. Mimo olbrzymich kosztów najtaniej będzie zmienić jej zabudowę. Zabudowy komór w Wieliczce to zupełnie inna historia. Każda konstrukcja jest inna. Wiele się można nauczyć patrząc, jak to robili przed laty wieliccy solnicy.

Zostawiamy Michałowice z tyłu i idziemy dalej. Jako „człowiek z góry” podziwiam sprawnie poruszającego się w gąszczu korytarzy i odgałęzień człowieka z dołu — Tutaj jest naprawdę trochę inaczej niż na miedzi — twierdzi Dąbrowski. — W Wieliczce jest ponad 200 kilometrów chodnika. Na początku to nawet zabroniłem ludziom poruszać się w pojedynkę. Nietrudno się zgubić. Doszliśmy do komory Świerczewskiego, przed wojną nazywanej komorą Piłsudskiego. Wszystko wskazuje na to, że i tu wkrótce wróci się do starych nazw. — Tutaj też pracujemy. Chwilowo przerwaliśmy roboty i przetrzuciliśmy ludzi na Daniłowicza. Tam robią wykończeniówkę. Gonia nas terminy, wszystkie musi być na cacy. Komorze tej nadano imię Piłsudskiego.

Ewenementem jest zabytkowa, zastrzylowa zabudowa tej komory. Niech się

zachwycają specjaliści, ja się na tym nie znam.

— Wykonaliśmy w tej komorze mnóstwo pracy, jeszcze nie widać jej efektów, ale zaawansowanie robót przekroczyło tutaj już 50 proc. Gdy wypompowano wodę, okazało się, że na dnie zalega żużel. Wywieziono go ponad 600 metrów sześciennych. A trzeba wiedzieć, że w tej kopalni nie ma mowy o żadnej mechanizacji pracy. Podstawowy sprzęt to taczka i wózek dwukolowy. O taśmociąg nawet nie ma co myśleć. Chodniki są kryte, bardzo niskie, ich szerokość nie przekracza trzech metrów.

— Zapomnieliśmy jak wygląda „Dżoj” — śmieją się górnicy.

Idziemy do komory „Denko”. Po drodze na Drozdowicach natrafiamy na kolejne ozdobne skrzyżowanie wyremontowane przez lubinian. Inżynier Dąbrowski wciąż coś mi tłumaczy, przyznaje, że nie wszystko rozumiem.

— Na „Denku” zmieniamy kształt szlaku turystycznego, ocios zaczął wystawać i groziło, że kiedyś posypie się turystom na głowę. W tym miejscu stymy już kilka tygodni. W Lubinie załatwilibyśmy sprawę w kilka minut. Cóż — tutaj strzelać nie wolno. Wszystko robi się ręcznie. Musieliśmy sami ułożyć ponad kilometr torów, aby nasz urobek gdzieś wywozić. Niech pan spojrzy, w parę miesięcy zjadła je korozja.

Górnicy z Lubina zjawili się w Wieliczce przed czterema laty. Przyjechało ich wówczas trzydziestu sześciu. Prawie sami emeryci. Kiedy odchodzili na emeryturę, zapewniała ona im dostatanie życie. Rewaloryzacja jednak nie nadążała za inflacją. Przyjeśli się na nowo. Wielicka kopalnia ma świetny mikroklimat, a na dole jest nawet sanatorium. Praca jest dużo lżejsza niż na miedzi. Pracują tu tak długo, aż uzyskają nowe prawa emerytalne. Niestety, jak tak dalej pójdzie, to za dwa lata znowu będą musieli wrócić do pracy. Z pierwszej ekipy zostało ich tylko dwóch: szef Zygmunt Wojtera — człowiek, który — jak mówią — potrafi załatwić wszystko. Na tablicy ogłoszeń w baraku informacyjnym wszelkiego rodzaju, od partyjnych po solidarnościowe.

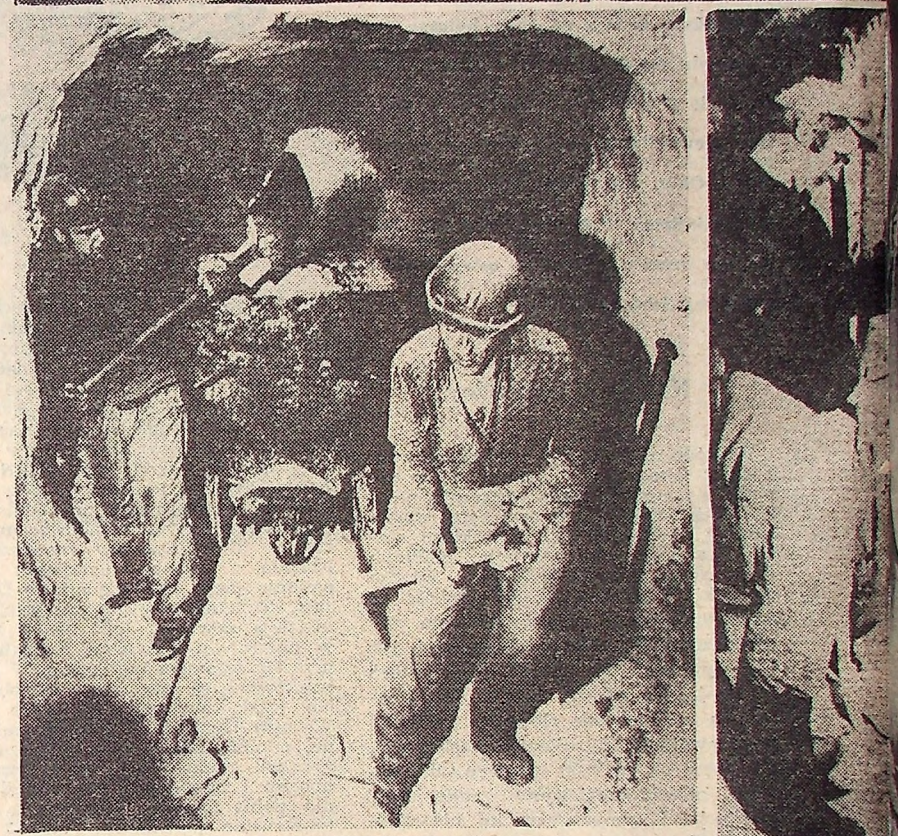
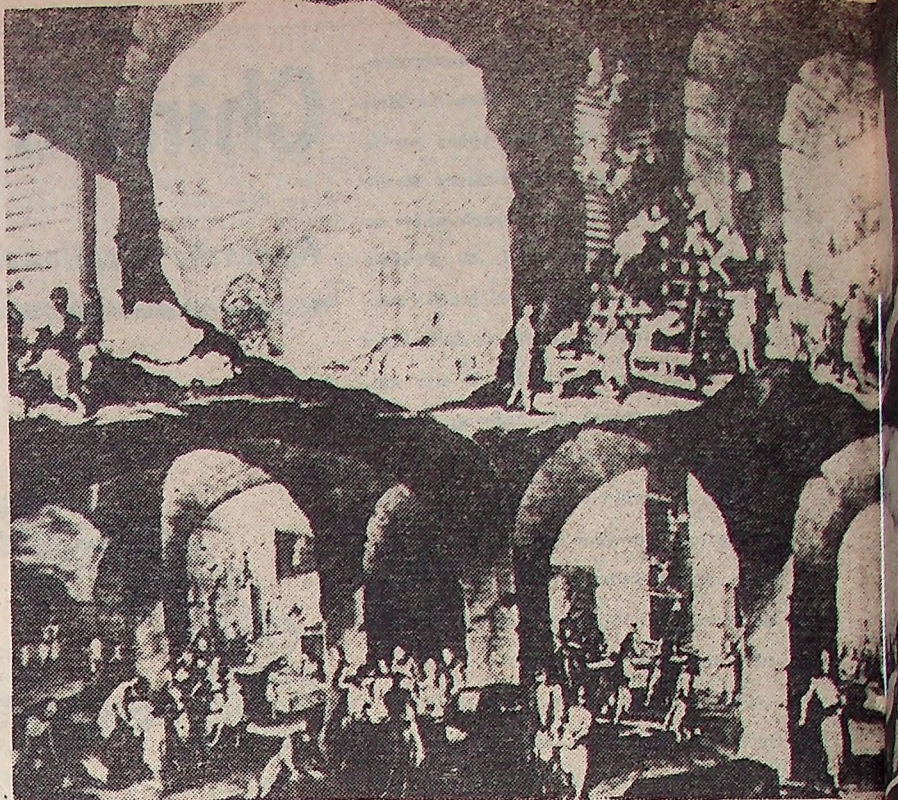
— Choć jest nas tutaj tylko dwudziestu dziewięciu, to mamy cały przekrój polityczny. Nie strajkowaliśmy jednak ani razu.

Chlubą lubinianów jest komora „Wes-sel”. Tutaj pracowali najdłużej i najciężej. Efekt przeszedł wszelkie oczekiwania. Oświetlona, jest naprawdę piękna. Wysoka, niezabudowana komora, po bokach niższe balustrady. Z powodzeniem można tutaj stworzyć luksusową restaurację. Dno komory zostanie zalane i powstanie sztuczne jezioro. Przy sklepieniu balkony i tarasy.

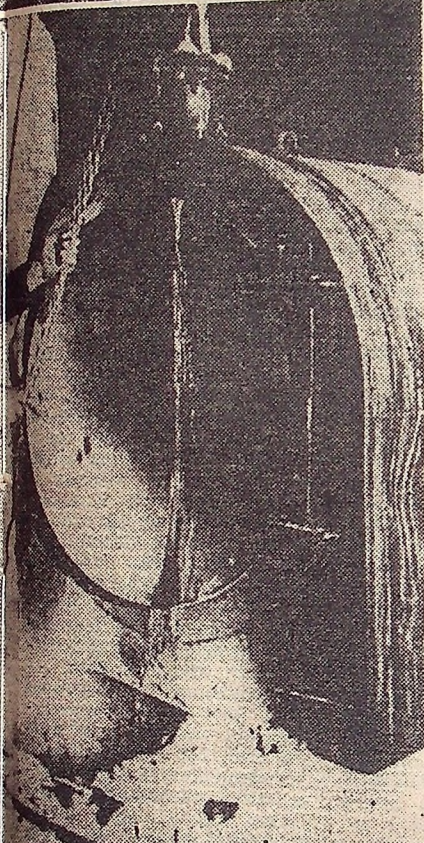
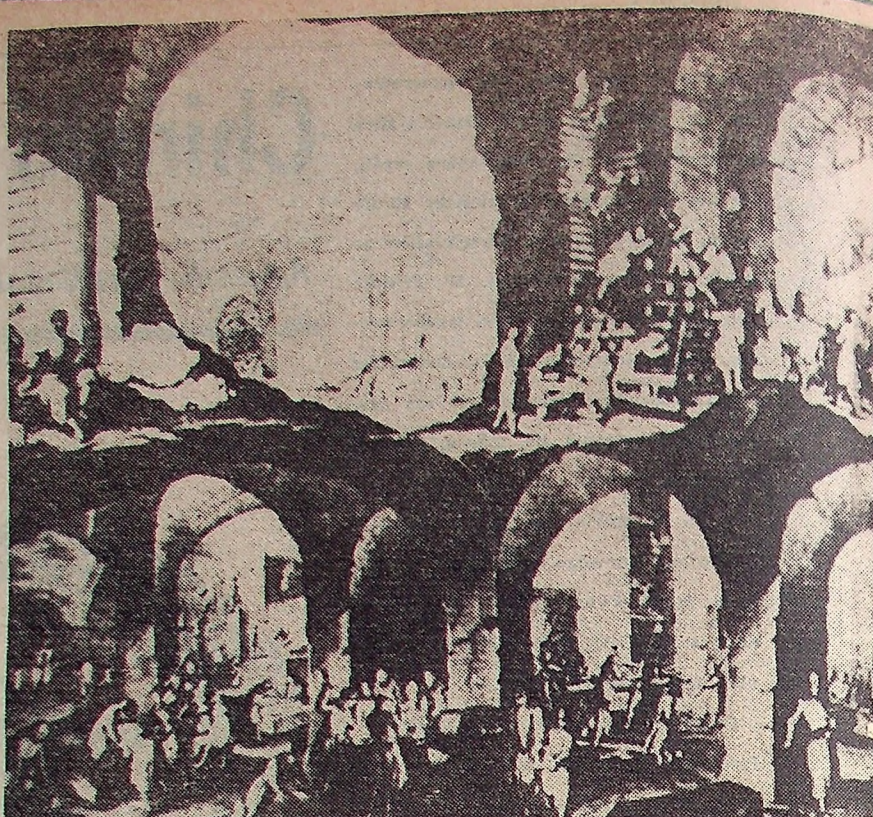
— Dno komory podmyła woda. Musieliśmy ją wypompowywać i cegłą uzupełniać wymycia. Zużyliśmy na to ponad pół miliona cegieł. Prace w komorze są prawie skończone. Zostało niewiele do zrobienia. Niestety, dyrekcja kopalni podjęła decyzję o przerwaniu prac. Podobno ze względu na brak funduszy. Górnicy nie mogą się z tym pogodzić. Kiedyś kupując kilogram soli płaciło się pięćdziesiąt groszy na remont kopalni w Wieliczce. Może warto byłoby wrócić do tej metody gromadzenia niezbędnych kopalni pieniędzy?

Kopalnia już prawie nie wydobywa soli. Głównym atutem jest jej zabytkowa część. Wydaje się, że można by na niej zarobić wielkie pieniądze. Wielicka jest jedyna na świecie. „Cudem świata” nazwał ją „National Geographic”. Może więc warto na zakończenie remontu?

P.S. 25 listopada udostępniono kopalnię zwiedzającym. Cena biletu — 3.500 zł. Piszac o zarabianiu pieniędzy nie miałem na myśli zdzierania skóry z turystów.



Tekst: Krzysztof Samborski
Zdjęcia: Wincenty Kołodziejcki



Tekst: Krzysztof Samborski
Zdjęcia: Wincenty Kołodziejcki

Chciałem w tym filmie pokazać historię dwóch braci, którą dowodzę, że nie w życiu nie przepada z tego, co zrobiliśmy. Może nam się wydawać, że zatarliśmy wszystkie ślady, ale ludzie — okazuje się — pamiętają. Nawet po trzydziestu latach trzeba zapłacić za to, co zrobiło się kiedyś.

„Autor widzi dzieje Polski jako historię przemocy i milicji, czym wkracza na wytartą ścieżkę antysocjalistycznych filmów, wydeptaną przez Wajdę, Marczewskiego...” — tak w telewizji uzasadniono oddalenie tego scenariusza.

(cytaty z wywiadu Waldemara Krzystka dla „Konkretów”)



— Co ty sobie w ogóle myślisz, gówniarzu. Ze będę się przed tobą usprawiedliwiał, bo od godziny stoisz tu nadąsany? Przecież wiesz, że to od początku (podnosi rękę z obrączką) cały czas! Nie jestem trzydziestoletnią... dziewicą.

— Ale twój mąż siedzi w więzieniu! Mogłaś mnie ostrzec. Wiesz dobrze, co to znaczy. Chodźmy po moście, do kina. Wszyscy nas widzą...

— Czyli gdyby nie siedział, byłoby inaczej? Uczciwie? Nie, najwyżej nie bałbyś się tak bardzo, nie więcej!

— Dobrze, ale jak mogłaś całować się ze mną, gdy on... tam. Jak teraz spojrzysz mu w twarz?

— Nie spojrzę, bo nie ma widzeń. Taki z niego groźny element, nawet w więzieniu.

— Ale kiedyś jednak wróci?

— Wtedy będziemy już starszyskami, a może ktoś z nas będzie miało nawet tyle szczęścia, że umrze. Milczą. Piotrek szuka nowych argumentów.

— Po co więc tak żyć? Weź rozwód.

— Nie.

— Znowu milczą.

— Może porozmawiam z Grąbskim w sprawie widzeń. On zna wszystkich i wszędzie...

— Rozmawiałam. Nie pomoże.

— Jednak ja nie jestem jego sekretarką, poza tym lubi mnie.

— A ja oprócz sekretarki byłam przez trzy lata jego kochanką.

— Wszyscy jesteście świnię.

Ale nie odszedł gwałtownie, ani nie trzasnął drzwiami, tylko stał dalej jak wmurowany i to łagodziło młodzieńczą naiwność jego słów.

Do znanej nam już służbowej „czytelni” wchodzi strażnik. Brodacz zauważa go natychmiast i na chwilę odwróciwszy się od lektury prosi uprzedzająco: — Jeszcze pięć minut. Akurat jest taki moment...

— Dziesiąta — odpowiada twardo strażnik.

— Pięć minut. Za to szybciej będziemy szli i nadrobimy...

— Dziesiąta — obojętnie odpowiada strażnik.

Brodacz rozumie, że nie nie wskóra. Składa kartki jak poprzednio i staje przed strażnikiem do rewizji. Tym razem oprócz ust i butów musi pokazać kieszenie.

Jedną z uroczystych akademii ZMP. Duża sala. Na scenie za prezydialnym stołem siedzą różne ważne osoby, a wśród nich Piotrek, tow. Grąbski i jego znajomy, który bardzo interesuje Piotrką. Dyskretnie obserwuje obu siedzących mężczyzn. Niebrzydka działaczka, Michalina, czyta tymczasem swój bardzo osobisty referat-wystąpienie:

— Koledzy, w czterdziestym piątym poszliśmy z matką szukać śladów ojca w Majdanku. Znalazliśmy tylko popiół, tony popiołu. Wracając na wieś zobaczyłam naklejony na murze Manifest PKWN. Czytając go — płakałam. Za ojca, za Polskę, za siebie. Właśnie w ten sposób zaczął się dla mnie socjalizm...

Sąsiad towarzysza Grąbskiego jest niezwykle zainteresowany wygłaszanym referatem, z wielką uwagą wpatruje się w Michalinę, co jakiś czas potwierdzając i aprobowując kiwa głową. Michalina kontynuuje:

— Koledzy, minęło już kilka lat od tamtego dnia, ale ani czas, ani odniesione w odbudowie i rozbudowie naszego kraju sukcesy — nie powinny usypiać naszej czujności. Ciągłe jeszcze w każdej chwili i na każdym kroku musimy o Polskę walczyć, by nie powtórzyły się popioły Majdanka! Walka o socjalizm w Polsce zaostreza się.

W przerwie akademii Piotrek podchodzi do stojących obok siebie w palarni tow. Grąbskiego i tego drugiego pana. Jest bardzo stremowany. Grąbski wprost przeciwnie — swobodny i bardzo serdeczny, przejmuje inicjatywę.

— Poznajcie się panowie (tamten wymienił swoje nazwisko niewyraźnie) Stasiu, kolega Rawski, mówilem ci o nim, chce się z tobą spotkać i porozmawiać chwilę. Spróbuj mu pomóc, ja cię też o to proszę.

Piotrek rzucił szybkie spojrzenie Grąbskiemu, ale już słyszy pytanie nieznajomego.

— Przepraszam, jak nazwisko kolegi?

— Rawski.

— Zapraszam do siebie na piątek o 10.

Pamięć (4)

Waldemar Krzystek

— Dziękuję, panu panie...

— Kolega też widzę ma słabą pamięć do nazwisk. Porucznik Nikodemski. Od Nikodema (roześmiał się nie wiadomo dlaczego). Proszę się na mnie powołać przy wejściu.

Piotrek żegna się i odchodzi w stronę grupki młodzieży, skupionej wokół Michaliny. Porucznik śledzi jego odejście. Mówi do Grąbskiego.

— Straszny gówniarz.

— Przeszkadza ci to?

Wzrok porucznika podążający za Piotrkim spotyka się ze spojrzeniem Michaliny. Dziewczyna spuszcza głowę i pokrywając zmieszanie, szybko poprawia coś przy pasku. Porucznik odpowiada.

— Nie. Tak tylko mówię. Słuchaj, chciałbym jeszcze poznać tę dziewczynę.

Piotrek rozmawia z porucznikiem w jego gabinecie.

— Muszę być pewny. Jakie są konkretne zarzuty, dowody?

— Jest wyrok sądu, Morawski sam się przyznał, są też zeznania innych. Nie rozumiem towarzyszu, dlaczego w końcu pytasz o to samo?

— To był podobno uczciwy człowiek. Walczył w partyzancie.

— Ale on się przyznał! Przecież każdy może zbłądzić. I Morawski za swój błąd przepraszał, tłumaczył, że nie rozumiał w co został wciągnięty. Komu wy, towarzyszu wierzyć w tej sprawie?

— Oczywiście... wierzę panu... ale dlaczego jako wzorowy więzień, sam pan mówił, nie ma widzeń?

— Jego grupa nie działała sama, Morawski ma stare powiązania w tym ich PPS-ie (nie będziemy im ułatwiać kontaktów. Bo chyba macie świadomość, że nie wszyscy wrogowie są już wylapani).

— Ale jego żona... przecież można ją sprawdzić i będzie wiadomo...

— O, właśnie. Zdało się, że za dużo czasu marnujecie dla tej pani.

— Nie. Wcale nie. Ja chcę jej tylko pomóc w uzyskaniu widzenia z mężem, przynajmniej jednorazowo...

— Oj... (porucznik syczy teatralnie, jakby go nagle zabolęła głowa). Wściecie co wysię powiedzieli, co to jest taka propozycja? — krzywi się z bólu. — Nawet jeśli był to tylko żart... nie, można tak, Rawski, nie...

— Przepraszam, niech pan tego źle nie rozumie... podobno po wyroku to już można...

— Macie szczęście, Rawski, że trafił się na mnie — odsapuje, jak po przebytym ataku. — No, dobrze. Wystarczy. Nagadaliśmy się już, towarzyszu. Do widzenia.

Gospodarz staje za swoim biurkiem. Piotrek cały czas przestraszony kłania się grzecznie i ostrożnie cofając, żegna:

— Do widzenia. Raz jeszcze przepraszam.

Porucznik tylko kiwa głową, że już dobrze.

— A Morawski jest dopiero po pierwszym procesie. Kto wie, w co jeszcze jest zamieszany. A może okaże się, że niezbędne są następne? A jako świadek w procesach współników? Nie pomyślicie o tym towarzyszu?

Ostatnią część dłuższej drogi do drzwi, bo gabinet jest spory, Piotrek pokonuje czując wzrok porucznika na swoich plecach. Machinalnie idzie coraz szybciej. Zamyka za sobą drzwi i najchętniej zaraz zacząłby biec, ale wie, że jest w gmachu. Wychodzi. Nadal idzie spokojnie. Mogą go obserwować, tłumaczyć sobie. Wreszcie nie wytrzymuje. Jest już za rogiem i uznaje, że może. Rusza takim sprintem, z takim przyspieszeniem, że z łatwością mijając jadącego rowerzystę i wychodzący z zakrętu samochód.

Dobiega aż nad Odrę i leży w trawie aż ochłonie, aż zacznie w miarę normalnie oddychać, bo dopiero wtedy będzie mógł sobie powiedzieć:

— Kurwa, kurwa, kurwa...

Nieomalże kontrapunktowo do ciężko oddychającego Piotrką wciną się w kadr twarz pułkownika, rozmawia współcześnie z brodacem. Pułkownik pyta szybko, wyraźnie podekscytowany:

— Przy czym pan jest?

— Przy naszej pierwszej rozmowie.

— Achaa. To było piękne... — pułkownik uśmiecha się, jakby do wspomnień. — No i co? Staje się coraz ciekawszy, prawda? Normalny, żywy człowiek, a nie sztandarowa świętość, czy jakiś tam poszenno-buraczany Chrystusik. A dzięki komu? Kto wydobywa z niego prawdę?

Pułkownik śmieje się. Brodacz milczy i patrzy na niego posępnie. Wpatrując się pułkownikowi w oczy nagle zaczyna dobitnie i bardzo poważnie mówić:

— Najpierw musiał pan to moje „czytanie” wymyślić, co jak wiadomo nie przychodzi w pańskim zawodzie łatwo. Później musiał pan przedstawić swoją inicjatywę wyżej. W końcu uzyskać jej akceptację i przez zwierzchników, i przez czynnik polityczny — po co?

— Bo tam jest dużo o panu.

— O mnie, o nim, o panu też — i sądzi pan, że z tego coś wynika?

— Wszystko wynika. Na przykład to, że jesteśmy starymi znajomymi...

Brodacz zaczyna tracić panowanie nad sobą:

— Nie jesteśmy. Najwyżej w myślach nazywam pana porucznikiem, panie pułkowniku. I nic więcej — Teraz mówię szybko i nerwowo:

— Nie! A on może okazać się kim pan tylko chce, mnie to nie rusza. Każdy odpowiada za siebie. Nie ma odpowiedzialności zbiorowej, nie uznaję jej! Pańskie haczyki są puste. Tym „czytaniem” do niczego mnie nie zmusicie i w nic mnie nie wciągniecie...! W nie!

Brodacz aż cały się trzęsie. Pułkownik jest opanowany i cichy.

— Pan poważnie myśli, że ja tu uknułem jakiś taki... „lekturowy spisek...”?

Panie Krzysiu, demonizuje pan. Ubęcja wyżej dupy nie podskoczysz.

Brodacz kiwa głową, że i tak swoje wie.

— Dobra, dobra. Z nudów pan te życiorysy wyciągnął z archiwum, tak?

— Też. I — żeby pan wiedział, i jeszcze — żeby w czymś zamieszać, i coś poobserwować. Po prostu, żebyśmy tak bez sensu nie tracili czasu...

— Bez sensu? Ja siedzę, pan mnie pilnuje — to jest sens. A wszystko w imię wyższości świat Wielkiej Nocy nad świętami Bożego Narodzenia. A to jest nawet więcej niż sens.

Pułkownik uśmiechnął się z głębokim zrozumiem.

— Cieszę się, że wrócił panu dowcip, bo już wyglądało, że się pan naprawdę przejął.

Na początku roku szkolnego 1947/48 przyszedł do szkoły nowy nauczyciel wychowawca klasy Michał i wkrótce wicedyrektor mgr Franciszek Pałka, absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego, niestrudzony propagator krajoznawstwa, założyciel i dyrygent szkolnego chóru. Przyszedł świeżo po powrocie z armii Andersa — pod Monte Cassino walczył jako artylerzysta, — w której znalazł się po kampanii wrześniowej, ocierając się o druty obozu w pobliżu Łasku Kozielskiego, i o jedną z cel na Łubiance. O tym niebezpiecznym i smutnym okresie swego życia — jak to określa między młotem a sierpem — niechętnie i dziś opowiada. A nie ulegając nigdy koniunkturalnym modom, nie obnosi się z nim. Pałka zaczął uczyć języka polskiego i angielskiego. Jakże często sprowadzał na ziemię rozpolitykowanych i rozdyskutowanych uczniów (będących wszak w wieku, w którym jest się mądrzejszym i od rodziców, i od nauczycieli, a zasłyszane poglądy przyjmuje się jako własne) cytując ulubionego biskupa Ignacego Krasińskiego „Minęły czasy szczęśliwej prostoty, trzeba się uczyć! Przeminał wiek złoty...”.

☆

Franciszek Pałka został też wkrótce trzecim dyrektorem szkoły. Drugą po „Pale” osobą w Gimnazjum i Liceum był woźny Michał Turek, dwumetrowe prawie chłopisko, któremu wzrostu zażyczyli głównie reprezentanci szkoły w siatkówce i koszykówce, przysmakujący oczy, gdy starsi już uczniowie chowali się na przerwach po przepastnych piwnicach „na szluga”. Ogrzewanie budynku wówczas już przy ulicy Lampego — było tradycyjne, nowo postawionymi piecami kaflowymi, w których nie zawsze chyba był odpowiedni „cug”. Często więc zdarzały się i takie sceny. Dyrektor przywołuje tercjanę — Panię Michale, coś tu dzisiaj zimnawo?

— Nie nie poradźmy panie dyrektore — niezmiennie odpowiadał Turek (reakcjonista!) — dyć to demokratyczne kachle! Pasją Franciszka Pałki był chór, rywalizujący wówczas z podobnym zespołem Liceum Pedagogicznego, prowadzonym przez „Smyka” czyli profesora Feliksa Wiśniowskiego. W tym chorze przyszłych belfrów śpiewali wówczas — między innymi — tenorem Tadeusz Myśliwiec, obecny wiceprezydent Legnicy, Zbigniew Huk — prowadzący dziś klasę akordeonów w Podstawowej i Średniej Szkole Muzycznej, Wacław Makowski — dyrektor Zespołu Szkół Budowlanych.

Pałka ćwiczył z poszczególnymi głosami, aranżował utwory, dyrygował — przysposabiając do tej ostatniej funkcji najzdolniejszych muzycznie uczniów. „Machał” więc przed chórem najpierw Marian Zarzycki — potem między innymi dyrektor szkoły muzycznej w Szczecinie — i Ryszard Wrzaskala — dyrygent potem Legnickiej Orkiestry Symfonicznej oraz Zespołu Pieśni i Tańca „Mazowsze”, przez kilka lat ulubieniec samej Miry Zimińskiej! (Ryszard od ponad dwudziestu lat mieszka w Kanadzie, komponuje, prowadzi ciekawy zespół kameralny). Klasą dla siebie w chorze był natomiast Stanisław Stelmaszek, tenor — długoletni potem solista Operetki Wrocławskiej, występujący jeszcze i dzisiaj z recitalami pieśni Stanisława Moniuszki. W chorze śpiewali też (między innymi) — rozpoznać ich można na rodzinnym zdjęciu zespołu — Tadeusz Lachowicz, znany dziś mikrobiolog profesor habilitowany na Uniwersytecie Wrocławskim, Zdzisław Barczewski — w latach późniejszych przewodniczący Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, a w trudnych latach osiemdziesiątych wojewoda legnicki, Ryszard Jastrzębski — operator i reżyser filmowy, dziś jeden z szefów Wytwórni Filmów

Między młotem a sierpem

Bronisław Freidenberg

Oświatowych, Zdzisław Leśniak — obecny ordynator oddziału ginekologicznego szpitala w Złotoryi, Krystin Szymański — prezes Wojewódzkiej Spółdzielni Mleczarskiej, Julian Strembiński — ekonomista w „Legmecie”...

☆

Dwa zdarzenia związane z dyrektorem i chórem jakoś specjalnie utkwiły Michałowi w pamięci. Pierwsze podczas generalnej próby przed akademią z okazji kolejnej rocznicy wyzwolenia miasta. W kinie „Polonia” po zapowiedzi przez koleżankę wiązanki pieśni ludowych „Od Zielonych Świątek do Bożego Ciała”, na scenę wpadł zdyszany jegomość z okrzykiem „Wy mi tu kościelnych pieśni śpiewać nie będzie!”

Pałka flegmatycznie, swoim ciężkim, kołyszającym krokiem podszedł do podniekowanego mężczyzny, lekko acz energicznie wypchnął go (piersi-brzuchem) za kotarę i... po chwili próba potoczyła się normalnie. Podobną historię — jak opowiadał Tadeusz Myśliwiec — przeżył chór Liceum Pedagogicznego — kiedy to na zapowiedź wykonania „Pieśni rycerskiej” Moniuszki, tenże jegomość krzyknął, że wszyscy walczą o pokój, a młodzież do wojny zagrzewa... Okazało się, że był to nowy kierownik Wydziału Kultury, a do tych ostatnich niestety (wylączywszy Adama Kijowskiego i Antoniego Walenkiewicza) jakoś nigdy Legnica szczęścia nie miała. Człowiek pracujący dotychczas w zupełnie innej branży, a przeniesiony do kultury na zasadzie nomenklatury (daję słowo: rym przypadkowy!), ponieważ zawsze sumiennie starał się wykonywać swe o-

bowiązki otrzymawszy szczegółowe instrukcje, skrupulatnie je wypełniał. Wrócił też wkrótce do swego pierwotnego zawodu w jednym z komunalnych przedsiębiorstw miasta.

Drugie zdarzenie miało miejsce w auli szkolnej podczas szlifowania sztandarowej pozycji zespołu wówczas „Gdy naród do boju wystąpił z orężem”. Kiedy na chwilę Pałka musiał wyjść, ktoś podmiął na pulpicie teksty. W podrzuconym wiele zwrotów świadczyło o całkowitym lekceważeniu zarówno wielkiego „Maszynisty Parowozu Dziejów” jak i panujących nam miłośniców w kraju, zamiast słów na przykład „panowie magnaci” były „czerwoni kaci” i inne głupstwa. Dyrektor wrócił, spojrzawszy na pulpit, z kamienną twarzą — jak zwykle — przeczytał i rozpoczął śledztwo. Aliści nie mając detektywistycznych zdolności popularnego wtedy porucznika Sowy czy współczesnego Borewicza, po dwugodzinym przytrzymaniu wszystkich chorzystów w auli... zawiesił dochodzenie. Zwłaszcza, że zapodziało się gdzieś i corpus delicti...

☆

Franciszek Pałka był zwolennikiem tradycyjnych metod wychowawczych, i twardej „ojcowskiej” ręki. Gdy przyszedł do szkoły skończyły się tak częste dotąd wagi. A spotkanie ucznia na ulicy po godzinie dwudziestej nie uszło nigdy na sucho. Nie mówiąc już o przylapaniu gimnazjalisty na jakiejś publicznej imprezie czy potańcówce. Potańczyć to było można — wylączywszy bardzo rzadkie zabawy szkolne — głównie na patelni w parku, wprawdzie wówczas betonowej, ale o wiele gładziej od dzisiejszej asfaltowej. Park był wtedy jeszcze podzielony — odgródzony parkanem z desek przy dzisiejszym Teatrze Letnim (jednej z rezydencji marszałka Rokossowskiego!), bowiem główna aleja spełniała rolę „swoistego corso”. Wzdłuż niej — aż do Kina Letniego (dziś Muzeum Koncertowej) po obu stronach widniały, co parę metrów, ustawione olbrzymie portrety wybitnych przywódców wojskowych, członków politbiura, działaczy politycznych, bohaterów pracy socjalistycznej. Na samym końcu alejki figurował sam (olbrzymich rozmiarów) dobroliwie uśmiechnięty syn Wissariona. Aleja ta wprowadzała w tak uroczysty nastrój, że co wrażliwszy ideowcy nawet rozmawiali szeptem... Zaś przy tych odgrózonych enklawach często widniały groźne napisy „Prachoda nie! Wojskowska territoria”. A na patelni trzy razy w tygodniu koncertowała i przygrywała do tańca duża orkiestra dęta — zasiadając w specjalnej usytuowanej pośrodku patelni łoża. Tańce rozpoczynał zwykle ansambl tradycyjnymi walcami „Fale Amuru” lub „Na stepach Mandżurii”. Wyodrębniona z tego dużego zespołu orkiestra odeonowa, grała też i te wówczas najmłodniejsze melodie: tanga, fokstroty, rumby... Chłopcy, najpierw na zasadzie czystej zgrzyw, włączali się w ten rozbawiony różnorodny tłum, stopniowo jednak podpatrując gesty i kroki „tancerzów” sami nauczali się nieźle pisać. Aby nie podpaść, niektórzy imali się najróżniejszych sposobów. Tadeusz T. — kolega Michała z klasy — mieszkał w pobliskiej miejscowości P., u wujka proboszcza. Często więc, zwłaszcza w soboty, koledzy odwiedzali Tadeusza, uczestnicząc aktywnie w miejscowych rozrywkach z zabawą ludową włącznie. Rodzice chłopców raczej nie sprzeciwiali się tym sobotnim eskapadom, bo jakże to się obawiać o pociechę, która udaje się się pod opiekę wujka plebana?

Tymczasem ten ostry szkolny rygor był w pełni uzasadniony. Czasy wciąż bowiem nie należały do najspokojniejszych. Wszyscy mieli jeszcze w pamięci tragiczne zdarzenia. Jeden z najlepszych uczniów Liceum Pedagogicznego — mieszkający poza Legnicą — Marian K. wracając rano z domu rodziców do internatu, został napadnięty, obrabowany i zamordowany... Kolega Michała z klasy — Marian Sz., wieczorem w parku (obok basenu przy Stronie) został groźnie postrzelony w głowę. Koledzy o stanie zdrowia Mariana dowiadawali się codziennie od jego ojca — wówczas dyrektora banku. Marian przez kilka dni leżał nieprzytomny. Aż kiedyś wpadł do szkoły senior Sz. wołając: „Chłopcy! Będzie żył! Tuż po północy „pierdnął” a nad ranem odzyskał świadomość!” A swoją drogą, ileż radości może czasem sprawić rodzicom, nawet taki drobny, jak „bąk” nieprzytomnego syna...



● **Pamięta pan swój pierwszy dzień w telewizji?**

— Pierwszy dyżur miałem w listopadzie 1955 roku. Program nadawany był wówczas dwa razy w tygodniu. Składał się z jednoaktówki teatralnej, przygotowywanej zawsze przez świetnych reżyserów, z „Kroniki Filmowej” oraz z filmu.

Nie pamiętam, jaki tytuł nosiła jednoaktówka na moim dyżurze, chociaż rozgrywała się „na moich oczach”, gdyż studio było jedno, a spiker siedział w jakimś kącie, w dodatku program szedł „na żywo”. Natomiast pamiętam film: „Wakacje pana Hulot”. Cały program trwał nie więcej niż trzy godziny. Zaczynał się około siedemnastej, a kończył około dwudziestej.

● **Czy próbowano kiedyś wyrzucić pana z telewizji?**

— Och, nie raz... Ostatnio również pojawił się pomysł, aby pozbyć się spikerów. Wymyślono sobie że telewizja może być świetna bez nas. Spikera chcieli zastąpić planszą, pizerwnikiem wspartym ponurym głosem spoza kadru.

● **Chyba to zwykła ludzka zawiść podpowiada takie pomysły.**

— Oficjalnie mówiło się, że w nowo-
czesnej telewizji spiker nie jest potrzebny. Pewnie czyjaś ciotka czy kuzyn zobaczył za granicą telewizję satelitarną, w której filmy wyświetlane są non-stop. Nieoficjalnie zaś chodzi przede wszystkim o obronę interesów kogoś, kto „wiska widzowi kit”, mać mu w głowie i robi na tym jeszcze niezłe pieniądze. Mam tu na myśli wyświetlany za raz po godzinie 20. informacyjny forszpan, zatytułowany „Itro, pojutrze, za tydzień”. To nim właśnie teoretycznie zachęca się widza, by obejrzał bardzo ciekawą, bardzo atrakcyjną pozycję programu. Ponieważ takich jest de facto niewiele, zatem codziennie wiska się widzowi kit! Informując go na przykład z entuzjazmem, że w sobotę będzie emitowany „Butik”. Bez mała informuje się go o tym, że o 19.30 będzie Dziennik Telewizyjny. Słowem skleja się byle co, byle jak, byle tylko wypełnić przewidziany czas, a potem — do kasy!

Te króciutkie, powtarzane codziennie informacyjki ogłupiały nabiłają kabze. Ponieważ „żądza pieniądza” jest wielką, skleja się także z człowiekiem audycji informację o całym programie, jaki ma być emitowany danego dnia. I taką „pigulkę” wtyka się rano i wieczorem. W tej sytuacji spiker jest rzeczywiście niepotrzebny, bo dla czegoż ma informować o programie, skoro przed chwilą widz obejrzał barwny, informacyjny mełlik? Widz jest tu najmniej ważny. Ważna jest kasa. A mówi się, że telewizja nie ma pieniędzy na podwyżki, na modernizację sprzętu, itd...

● **Czy to jedyna próba pozbycia się spikerów?**

— Ależ skąd! W latach siedemdziesiątych wymyślono, że trzeba zlikwidować etaty spikerskie. To znaczy — powinniśmy być na etacie w jakiejś redakcji, a tylko dorabiać jako spikerzy. Dosyć trudno przyszło upychanie po redakcjach większości koleżanek, które poza widzielinym umiśchem nie miały niczego, często nawet matury. Mnie natomiast jako dziennikarza zaproponował współpracę Dziennik Telewizyjny, nie będący jeszcze instytucją państwową, zniechęcającą, lecz raczej dobrą szkołą dziennikarstwa. Ponieważ jestem z wykształcenia architektem, polecono mi zajęcie się sprawami budownictwa, architektury. Relacjonowałem zatem m.in. budowę Trasy Łazienkowskiej, odbudowę Zamku Królewskiego... Nauczyłem się wówczas szybkiego rzemiosła filmowego, bowiem twój temat w Dzienniku nie może przekroczyć 2-3 minut. W tym czasie trzeba zawrzeć cały scenariusz. Zanim więc pojechałem z ekipą na zdjęcia, opracowywałem co do sekundy wszystkie ujęcia z komentarzem. Operatorzy dzielili się moim sposobem pracy: — Jest pan jedynym redaktorem, który wie co i jak ma być sfilmowane — stwierdzali.

Praktyka bowiem jest na ogół taka, że „pan redaktor” idzie do ekipy filmowej i mówi: — Pojedźcie tu i tu i nakręćcie mi 120 metrów „obrazków”. W czasie, gdy ekipa filmuje, on siada za biurkiem i pisze felieton. Potem skleja się różne obrazki. Długość tekstu zgadza się z długością tekstu i materiał idzie na antenę. Ta zła tradycja utrzymała się nie tylko w Dzienniku. Przykładem przerażającego lenistwa, beznamiętności, obrazkowej i myślowej sierdki są też programy publicystyczne. Niedawno był wyświetlany program o Szwecji, kraju cie-

kawym, gdzie sporo się dzieje. Ale metodą „dziennikową” nakręcono paręset metrów obrazków ze szwedzkiej ulicy, szwedzkiego metra, sklepu, tramwaju, kafejki, portu, wszystko to skleiono, dokładając gesty, przeladowany informacją komentarz, który zupełnie nie pasował do zdjęć. Gdy mowa była o sklepach, pokazywano port, gdy chodziło o winę — pokazywano bluzki, gdy informowano o kawiarniach — pokazywano biura... Nie pasowało nic do niczego. No, ale liczy się długość programu. A przecież, o czym już chyba niektórzy nie pamiętają, a niektórzy pewnie nawet nie wiedzą, telewizja jest to sztuka operowania obrazem. Komentarz słowo — to technika radiowa, zaś telewizja — to przede wszystkim obraz! Tele-video —

pojsć z kamerą do miasta, nakręcić interesujący materiał, porozmawiać z ludźmi. Pokazać coś, co widz będzie chłonał, co go zafascynuje, a tych smutnych panów odesłać do radia. Jednak programy, o których mówię, są nagminne, bo państwo „redaktorstwo” przyzwyczaili się do robienia pieniędzy minimalnym wysiłkiem.

● **Przeżył pan wielu przesów. Czy osobowość prezesa ma wpływ na telewizję?**

— Oczywiście! Narzekano się na Macieja Szczepańskiego. Nazywano go „krwawym Maciejem”, dlatego że trząsł telewizją. Pamiętam, jak ludzie w redakcji bledli, gdy odezwał się telefon o spe-

ludzi powiązanych ze sobą stosunkami rodzinnymi lub „prawie rodzinnymi”. Powiązanych również z różnymi dobrymi i złymi „wujaszkami” na mieście, którzy kiedy trzeba — telefonowali do kogo trzeba. A teraz mamy nowego prezesa! A ja, muszę pani powiedzieć, jestem trochę zatroskany...

● **A czym, jeśli wolno zapytać?**

— Bo nowy prezes, Andrzej Drawicz, jest intelektualistą, humanistą, człowiekiem kulturalnym i dobrze wychowanym. Firmie zaś potrzeba rzeźnika! Stajni Augiasza nie da się wyczyścić łyżeczką do kawy, tym bardziej, że tu przydałoby się dynamit!

● **Andrzej Drawicz nie zamierza polewać na czarownice.**

— Droga pani, na maszynce do produkcji zapalek nie da się produkować guzików. Jeżeli ktoś obejmuje fabrykę zapalek, to nie wystarczy, że na pudelkach będą inne naklejki. Niestety, maszynierze trzeba zmienić, trzeba zmienić system pracy, hierarchię...

W telewizji są setki różnych dyrektorów, kierowników, wicedyrektorów, nadziorowników, wicedyrektorów, kierowników jednego ważniejszego od drugiego. Przy czym, co jest moim zdaniem niemoralne, im kto wyżej awansuje, tym ostrzej pcha się przed kamerę. Bez względu na kwalifikacje.

● **Czym jest dla pana telewizja? Tyłko proszę mi nie mówić, że miejscem pracy.**

— Nie mogę być obojętny wobec instytucji, której oddałem 35 najlepszych lat mego życia. Niewątpliwie mam głęboki sentyment do tej firmy, którą kiedyś my, garstka zapalcieców, budowaliśmy nawet nie przeczuwając, co z tego wyniknie.

● **A mówią, że telewizja jest instytucją niewdzięczną?**

— Jeszcze miesiąc temu moja podstawowa pensja wynosiła 43 tysiące złotych.

● **Wracając do poprzedniej kwestii — zadowolona pana wynik tej „budowy”?**

— Nie, i wcale nie dlatego, że w innych, normalnych telewizjach na świecie ludzie zarabiają tyle, że mogą po paru latach odejść i żyć spokojnie o swoją przyszłość. Nie zadowolona mnie dlatego, że wyobraziłem sobie, iż tv będzie zbliżać ludzi, że ich zjednoczy. Pomylił się. Cóż z tego, że w tej samej kamienicy pan Kowalski spod „trójkę”, pan Zieliński spod „ósemki” i pan Nowak spod „piątki” w tym samym momencie oglądają, jak Neil Armstrong stawia pierwszy krok na Księżycu, skoro są oddzieleni od siebie ścianami swoich mieszkań? Skoro nie są ze sobą zaprzyjaźnieni, skoro nie schodzą się wieczorem pograć w wista, pomuzykować, podzielić się wrażeniami z przeczytanej książki? Każdy siedzi we własnej klatce, przy własnym telewizorze. Za ścianą sąsiad może umierać i nikogo to nie obchodzi. Nikt się o tym nie dowie, bo właśnie „leci” transmisja meczu piłki nożnej. Nie tylko w Polsce, na całym świecie ludzie podzielili się. Jesteśmy od siebie odizolowani telewizorem. Ie telewizorów, tyle komórek. To jest nieszczęście, które spowodowało na świat telewizję... Poza tym ta obecna telewizja jest telewizją z „konserwy”. Programy nie są emitowane na żywo. Ma to swoje dobre i złe strony, bo można audycje odtworzyć, powtórzyć, jednak najistotniejsze dla fenomenu telewizji współczesnej dzieło się gdzieś się zagubiło, już nie wzbudza takich emocji jak przy przekazie bezpośrednim.

● **Ala wciąż posiada telewizja moc kształtowania gustów.**

— Istotnie, ma ogromny wpływ na człowieka, na jego postawę, zachowanie, sposób myślenia. Jest niesłychanie sugestywna. Mogłaby skutecznie walczyć ze wszechogarniającym nas chamsstwem, jeszcze silniej walczyć o piękno współczesnego polskiego języka. Jeden docent Miodek nie wystarczy. Trzeba zadłazić bardziej lawinowo, bardziej od podstaw...

● **Pan też mógłby czegoś uczyć.**

— Od 35 lat siedzę przed kamerą i dlatego myślę, że moje doświadczenie mogłoby się przydać „tym, którzy przyjdą po nas”.

● **Co właściwie powinno radzić się młodym adeptom dziennikarstwa, przechodzącym do telewizji?**

— Żeby mieli zawsze tę samą, własną twarz...

● **A czy to jest w ogóle możliwe?**

— Czasem się udaje...

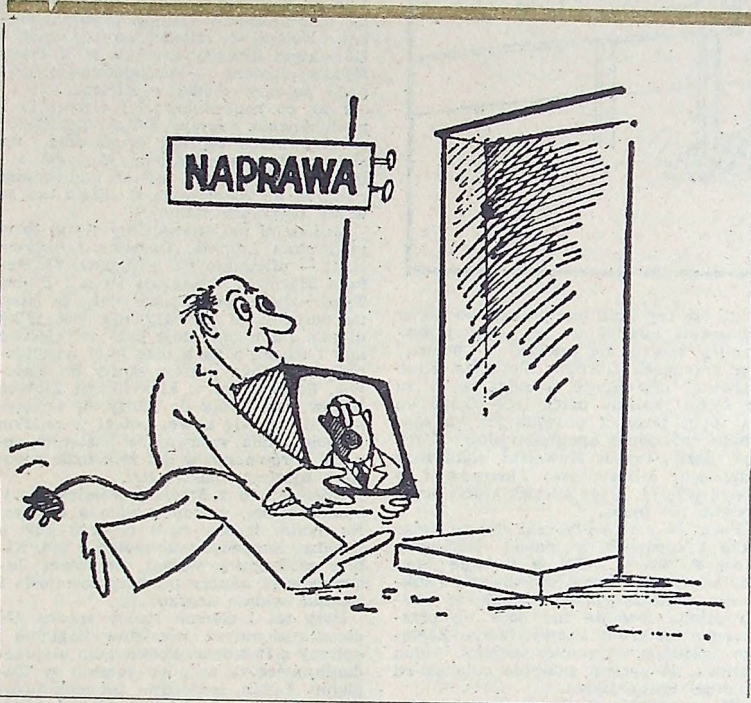
● **Czy zobaczymy pana w telewizorach w święta lub Nowy Rok?**

— Jeśli nie znudziłem się widzom przez tyle lat, to może i teraz mnie zaakceptują. Choć, przynajmniej, coraz rzadziej trafiają mi się dyżury spikerskie.

● **Zatem do zobaczenia!**

Bez rzeźnika ani rusz

Z JANEM SUZINEM, spikerem Telewizji Polskiej, rozmawia Grażyna Korzeniowska.



to nie innego jak — widzę na odległość. Jeśli zaś pokazuje się widzowi obraz wraz z zupełnie nie pasującym komentarzem, wówczas nie rozumie on nie ani z obrazu, ani z tekstu. W ten sposób zmarnowano temat, materiał... Kit poszedł na antenę.

● **Nie jest pan odosobniony w narzekaniach na dziennikarzy telewizyjnych. Narzeka się na nich od lat. Czy to znaczy, że nigdy nie było w telewizji fachowców?**

— Byli, oczywiście, że byli. Jednak duże zmiany, a mówiąc brutalnie — spustoszenie przyniósł rok 1981. Wtedy za bramę wystawiono wielu ludzi znających się na telewizji, menedżerów typu Mariusza Waltera chociażby... Wyrzucono ich nie bacznie na to, że są fachowcami. A ponieważ, jak wiadomo, natura nie znosi próżni, więc wypełnił ją różny element, przeważnie „sluszy” bądź powiązany z osobami „slusznymi”. Mało tego, przyszły osoby wyrzucone przez dwóch poprzednich prezesów za brak fachowości... Zaczęły się rządy ludzi niekompetentnych. I jak to wygląda? Ano, choćby tak: oto jest program publicystyczny. Odbywa się w studiu, w którym stoi w zaleźności od długości programu 4, 6, 12 krzesła. 4 krzesła — to znak, że program jest 20-minutowy, 6 — półgodzinny, a 12 — to już godzina. Na krzesłach zasiadają na ogół smutni facci, poganiiani przez kogoś, kogo nazywają „Panem Redaktorem”.

W ten sposób telewizor przez 20, 30 bądź 60 minut ogląda niezmiennie twarz, profile lub ręce kilku smutnych ludzi i wysłuchuje belkotliwych i „odkrywczych” wypowiedzi. Przerażające? Owszem. Ale, proszę pani, jeśli chce się zrobić dobry, rzetelny program publicystyczny, to trzeba zwinąć z krzesła,

całym brzęczku. Ale Szczepański był menedżerem z prawdziwego zdarzenia i, czego by o nim nie mówić, wyprowadził naszą firmę na europejski poziom. Przebudował telewizję czarno-białą na kolorową, sprowadził nowoczesną aparaturę, włączył nas w nurt telewizji światowej. Poza tym — ludzie pracowali. Pracowali, bo wiadomo było, że Szczepański ogląda program i że gołniarstwo i nieudolność tępi bezlitośnie.

● **Chce pan powiedzieć, że był to najlepszy prezes telewizji?**

— Jako organizator, menedżer — chyba tak. Bardzo lubiłem i ceniłem sobie wielką kulturę i poczucie humoru Jerzego Pańskiego. Prezesował w początkach telewizji, którą czuł i wiedział, w jakich kierunkach trzeba ją rozwijać, mimo iż byliśmy wówczas chałupnikami z placu Powstańców — jak nas nazywał „Express Wieczorny”. Ponadto była to epoka przesów, których się znało. Ze względu na „szczęśliwość” lokalowe, prezesa Pańskiego czy Sokorskiego spotykało się na schodach, w bufecie, przy windzie. Można było z nim prywatnie zamienić parę słów. Wronicza jest już epoką „wieży z kości słoniowej”, bo w tym wysokim jak wieża gmaszysku ma swój gabinet prezes i jest odizolowany, niedostępny dla przeciętnego pracownika telewizji. Było wielu prezesów, których nigdy nie widziałem na oczu.

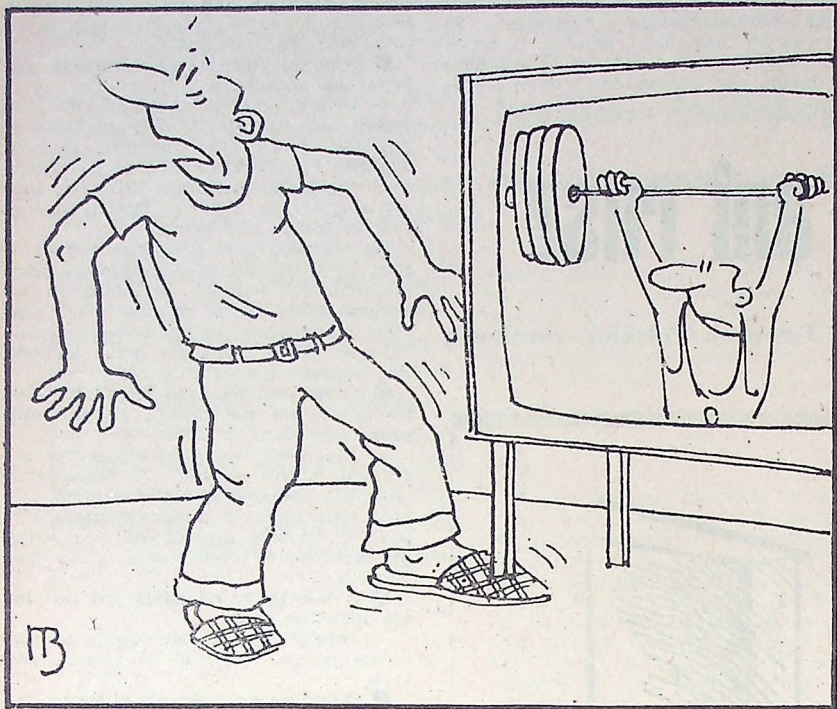
W czasie stanu wojennego, gdy prezesi zmieniali się niemal co chwila, ja, człowiek szli korytarzem w dziale emisji. Wyrzuciłem, ktoś z kolegów zapytał: — Kto przyszedł?

— Chyba strażacy sprawdzają, czy nie palimy papierosów — odpowiedziałem. A to był nowy prezes...

Była to epoka przesów nieosiągalnych. W tej chwili telewizja jest miasteczkiem

Przeżyjemy to jeszcze raz

Zbigniew Jakubowski



Sportowy rok 1989 zaczęliśmy od mocnego akcentu. Piłkarskie ręczne Zagłębia awansowały do finału Pucharu Polski po zwycięstwie nad Śląsk Wrocław i AZS Katowice. Podopieczni Romana Jezierskiego po raz kolejny udowodniły, że ciężką pracą można dojść do sukcesów. I tak był to tylko początek znakomitej passy piłkarskiej, które wiosną bez problemów wywalczyły I ligę.

Młodzi pływacy z Głogowa na zimowych mistrzostwach Dolnego Śląska „wypływali” kilkanaście medali, bijąc po drodze kilka rekordów Polski. Sukcesy Agaty Jankowskiej i Wojtka Pryszczewskiego zwróciły uwagę fachowców na nasz region, który dotychczas kojarzył się wyłącznie z futbolem i boksem.

Odpoczynku od sportu nie było. Na początek zostaliśmy zaskoczeni informacją o treningowym wyjeździe Szostacki — tenisisty ziemnego do USA. Jeszcze wówczas nikt nie przypuszczał, że miraż Zachodu poprzestawiają młodemu zawodnikowi co nieco pod sklepieniem. Druga informacja także była dla nas zaskoczeniem, a przy okazji powodem do spontanicznego śmiechu... Powstał bowiem Okręgowy Związek Koszykówki. Mamy raptem trzy sekcje i już trzeba było powoływać związek! Chyba, że chodziło o trochę etatów i funkcję prezesa dla kogoś z tzw. nomenklatury. Żeby nie było wątpliwości, prezesem wybrano (?) wiceprezesa Legnicy.

Kibice niecierpliwie czekali na ogłoszenie wyników naszego plebiscytu, a my w redakcyjnym zaciszu, pochyleni nad szklanica wystygłej herbaty, zastanawialiśmy się nad tym, czy władze sportowe naszego zaścianka dostrzegają sporty zimowe. Trochę czasu od sukcesów Morawiec minęło i do tej pory sporty zimowe są tematem tabu...

Ale i tak wszystkich — no, prawie wszystkich — zjednoczył Bal Mistrzów Sportu. Triumfował Janusz Zarembkiewicz i trener Massier, co poniekąd było odzwierciedleniem legnickiego sportu w 1988 roku i zapowiedzią wydarzeń w 1989. Rewelacją było 8 młodzieżowych dziewcząt z Chojnowa. Ich medal w wiołyżerze sprawił, że... wszystko rozsypało się jak domek z kart. Sport czasami bywa okrutny.

Jeszcze w styczniu zaliczyliśmy Bieg Wyzwolenia, turniej piłki nożnej kobiet, odnotowaliśmy triumf „Legmetu” w sportowym współzawodnictwie KGHM i ze zdumieniem patrzyliśmy na sukcesy ciężarowców z Polkowic. Nie podejrzewaliśmy, że wkrótce wybuchnie bomba. Kontrola antydopingowa wykazała w moccu polkowskiego ciężarowca „koks”. Afera co się zowie, ale kary symboliczne. Ponoć ciężary w Górniku po tym przypadku poleciały w dół. Spokojnie! Nie był to dół kopalni, lecz dół tabeli ligowej.

Pod koniec lutego szczypiorniści Miedzi awansowali do finału Pucharu Polski, koszykarze Olimpu Legnica zastana-

wiali się czy grać czy płakać, bo jakby odczuwali niechęć do tej pięknej dyscypliny sportu, ale prawdziwą „bombą” był przypadek Górnika Złotoryja. Klub rozwinął działalność gospodarczą i za to został skazany przez Izbę Skarbową na super podatek pozwalający na spokojne ogłoszenie upadłości klubu. Cyrk był niezły. Prezes Kowalski kilka razy odwiedzał Ministerstwo Finansów i w końcu wygrał. Przez miesiąc klubu praktycznie nie było...

Początek marca oznaczał emocje związane z superligą w tenisie stołowym. Mecz Polska — RFN w Lubinie był wielkim wydarzeniem sportowym. I sukcesem organizacyjnym. Szkoda, że owego zainteresowania nie daje się prześledzić na grunt ligowy. Mecze Zagłębia oglądają wyłącznie znajomi. Inna sprawa, że poziom znacznie odbiega od średniej europejskiej.

W przededniu startu rundy rewanżowej w piłce ręcznej panów zostaliśmy nieco zbulwersowani atmosferą panującą w drużynie Miedzi. Jak zwykle poszło o pieniądze, a zwłaszcza o niskie premie. Rozmowy były ostre — groźno nawet strajkiem, ale w końcu podano sobie ręce na znak zgody. Porozumienie miało chyba mocne podstawy, skoro podopieczni duetu Jeżak — Polowski w cuglach awansowali do ekstraklasy. Kilka miesięcy potem zaskoczyła nas wiadomość o odejściu trenera Jeżaka do Lubina. Zbyt dużym uproszczeniem byłoby postawienie tezy, że znów w grę wchodziły pieniądze...

Sensacja gonila sensację. W Miedzi zameldowali się dwaj futboliści rodem z Dynama Kijów. Trener Konsewicz nie był hurraoptymistą. I miał rację. Przybyły nie sięgali nawet do pięt ligowym średniakom, toteż ich przydatność w lidze była więcej niż znikoma. W marcu ruszyły piłkarskie ligi. Zagłębie Lubin po niejasnej jesieni wygrało za 3 punkty z Zagłębiem Wałbrzych i był to początek złotej wiosny, której ukoronowaniem był pewny awans. Łoża honorowa na na lubińskim stadionie pękła w szwach i nikt o niczym innym nie mówił, jak o kolejnych golach lubińskich snajperów. Tymczasem Andrzej Makowski — lyżwiarz szybki przypominał, że istnieje w Lubinie coś takiego, jak lyżwiarzskie tradycje. Na mistrzostwach Polski w wielobojach wywalczył w pięknym stylu srebrny medal. Dodajmy — medal nie zauważony przez władze naszego sportu.

Wiosna oznaczała także start ligi śmierci. Mowa o lidze trzeciej. Ile tej wiosny zdarzyło się w niej cudów, nie wymyśliliby najlepsi bajkopisarze. Już w pierwszej rundzie lider Miedź przegrała w Chocianowie 1:2 z pewnym kandydatem do spadku. Chrobry „w ciemno” wygrywał wszystko za trzy punkty, a na finiszu ligi Kuźnia dogadała się ze Stalą i wymienili wojewódzki puchar za trzy ligowe oczka. W Polkowicach działo się też rozmaicie, a wyniki przypa-

wiały o zawrót głowy najlepszych speców. Tylko sterników Okręgowego Związku Piłki Nożnej nie opuszczał dobry humor.

W maju popłakaliśmy sobie nad stanem legnickiej lekkiej atletyki i odnotowaliśmy awans siatkarki Chrobrego do II ligi. W ich ślad poszły siatkarki Cuprum, ale drugoligowego chleba za sprawą kilku urzędników nie posmakowały... Bokserzy Zagłębia i Miedzi wygrywali pewnie w ligowych bojach i ostro porządzili na mistrzostwach Polski, wywalczając w sumie 4 złote i 6 brązowych krążków. W Legnicy za sprawą Józefa Baściuka odradzały się sporty łucznicze, a w Głogowie Jurek Górski przygotowywał się do bicia rekordu świata w ultramaratonie tj. utrudnionej wersji triathlonu.

Półroczne zamykaliśmy udanym finiszem piłkarskich ręcznych Chrobrego, którzy dosłownie rzutem na taśmę obronili swój ligowy byt. Cieszyliśmy się z triumfów Mirka Daszkiewicza na przeróżnych zawodach i pośmialiśmy się z kolejnych wysiłków uczynienia z niego „uciekiniera”. W dalekim Peru miłośnicy sportu motocyklowego podziwiali Zbigniewa Przybyłę, który ranny samotnie mknął do mety w rajdzie Inków...

Drugą połowę roku legnicy sportowcy zaczęli od mocnego uderzenia. Rafał Rudzki, pięściarz Zagłębia Lubin zdobył na mistrzostwach Europy brązowy medal. Futboliści Miedzi po barażach z Górnikiem Knurów zawitali w II lidze. Młodzi piłkarze — spartakiadownicy sięgnęli po złoty medal w Kielcach.

I to, co nas najbardziej wzruszyło i podbudowało. Jerzy Górski po 24-godzinnej walce uzyskał drugi czas na świecie w ultramaratonie. Impreza robiona społecznymi siłami udowodniła nam, że do sportowego szczęścia nie są wcale potrzebne miliony...

Milionami pasjonowaliśmy się za to w piłkarskim Lubinie. Transfer Jarosława Baki — oficjalnie 150 milionów (?), Stefana Machaja, Grzegorza Pyca i Piotra Tyszkiewicza przekonały nas, że atak na europejskie puchary nie jest tylko utopią. Na inaugurację było zwycięstwo nad Lechem, a na koniec foteł wicelidera tabeli. Dwa punkty straty do Katowic, liderowanie w klasyfikacji Złotych Butów, powołania do kadry są oznakami rodzenia się nowej potęgi w naszym futbolu. Inna sprawa, że nastąpiło generalne równanie w dół jeśli idzie o poziom sportowy naszej ligi.

Gorzej było z Miedzią. Fatalny start, koniec ogona, w końcu zmiana trenera. Na półkę trzeba było odfotografować sny o potęgę. Zapowiada się walka o byt. Kibice w Legnicy wierzą, że trener Jastrzębowski nauczy piłkarzy rzemiosła i odsunie widmo degradacji.

Były też i ciemne strony sportu. Ucieczka ziemnych tenisistów Zagłębia i kolarzy z Polkowic. Podejrzenia o sprzeczanie meczów w piłce ręcznej w Zagłębiu Lubin, najazdy pseudokibiców Chrobrego na Legnicę i zdemolowanie pociągu jadącego do Wrocławia przez szalikowców Zagłębia itp. I to, co było najpoważniejszym sygnałem dla sportowego środowiska: w Chocianowie zarząd Solidarności w FUM-ie po referendum nakazał iść piłkarzom do normalnej pracy. Rozpadł się zespół drugi i juniorzy. Zatriumfowała idea czystego sportu. I na marginesie uwaga. Po tzw. chocianowskiej sprawie liczyliśmy, że sternicy legnickiego sportu zaproponują przedstawicielom związków zawodowych wystąpienie do rozmów mających na celu wyjaśnienie pewnych spraw związanych ze współpracą na linii sport — zakład pracy. Zawiedliśmy się srodze. Sportowe władze to w zdecydowanej większości beton i superkonserwa. Bez nakazu z góry i przyzwolenia sekretarza — chyba PZPR(?) — nie nie zrobimy. Na skutki tej krótkowzrocznej polityki nie będziemy czekać zbyt długo. W zasadzie już nie czekamy.

Na „Rudnej” Rada Pracownicza podziękowała sportowcom za wżnienie na etatach, a w Polkowicach sam trener Henryk Woźniak przyznaje, że siedzi jak na minie. Nieoczekiwanie sport stał się kartą przetargową w ręku pseudopolitykierów. Nadal — może poza Zagłębiem — nie widać oznak prawdziwego profesjonalizmu. Liczą się tylko pieniądze...

W tej niewesołej atmosferze cieszyliśmy się ze startu Józefa Strzechowskiego na bokserskich mistrzostwach świata w Moskwie, odnotowaliśmy kolejne sukcesy Daszkiewicza i podziwialiśmy wspólną postawę szczypiornistów Miedzi w grupie B ekstraklasy. Pojawili się opinie, że Miedź to team mogący walczyć niedługo o mistrzowskie laury.

Odbieraliśmy też sygnały, że większość klubów ma wielomilionowe długi i nikt nie wie, co będzie za kilka tygodni. Kto nie przebudził się w odpowiednim czasie, może w styczniu być już bez sportowej posadki. I tym akcentem kończymy wspomnienia sportowego roku.

Sztaudynger prześmiewca

Bronisław Freidenberg

Miasto nasze w przeszłości odwiedziło wielu wybitnych ludzi. Gościł w Legnicy i Napoleon, i Sthendal (prawdziwe nazwisko Henri Boyle), i Wyspiański... W czasach nam bliższych byli Wańkowicz, Broniewski, Erenburg, Irena Solska, marszałek Rokossowski, Zbigniew Cybulski, Bogumił Kobiela, Piotr Paleczny i wielu, wielu innych. Z niektórymi z nich udało mi się przeprowadzić wywiady. Po latach chciałbym przypomnieć fragment wywiadu z dr. Janem Izidorem Sztaudyngerem — jednym z najwybitniejszych polskich fraszkopisarzy, przeprowadzony w 1961 roku.

● Pytanie to sen mi po nocach
wyplasz,
o każdej porze w mózg mi się
wwierca:
jak w trudnej sztuce pisania fraszek
kunszt posiąść mistrza

J. Sztaudyngera!?

— Przede wszystkim — odpowiedział mój znakomity rozmówca — ciągle pisać, dużo pisać. Każdy w końcu „dopisze” się do formy, która mu najlepiej odpowiada.

● Kiedy powstała pierwsza pańska fraszka?

— W wieku ośmiu lat, w czasie jednego ze spacerów po Plantach w Krakowie:

Trawka się zieleni
dla skubania jeleni.

Pisać jednak na poważnie zacząłem stosunkowo późno. Najbardziej odpowiadają mi fraszki, w których odbija się moja podwójna dusza, które łączą odziedziczony po matce liryzm, z pewną odziedziczoną po ojcu pikanterią. Przykład takich fraszek:

Pensjonarka:
właściwy człowiek
od spuszczenia powiek.
Podział:
tobie jej ręka, jej posag, jej wieniec,
dla mnie pozostał uśmiech i rumieniec.

Jednak fraszka, która sprawiła mi największą przyjemność i za którą z satysfakcją brałem honorarium, to ta, w której nie ma ani jednego mojego słowa:

Zbrodnia to niestychana
Tuli pan tulipana.

Jeden wiersz z Mickiewicza, drugi z Samozwanciem... Ostatnio z autorem „Sagi rodu Gąsieniców” Kapeniakiem, prowadzimy taką przyjemną zabawę. Na moje fraszki Kapeniak pisze riposty. Na przykład:

Kiedy przechodzi ładna dziewczyna,
Amor mi zaraz łuk napina.
Riposta:
A mnie, panie tygo,
całkiem co innygo.
Albo:
Dniem czcisz kobiety, po co?
Ja czczę kobiety nocą!
Riposta:
Gdy ładna dziewczeczka,
moję i do słoneczka...

● Kiedy będziemy mogli nabyć nowy tomik pańskich utworów?

— W ciągu najbliższych dni powinien ukazać się, wydany nakładem Wydawnictw Literackich tom fraszek „Piórka z gór”, ze świetnymi barwnymi ilustracjami Bruchnalskiego. Charakterystyczną dla całego zbioru jest fraszka:

Modlitwa zbójnika:
Boże, bądź ślepy i głuchy
idę do ładnej dziewczuchy.

Cela na kółkach

Anatol Krakowiecki

Wigilia i Boże Narodzenie w celi czterdziestej, Sylwester i Nowy Rok w czterdziestej.

Jest to cela skazanców. Każdy mieszkaniec celi ma jakiś wyrok. Najmniejszą mają złodzieje. Potem zaraz idziemy my, turyści, a następnie są wyroki po pięć, osiem i dziesięć lat. Zwłaszcza policjanci są obficie zaopatrzeni w te „lata”. Jeden z nich był skazany na śmierć. (...)

Nadchodzi dzień 2 stycznia i biorą nas „na etap”. Mamy zażyć przyjemności uczenia się musztry więziennej. Wyprowadzają nas na dziedziniec i formują piątki.

— Ustawić się w piątki!
Słyszysz wezwanie, rozkaz, który potem będzie uderzał wrzaskiem w moje uszy — może kilka tysięcy razy.

— Ustawić się piątkami! Krok w lewo, krok w prawo, a będę strzelał bez uprzedzenia!

Pierwsza piątka rusza. Przy bramie stoi strażnik i odlicza:

— Pierwsza!
Pierwszych pięciu ludzi wychodzi za bramę.

— Druga, trzecia, czwarta, piąta...

I tak dalej, bez końca. Obstawieni jesteśmy dookoła strażnikami. Karabiny w rękach, nagany w dłoniach. Karabin maszynowy naprzeciw. I psy — obrzydliwe, wściekłe psy. Zajeżdża samochód i ceremoniał zaczyna się od nowa.

Kolumnę więźniów prowadzi na rampę, segregują w jakiś tajemniczy sposób i pakują do wagonów. Rozwarły drzwi wagonu i pomost. Nie można bliźnąć pod pomost, nie można dać nura pod wagon. Ludzie, karabiny, psy. I znów odliczanie:

— Pierwsza, druga, trzecia...

Pakują do wagonu trzydziestu sześciu ludzi. Jednego, Więckowiaka, byłego komendanta posterunku policji, musimy wnieść. Ma opuchnięte nogi — cały jest opuchnięty.

W wagonie stoi wmontowany piecyk. Na ten piecyk z nadzieją kierują się uradowane oczy (nie tylko dlatego, że będzie ciepło...).

W naszym wagonie jest tylko kilku skazanych. Reszta, to więźniowie „śledczy”. My już uważamy się za załatwionych, oni będą tulać się od więzienia do więzienia, od śledztwa do śledztwa w poszukiwaniu wyroku. W innych krajach przestępcę wiezie się na miejsce przestępstwa, ażeby łatwiej było przeprowadzić śledztwo. Tutaj „przestępcę” wywozi się z „miejsca przestępstwa” — też żeby było łatwiej przeprowadzić śledztwo. Bodaj czy nie jesteśmy od nich szczęśliwsi, my — skazani? Chyba — tak? Nasze oczy skazane szukają luk, wypatrują szpar, rozglądają się gorączkowo dookoła.

— Uciekać!

Oto jest myśl, która przesywa większość umysłów. Tutaj do sprzymierzeńców dołączają się przestępcy kryminalni, których „świat” odnosił się do nas kilka godzin temu tak wrogo. (...)

Nie wiem — skąd wzięło się to żelazo? Wiele takich tajemnic otaczać mnie będzie w przyszłości. Dość, że żelazo jest. Na podłodze, pod dolnymi narami, leży młody człowiek. Inny młody człowiek trzyma żelazo w piecyku. Żelazo jest wreszcie rozpalone, czerwone, sypie iskry, potem wędruje pod nary. Za chwilę słychać syk i dym unosi się w powietrze. Teraz trzeba czekać aż dym się rozplynie, wówczas żelazo można powtórnie zagłębić w podłogę wagonu.

A tu pociąg stuka na zwrotnicach i może zatrzymać się! Zaś foszty drewniane, stanowiące podłogę wagonu, są bardzo grube. Ciężka, mozolna i niebezpieczna praca. W wagonie nie ma chyba nikogo, kto nie zdawałby sobie sprawy z tego, co się dzieje. Są jednak tacy, którzy nie chcą widzieć, nie chcą słyszeć. Zaczynają ostrożnie szemrać, że „dym gryzie w oczy” — i od tego momentu nabrzmiewa protest. (...)

Pociąg jedzie dalej, ostrożna praca trwa. Tyle, że protesty dotychczas bardzo ciche, zaczynają być głośniejsze. Rozwiali się różne optymistyczne marzenia. Pociąg wraca na wschód. Jedzie

z powrotem do Stryja, a potem kieruje się na Lwów. Na dolnych narami w kacie trwają narady.

— Dym gryzie w oczy! Co wy robicie? To szaleństwo! Nas tutaj pozabiją!

Pociąg coraz bardziej zbliża się do Lwowa. Wreszcie na dworcu. Lyczakowski nie ma już mowy o dalszej robocie. Sama robota jest zresztą niepoważna. Rozbabrana. Jeszcze trzeba by godzinę popracować, ażeby otwór był gotów. Na dworcu pracować jednak nie można.

Przynoszą jakieś jedzenie. Mało i paskudne. Zaczynają się pierwsze awantury o jedzenie. I o wodę. Palić już nie ma co. Palimy wspólnie fajkę, ulepioną z chleba. Fajka pokoku. Chociaż „pokoku” to na pewno nie. W każdym razie fajka przyjaźni.

Udzieramy długi kawałek białego i wystarczająco czystego płótna. Trzeba pisać ołówkiem kopiowym, a wody nie ma ani kropki. Wobec tego każdy pluje na ten kawałek płótna, na którym mam napisać jego nazwisko. Spiesz się, trzeba zdążyć. Wszystkie nazwiska obecnych w naszym wagonie są wypisane, ale „organizuje się” drugi skrawek płótna, a na nim widnieją nazwiska tych, z którymi każdy z nas się zetknął w różnych celach. Nie ma jednak czasu dokończyć tego spisu. Przetożono nas bowiem na inny dworzec.

Nasz pociąg staje niedaleko peronu. Między nami a peronem stoi jakiś pociąg towarowy. Okienko naszego wagonu zatrzymało się w ten sposób, że stoi właśnie w luce między dwoma wagonami tamtego pociągu. Okoliczność przychylna, że jeden z tamtych wagonów, to cysterna nafty, do której wysoko dojeżdżona jest budka hamulcowego.

Po peronie chodzą ludzie, wolni ludzie. Jeszcze nie aresztowani.

Naprzeciwko naszego okienka zatrzymuje się jakaś pani i dwóch panów. Rozmawiają swobodnie. Boję się rzucić rulon, obawiam się, że nie rzucę celnie. Oddałem go młodemu człowiekowi. Ten rzucił. Widzimy jak rulon upada na platformę wagonu — cysterny, poniżej budki hamulcowego — i toczy się. Stoczył się po schodach z tamtej strony i upadł na peron. Tuż u nóg pani. A pani opuszcza torebkę i podnosi ją, z wolna, od niechcenia. Rulonu nie ma już na peronie. A potem — też z wolna i też od niechcenia — wszyscy troje odchodzą. (...)

I znowu nas przetożono — znowu jakas rampa — znowu odczytywanie nazwisk — znowu ustawianie piątek. Tym razem mamy sposobność zakosztowania rozkoszy wagonu pullmanskiego długiego, szerokiego, świetnie resorowanego.

Tylko, że jest to wagon więzienny! Małe, zakratowane okienka z jednej strony, żadnych okien z drugiej. Łukus więzienny. Co stary Pullman powiedziałby na taki wynalazek? (...)

W wagonie znajduje się, w części odgródzonej kratą, również luksusowe urządzenie. Nawet jest taki interes do spuszczenia wody. Tylko, że wody nie ma, a cały ten interes jest zepsuty. Trzeba stać w długim ogonku, ażeby się tam dostać. Już po upływie pół godziny funkcjonowania tego pomieszczenia, brnie się w kale.

W każdym przedziale ludzie łączą się w grupy. Łączy ludzi narodowość, pochodzenie, sympatia. Znajdują się między nami więźniowie, którzy niedawno zostali aresztowani. Od nich dowiadujemy się, co dzieje się w świecie. Jest między innymi człowiek, który 14 grudnia opuścił Warszawę. Opowiada, jak Warszawa wygląda, a serca ścisną się z rozpaczy. Mówi o spalonym zamku, o zrujnowanym placu Teatralnym, o gruzach ulicy Marszałkowskiej. (...)

Rozdano żywność. Otrzymujemy po łyżce cukru. Oraz śledzie. A wody ciągle tak mało, że na wiadro z wodą ludzie rzucają się jak w szale. Ten śledź nie jest rozdawany umyślnie, aby wzniecić pragnienie. To tylko tak wynikło z posiadanych zapasów, po prostu śledzie były pod ręką.

Wagon szumi, burczy, a Karpatorusi ni udają, że śpiewają. Co jakiś czas wybucha awantura o wodę.

— Wody! Wody!

Ten ponury okrzyk trwa, jak nieustanny refren naszego wagonu. Słyszysz się go w ciągu całych dziesięciu dni. Tyle bowiem trwa nasza podróż z Lwowa do Horodni, przez Homel.

Nie ma również papierosów. Robimy burzę i wrzask. Przychodzi starszy strażnik i nieodmiennym obyczajem obrzuca nas obelgami. Ale potem zgadza się na zakupienie dla nas papierosów.

— Dajcie pieniądze, posłę po papierosy.

Nikogo nie zdumiewa takie postawienie sprawy, ani nawet jego samego, starszego strażnika. Mianowicie to, że przecież pieniądze nie powinno być w wagonie. Przecież przewidowano każdego niezliczoną ilość razy i wszystkie pieniądze zabrano, złożono gdzieś tam w jakiejś kasie i wydano kwitki...

... Z pieniędzmi była komiczna sprawa. Pewnego dnia, nagle w ciągu kilku godzin kazano wymienić polskie złote na ruble. Więźniowie nie mogli oświadczyć wymienić tych pieniędzy, ponieważ siedzieli w kryminale. I oto, czy myślicie, że:

a) wymieniono pieniądze wszystkim więźniom?

b) nie wymieniono pieniędzy nikomu?

c) wymieniono pieniądze tylko częściowo?

Nie! Jednym — wymieniono wszystkie pieniądze, innym w ogóle nie wymieniono, a jeszcze innym — wymieniono część na ruble, część pozostawiono w złotych. Oczywiście złote przepadły, stały się nieważne.

Kiedy jednak starszy strażnik zażądał pieniędzy, okazało się, że forsa jest. Kilkanaście rak wyciągnęło się z banknotami rublowymi. Starszy strażnik bynajmniej nie zdumiony takim stanem rzeczy, zabrał pieniądze i wkrótce mieliśmy co palić.

Zasadniczo służbę w wagonie pełnił jeden strażnik, chodzący po korytarzu. Drugi stał w korytarzu poprzecznym. Czasami jednak zbierało się przed kratą kilku strażników, najwidoczniej będących poza służbą i znudzonych bezczynnością. Wciągali więźniów w dyskusje. Przede wszystkim mówiono o sprawach politycznych. Ale byli również i rozmówki na temat Boga. Dziwili się ogromnie, gdy prawie wszyscy więźniowie zapytani czy wierzą w Boga, odpowiadali: —

— Tak, wierzę!

Wtedy wykrzykiwali bluźnierstwa. Bezsensowne, pięknie wyuczone, zawsze te same. Pozytywki, papugi.

Jechał z nami młody człowiek, chłopaczek. Nie miał ukończonych 16 lat. Pochodził z Hajnowki i był uczniem gimnazjalnym. Pewnego razu kiedy stał koło kraty wysunął mu się zza koszułki medalik i szkaplerz. Strażnik sięgnął nagłym ruchem poprzez kratę i starał się szkaplerz zerwać. Chłopiec błyskawicznie zorientował się, plunął w twarz strażnikowi i odsunął się. Cisza zapadła w wagonie. Drżeliśmy, jakie też represje spadną na chłopca. Tymczasem strażnik otarł twarz i rozpoczął dyskusję o Bogu. Mówi, że Boga nie ma. Mówi, że Boga nikt przecież nie widział.

— Czy ty widział Boga, duraku! — zapytuje chłopca. I wówczas padła wspaniała odpowiedź. W wagonie paliła się lampka elektryczna.

— To ty jesteś głupcem — mówi chłopiec spokojnie. — Czy widzisz tę żarówkę?

— Widzę.

— Czy świeci się?

— Oczywiście, świeci się.

— Widzisz więc żarówkę i widzisz, że się świeci?

— Widzę.

— A czy wiesz co sprawia, że świeci się ta żarówka?

— Elektryczność.

— Więc przetrnij, idioto i zagładnij do środka!

Czy potrafisz ujrzeć elektryczność? Czy potrafisz zobaczyć jak ona wygląda?

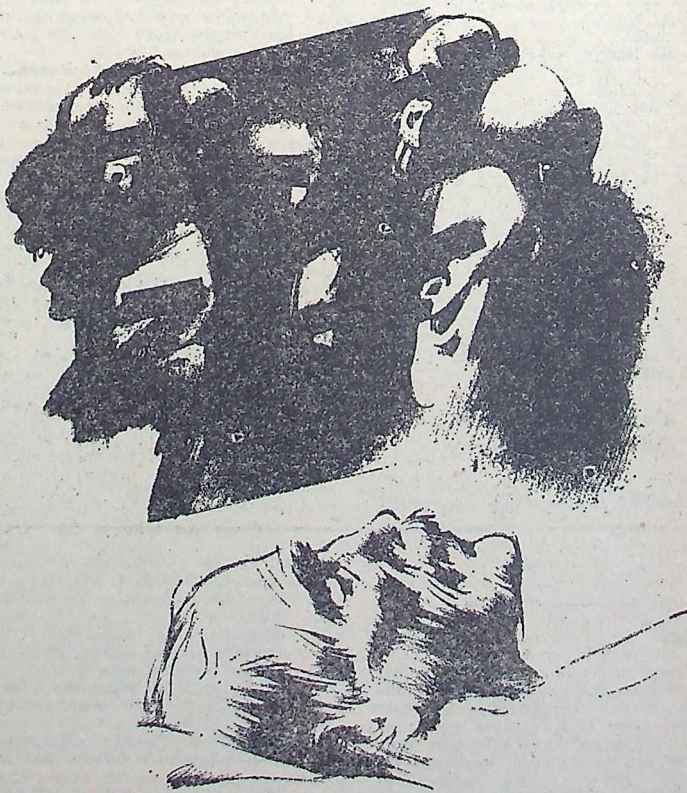
... W ciągu całych lat powtarzałem sobie tę rozmowę, co pewien czas. Tam na Kolymie w tajdze, jeśli była okazja, krzyczałem na cały głos. W barakach powtarzałem sobie ją po cichu.

Ażeby nie zapomnieć. Ażeby ją kiedyś napisać.

Załatwione. Napisałem...

OD REDAKCJI: Wybrane fragmenty pochodzą z „Książki o Kolymie” wydanej w 1950 roku w Londynie. Autor był literatem i dziennikarzem. Aresztowano go w 1939 roku, w czasie, gdy przekraczał granicę rumuńską. Był więźniem kilku obozów, m. in. we Władystoku, i Magadanie. Po amnestii, w 1941 roku, trafił do armii Andersa.

Opracował i do druku podał
CZESŁAW PAŃCZUK



Podobno byli w dobrych czasach goście, przed wojną oczywiście, których wpuszczano do mieszkania wejściem kuchennym. Podobnie z lekturami. Część z nich nie miała prawa przekroczyć magicznej granicy progu kuchni i wdrzeć się na pokój. Nadawały się wyłącznie dla rezydentek służbowki. Skoro jednak młode pokolenie nie wie nawet co to jest służbówka, wyjaśnię, że rzecz będzie o tzw. literaturze masowej, jak najbardziej współczesnej. Bez wstydu przyznaję, iż zaczytywałem się nią namiętnie. Początkowo z nieklamanyim zainteresowaniem, w wieku lat nastu wyłącznie dla zdrowia — spowodowania skurczów przedpony zwanych śmiechem. Czy słusznie?

Stróż prawa wiedziony na pokuszenie

Kuszenie pierwsze: „Pani Joanna zrobiła na Szymańskim wrażenie. Musiał bezstronnie przyznać, że dla tej kobiety można było stracić głowę. Brunetka o ogromnych fiołkowych oczach i pełnych, zmysłowych ustach miała w sobie tyle kobiecego wdzięku, połączonego z jakimś pozornie niedostrzegalnym, ale w rzeczywistości niesłychanie agresywnym seksem, że trudno było sobie wyobrazić mężczyźni, który zdolałby się wydobyć zwycięsko z jej sidła. A te sidła umiała zastawiać po mistrzowsku”.

I godny agresywnego seksu odpór: Szymański spróbował ciasteczek, stwierdził, że są „wyśmienite” i znowu sięgnął po filiżankę z kawą. W tej chwili pośliznął wewnętrzny głos: „Trzymaj się Władek. Jak tak dalej pójdzie, ślicznotka owinie cię koło małego palca”. W żaden sposób nie mógł zaprzeczyć, że fascynowała go swoją urodą. Chcąc więc samego siebie przywołać do porządku, powiedział: — Serdecznie dziękuję za tak miłe przyjęcie, ale odwiedziłem panią w ściśle określonym celu.

Z uzasadnieniem moralnym i estetycznym: „Szymański doznał uczucia wstrętu. Cynizm tej kobiety był obrzydliwy. Wyobraził sobie, co musiał przeżyć skromny urzędnik, zakochany w swojej żonie i nie będący w stanie z miserniej pensji zaspokoić jej potrzeb, kupić futer, sukien, biżuterii, zapłacić za pobyt w Zakopanem, w Krynicy, nad morzem. Tak, Wrocławski mógł zabić Pawelskiego”. (kochanka owej agresywnie seksownej damy)

Kuszenie drugie, w kołach raczej promiennych

— Byle czym? Niech pan sobie wyobrazi, że ta dziewczyna spaliła żelazkiem monogramy na koszulkach męża. Czeska popelina w najlepszym gatunku! Przywiozłam ją z Pragi. O, proszę tylko spojrzeć! — podniosła do góry koszulkę, którą dotąd trzymała w rękę. — Czy można pana poczęstować filiżanką kawy, panie poruczniku? — spytała siłą się na pogodny uśmiech.

Odpór lekceważący klasę przeciwnika — Dziękuję, właśnie wracam z kawiarni. Zresztą, nie chcę pani zabierać zbyt wiele czasu. Jeżeli pani pozwoli, to może od razu przystąpię do właściwego celu mojej wizyty.

I przystąpił.

Kuszenie trzecie, kokietyryjne — Niestety, nie. Przykro mi, ale mimo najlepszych chęci — uśmiechnęła się kokietyryjnie do porucznika — nie potrafię panu pomóc. Może napije się pan koniaku? Mam dobry, francuski. Mąż przywiózł z delegacji.

Odpór, bo trzeba znać swą wartość — Dziękuję za zaproszenie, ale muszę już lecieć. Może będzie jeszcze kiedyś okazja — dodał, widząc jak Matlarczykowa bez powodzenia stara się ukryć uczucie zawodu. Wiedział, że podoba się kobietom, zwłaszcza starszym od siebie. Imponowało mu to nawet trochę, ale nie zawsze było na rękę, czasami powodowało sytuację wręcz kłopotliwą. Pożegnał się szybko, może nawet trochę zbyt szorstko i wybiegł.

Por. Czartogromski jest młody i ambitny

Porucznik Szerniak był ambitnym młodym człowiekiem. Absolutnie nie wystar-

Czeska popelina, albo milicjant jak malowanie

wybrał i opracował Maciej Ginglas-Zalewski

czalo mu codzienne urzędowanie w komisariacie. Pragnął się wykazać zdolnościami, inteligencją, sprytem. Chciał zrobić karierę w dobrym znaczeniu tego słowa. Zdawał też sobie doskonale sprawę z tego, że czynny udział w śledztwie, prowadzonym przez kapitana Szymańskiego, to dla niego duża szansa zwycięstwa. Postanowił też niczego nie zaniedbać.

Nie ma czasu na kontemplację uroków przyrody

Na zewnątrz było cicho, słonecznie i spokojnie. Miasto jeszcze drzemało w wakacyjnym letargu. Ale nie miał czasu na rozkoszowanie się pięknem dnia. Tym bardziej, że nagle otworzyły się drzwi i do pokoju wtargnęła zdenerwowana nie na żarty pani Kortys.

chłopce, nigdy się nie spieszy i zawsze zdąża na czas. Nie przed czasem — to nie sztuka. Ale dość o tym, bo obawiam się, że w tej dziedzinie i tak nic z Ciebie nie będzie.

Zawsze jednak znajdują się w końcu partnerzy do męskiej rozmowy...

Wykorzystując moment zawahania Kropki i „Małego”, podbiegł i uderzył kantem dłoni w te otwarte usta. Tamten padł jak ścięty. Z ust poląła się struga krwi. Pozostało dwóch. Teraz byli ostrożniejsi. Krążyli wokół niego czekając na sposobny moment. Zatakował pierwszy. Jednym susem był przy Kropce. Uderzył potężnym sierpem i poprawił, błyskawicznie zginając rękę lukiem. Wtedy skoczył ten mały. Zamachnął się brzytwą, równocześnie Zadra-

wiele czasu. Poranny spacer poskutkował jednak i w Pałacu Mostowskich zjawił się w zupełnie przyzwoitej formie, czego nie można było powiedzieć o Marku Barnym, na którym własny organizm mścił się z całą bezwzględnością za brak umiaru na jakiejś wcześniejszej imprezie. Młody chorąży prezentował się dosyć żałośnie i niewiele było rzeczy, do których nadawałby się w tym stanie. Zadra kazał mu iść do bufetu i wypić trzy kefir z kawą. Barny wybiegł z pokoju przesyłając szefowi dziękczynne spojrzenie.

W szponach miłości

Spotkanie z młodym Kiersem to nie był jedyny powód, dla którego Marcin tak ochoczo zdecydował się na poświęcenie soboty i niedzieli na wyjazd na Wybrzeże. Był i drugi — długonoga blondynka imieniem Maria. Powód mieszkał w Sopocie i właśnie przygotowywał się do obrony pracy magisterskiej na Wydziale Prawa Uniwersytetu Gdańskiego. Zdaniem młodego oficera już stanowczo zbyt długo się nie widzieli. Miał nadzieję, że Maria jest tego samego zdania.

Tylko jurystyka gwarantuje uczucie czyste i zgodne z literą prawa. Coś w tym musi być, skoro...

Położyli się wcześniej, ale spali krótko. Kondensacja treści w tym akapicie godna jest najlepszej poezji. Lekturę następną zakłóca jednak pojawienie Ewy.

Nie zostało mu już wiele czasu dla Ewy (?). Nie mogli się sobą nacieszyć. Tak bardzo im było brak siebie przez te wszystkie dni... Zegnali się zachłannie, jakby na zawsze. Ale coś, pociągnięto rzadko i niechętnie czekają na spóźnialskich kochanków...

Happy end, jeszcze w kawalerce

Na stoliku, przykrytym białą, lśniącą serwetką, paliła się wetknięta w butelkę po bułgarskim winiaku świeczka. Maria obserwowała jej płomień poprzez mieniące się w wysokiej szklance czerwone wino.

— Wiesz — powiedziała cicho, patrząc łagodnie na Marcina — dopiero tydzień mieszkam w tej twojej kawalerce, a już zdążyłam się do niej przyzwyczaić. Polubiłam ją nawet... Chociaż trzeba tu jeszcze bardzo dużo zmienić — dodała po chwili wojowniczym nieco tonem.

— Nie ma sensu.
— Dlaczego?
— Bo to już koniec.
— Oslupiała.
— Czego koniec? — zapytała przestraszona.

— Naszego pobytu tutaj.
— Dlaczego? — wpatrywała się z niepokojem w twarz Marcina.
— Bo dostałem przydział na mieszkania M-4, prawie siedemdziesiąt metrów. Jest jeszcze tylko do załatwienia mała formalność...

Jej oczy zamieniły się w dwa ogromne znaki zapytania.

— Muszę się przedtem ożenić. Czy zechcesz zostać panią kapitanową?

Bez słowa rzuciła mu się w ramiona.

Mogli kontynuować rozmowę dopiero po dłuższej chwili, leżąc już na kanapie i zachłannie zaciągając się papierosami...



— Ileż można czekać, panie oficerze! Już pół godziny sterczę na tym korytarzu jak głupia jakaś. Druga dochodzi, a ja od świtu na nogach i jeszcze do tego...

— Najmocniej przepraszam — Zadra ujął dłoń gospośi i ucałował szarmancko. — Mam nadzieję, że mi pani wybaczysz. Musiałem wydać dyspozycję, rozumie pani, mamy teraz mnóstwo pracy, ale ja jestem do pani usług.

Grzeczności nigdy za dużo, jednak...

— Z wywiadu też naci. Obszedłem wszystkie domy naokoło. Rozmawiałem chyba z setką ludzi, dowiedziałem się o wszystkim co się tam zdarzyło od pierwszej wojny — nie wierzy pan poruczniku, jacy ludzie potrafią być gadatliwi, oszaleć można. Zresztą Stachura i Michalak, co ze mną byli, naprawdę już pod koniec zgłupieli. Michalak to nawet jednego staruszka w rękę pocałował.

Tym razem za wiele kurtuazji. Ale jak zachować umiar, kiedy nawet szef uczy savoir-vivru, demokratycznego oczywiście

Kiedy Zadra pojawił się w bufecie, Walecki już czekał. Ostentacyjnie spoglądał na zegarek. — Spóźniłeś się o 43 sekundy. Mogłbyś wreszcie nauczyć się punktualności. Ostatnim razem kazałeś na siebie czekać prawie półtorej minuty...

— Masz rację. Absolutnie. (...)
— Prawdziwy dżentelmen, mój drogi

chwycił nieprzytomnego już Kropkę i zastąpił się nim. Mały nie zdążył zatrzymać ciosu. Jego brzytwa rozorwała twarz kolegi. Oniemiał na ulamek sekundy, to wystarczyło. Nawet nie zauważył ciosu. Zadra stał nad nim szykując się do zadania ostatecznego haka, ale nie było już potrzeby. Z ust „Małego” trysnął strumień wymiotów, a po chwili on sam ugiął się w nich, nie wiedząc i nie czując nic poza dławiącym cały organizm w paroksyzmach młodości bólem.

Zadra nie odczuwał żadnej satysfakcji. Nie miał wyrzutów sumienia. Wiedział, że walcząc z kilkoma przeciwnikami jednocześnie trzeba iść na całość, że trzeba ich eliminować po kolei, bo jest to jedyna szansa — ale widok tych czterech działających przynębiająco. Zapalił papierosa i zaczął oglądać ich, zastanawiając się, któremu najpierw i jak pomóc, kiedy przyjechało pogotowie, a po chwili milicja.

To był ciężki dzień. Nazajutrz...

Pracował niemal do zmierzchu. Był już solidnie zmęczony. Poskładał papiery, zgasił dopiero co zapalony papierosa i ruszył do wyjścia. Marzył o kąpieli i dobrej książce. Od drzwi zawrócił go telefon. Laboratorium meldowało, że...

Służba nie drużba. Na drugi dzień...

Do pracy postanowił iść na piechotę. Wrócił od Karego dosyć późno, a że nie potrafił sobie odmówić zaplanowanej na wieczór lektury, na sen pozostało nie-

Samorząd osiedlowy może wykazać się, powodując przyspieszenie remontu innych budynków, jak choćby ten przeznaczony na przychodnię, aptekę. Niech zabda także o nasze drogi, np. Strugę czy Bukowę, tak zniszczoną przez remontujące przedsiębiorstwo.

Nazwisko i adres
znane redakcji

Nawiązując do pisma podpisanego przez 31 mieszkańców osiedla Zacisze, w sprawie przekazania na cele społeczne obiektu hotelowego KW PZPR przy ul. Bukowej 12 w Legnicy informuję,

że w wyniku analizy przydatności budynku do działalności społecznej, wykonanej przez radnych MRN uznano, iż nie można w nim urządzić ani przedszkola, ani też innej placówki opiekuńczo-wychowawczej.

Idąc naprzeciw potrzebom służby zdrowia radni uznali, iż najlepszym rozwiązaniem byłoby zorganizowanie w nim hotelu dla średniego personelu medycznego. Z takim stanowiskiem zgadza się również senator PRL ob. Stanisław Obertanec.

W tej sytuacji podjęto rozmowy z kierownictwem KW PZPR które zade-

klarowało chęć przekazania obiektu, po uprzednim odzyskaniu poniesionych kosztów.

Trwają przygotowania do pozyskania środków finansowych w Wydziale Zdrowia i Opieki Społecznej Urzędu Wojewódzkiego, których spłata, zgodnie z postanowieniami podpisanymi 7 listopada 1989 r. będzie dokonana w dwóch ratach na przełomie bieżącego i przyszłego roku.

JAN LEWANDOWSKI
przewodniczący
Miejskiej Rady Narodowej
w Legnicy

listy

„Hotel”

W artykule tym („Konkrety” 45) zmartwił mnie powrót do starych skompromitowanych metod zabierania tym co mają, przez tych, którym się podoba, podpierając się racją społeczną. Dziwi mnie obecność w tym działaniu senatora Obertanica. Czyżby potrzebował spektakularnego sukcesu, po obietnicach przedwyborczych?

Podwiedz mi, co jesz, a powiem ci kim jesteś

Ten aforyzm z pewnością oddaje istotę rzeczy. Po jakości i sposobie jedzenia można ustalić zamożność, obyczaje, wychowanie, a także narodowość. Francuskiego rytmu związanego z porami i jakością posiłków nie można spotkać nigdzie indziej na świecie. Kuchnia francuska, obok chińskiej, jest dziś uważana za fundament światowej sztuki kulinarnej. Francuzi doskonale zdają sobie z tego sprawę, celebrują tę sztukę i stworzyli z niej niebagatelną atrakcję turystyczną i źródło wielkich dochodów, bo jakżeby bez turystów mogli istnieć całe ciągi restauracji na Polach Elizejskich, że nie wspomnę o Dzielnicy Łacińskiej czy innych dzielnicach Paryża, a także mnóstwo restauracji, barów, kawiarni, knajpek Lazurowego Wybrzeża, francuskich Alp czy nawet małych miasteczek. Oczywiście, samo celebrowanie i reklama to tylko zewnętrzne oznaki czegoś, co tkwi bardzo głęboko w psychice i tradycji narodu. „Kulinarna sztuka Francji stanowi wierne odbicie francuskiego temperamentu, wdzięku, subtelności uczuć, precyzji w pomysłach twórczych i wyrażania w ich wykonaniu” — to słowa Marie A. Careme z książki „Pochwała kuchni francuskiej”.

Bogactwo i różnorodność klimatyczna Francji pozwala na wytworzenie doskonałych jakościowo produktów spożywczych: zbóż, jarzyn, owoców, mnogość rzek i stawów daje doskonałe ryby, Ocean Atlantycki, Morze Śródziemne i Północne to dostarczyciele wspaniałych ryb, skorupiaków, małży, ślimaków i alg. Na polach żyją kuropatwy, przepiórki, dzikie króliki i inna zwierzyna, która staje się ozdobą stołów. Na górskich łąkach pasą się krowy, kozy i owce dające wspaniałe aromatyczne mleko, z którego wyrabia się najlepsze na świecie sery. Odpowiednia gleba i łagodny klimat pozwalają dojrzewać winogronom, z których wytłacza się najlepsze na świecie wino.

Losy narodów zależą od ich sposobu odżywiania się

Rzeczywiście, rytm życia i pracy narzucają we Francji pory posiłków. Ranne śniadanie (petit déjeuner) jest posiłkiem małym, ale pożywnym: prawdziwa kawa z mlekiem lub śmietanką, długą bułka (baguette), gorący rogalik z francuskiego ciasta z masłem, dżemem, galaretką z wszelkiego rodzaju owoców lub miodem. Rogaliki francuskie są robione na maśle, ale obecna moda na odchudzanie, a także lek przed nadmiarem cholesterolu w organizmie powodują, że niektóre piekarnie robią je na oleju i reklamują jako dietetyczne. Oczywiście, cena olejowych rogalików jest wyższa.

W restauracjach, barach, kawiarniach śniadanie podawane jest od 6 do 9.30. Od 12 do 14 można zjeść lekki obiad zwany tu śniadaniem (déjeuner). Rozpoczyna się go od aperitif, którym jest sok owocowy lub niskoprocentowy alkohol. Potem mała przekąska w postaci salatek jarzynowej, ryby, wędliny i wreszcie dania podstawowego, które stanowi pieczone lub duszone mięso, ryba z frytkami czy inną jarzyną, popija się to czerwonym winem. Na deser podawane są sery, kto z nich rezygnuje, ma do wyboru owoce, ciasto, lody, kremy. Południowy posiłek kończy filiżanka mocnej kawy, czasem z koniakiem.

Porządek potraw idzie od najbardziej syjących do lekkich

Najważniejszym posiłkiem dnia jest kolacja zwana diner lub souper (ta druga nazwa pochodzi od soupe — zupa), bowiem właśnie na kolację podaje się zupę. Ten posiłek jest jedzony od godziny 19 i może trwać długo, czasem nawet, w uroczystych okazjach, całą noc.

Poza tymi godzinami posiłków żadna restauracja nie poda zestawu, który nazwalibyśmy drugim daniem. Można zjeść salatkę, wędliny, w specjalistycznych barach zapiekankę lub pizzę, ale déjeuner czy diner w określonych porach.

Przy kolacji zbiera się cała rodzina, bowiem posiłek południowy dzieci zwykle jedzą w szkole, a rodzice w restauracji, barze czy stolówce. Kolacja zaczyna się od aperitif alkoholowego dla dorosłych. Cocktaile często komponuje pan domu. Niskoprocentowy alkohol rozpręża po dniu pełnym napięć i pogodnie nastraja. Potem podaje się zupę. Ale właśnie zupy zaczynają zniknąć z menu. Powodów jest kilka: troska o linię, pracochłonność wykonania, a coraz więcej kobiet pracuje zawodowo. Zakaśkę podaje się podobną jak przy posiłku południowym. Dania główne, to pieczone lub duszone mięso, coraz częściej

przyrządzane bez tłuszczu na grillu, ryby, drób z ziemniakami w najróżniejszych postaciach lub z innymi jarzynami. Daniem podstawowym może też być makaron, lazanki zapiekane, gotowane. Osobnym daniem jest zielona salata, po lody, kremy. Do posiłków pije się białe, różowe lub czerwone wino, w zależności od potrawy. Wino obecnie zastępowane jest piwem, nad czym ubolewają prawdziwi smakosze.

Francuzi różniącą kuchnię wykwinającą (haute cuisine), kuchnię domową (cuisine familiale), kuchnię wiejską (cuisine paysanne) i kuchnię regionalną (cuisine regional). Każda z nich wnosi coś do ogólnonarodowej sztuki. Na

W naszym kraju każdy, kto wybiera się do restauracji, ryzykuje dwie rzeczy, zatrucie i ruinę finansową. Niestety, nawet renomowany krakowski „Wierzynek” zatrul swych gości. We Francji ani jednego, ani drugiego nie ryzykuje się. Żaden produkt przygotowany w danym dniu we francuskiej restauracji czy stolówce nie może pozostać na dzień następny. Musi być zjedzony lub usunięty. W przeciwnym razie właściciel lokalu traci koncesję na kilka lat, a to wiązałoby się z jego ruiną finansową. Ruiną finansową to również nie grozi, bowiem można znaleźć restaurację, bar, kawiarnię na każdej kieszeń. Nawet dobre restauracje, oprócz naslennych, do-

oliwek i świeżej mięty. Także hiszpańska paella przyrządzana z ryżu, jarzyn, mięs, drobiu, skorupiaków, małży stała się ulubioną potrawą we Francji. Włosi podbili swych sąsiadów pizzą i spaghetti.

Ci, co się obżerają albo upijają, nie umieją ani jeść, ani pić

Z szampanem i ostrygami, które według naszych wyobrażeń jadają codziennie panienki lekkich obyczajów wiąże się też wiele naszych dowcipów. Tymczasem rzeczywistość ostrzygi to bardzo popularna we Francji zakąska, ale tylko od jesieni do Sylwestra. Przy tym nie należą one do drogich dań kuchni francuskiej. Oczywiście cena ostrzyg będzie zależała od kategorii lokalu, w którym chcemy je zjeść, a cena szampana jeszcze dodatkowo od firmy i rocznika. Wbrew legendom na takie danie może sobie od czasu do czasu pozwalać przeciętny Francuz. Ale dlaczego od jesieni do Sylwestra, bo wówczas ostrzygi są najsmaczniejsze i wtedy jadają je krawcowcy, a w innych porach roku przostawiają cudzoziemcom.

Natomiast do najdroższych dań należą te wszystkie, które zawierają trufle, wspaniale pachnące grzyby, we Francji również rzadkie, a także rosyjski kawior. Trufle i kawior są też uważane (podobnie i ostrzygi) za potrawy pobudzające potencję. Choć naukowcy nieco sceptycznie odnoszą się do tych poglądów. Cena trufli utrzymuje się również i dlatego, że nie udało się żadna próba sztucznego ich wyhodowania. A. Brilhat-Savarin nazywa trufle brylantem kuchni. Do wyszukanych i drogich potraw należą też żabie udka, przyrządzane na różne sposoby. Najchętniej są podobno spożywane panierowane w jajku i bulwie i usmażone na maśle na złoty kolor.

Deser bez sera jest jak piękna kobieta bez oka

General de Gaulle powiedział, że trudno jest rządzić narodem, który ma 300 gatunków sera. Rzeczywiście, co najmniej tyle się ich produkuje. Od najdelikatniejszych, typu twaróg, poprzez sery topione, sery typu camembert, bardzo popularne, z najwykwintniejszym z nich, przekładanym polówkami włoskich orzechów, sery pleśniowe, sery owce, kozie, ziołowe, twarde. Zwykle podawane są w domu na dużej drewnianej desce lub specjalnej tacy ze srebrnym nożykiem do ich odkrawania. Sery powinno się jeść od najładniejszych do najpikantniejszych, by poprzedni nie mącił smaku następnego. Do serów podaje się czerwone wytrawne wino.

Niezwykle istotny charakter nadają kuchni francuskiej sosy. Jest ich też około 300 rodzajów. Z grubsza można je podzielić na zimne i gorące. Sosy są przyprawione winem i ziołami. Każdy kucharz strzeże swoich tajemnic przyrządzania sosów, bo one są ukoronowaniem potrawy i nadają jej charakter. Właśnie znad Sekwany wywodzi się popularny majonez i beszamel. Stosunkowo prosty w wykonaniu jest sos vinaigrette (nazywany tak od nazwy octu winnego vinaigre). Sos ten przyrządza się z 2 łyżek oliwy, 1 łyżki octu winnego (można go zastąpić sokiem z cytryny, ale nie naszym octem spirytusowym), soli, cukru i pieprzu do smaku. Można go urozmaicić musztardą, czosnkiem, szczypiorkiem, cebulą. Z tym sosem jest jadała we Francji zielona salata, jest on również doskonały do innych potraw.

Oczywiście, kuchnia francuska ma swoje specjalne potrawy na święta. W wigilię Bożego Narodzenia na bardzo późną kolację podaje się jako danie główne indyka pieczonego z kasztanami. Ponieważ są u nas indyki, a bywają i kasztany, podam przepis na tę elegancką świąteczną potrawę. Jeden indyk lub indyczka wagi około 4 kg z wątróbką. Wątróbkę, 10 dkg słoniny, cebulę, garść natki pietruszki należy drobno posiekać i skropić 25 g koniaku. 1 kg kasztanów jadalnych gotować ok. 45 min. i obrać na ciepło ze skór. Roztopić 15 dkg masła, dorzucić przygotowany farsz z wątróbki i smażyć 10 minut, potem wymieszać z ugotowanymi kasztanami i nadziać tym indyka, zaszyć go. Obłożyć plasterkami słoniny i piec około 3,5-4 godz. Przy podawaniu na stół skrapiamy indyka spirytusem lub koniakiem i podpalamy. Przed indykiem podawane są na zakąskę ostrzygi lub wędzony łosoś. Ale to danie nawet bez zakąski będzie ozdobą świątecznego stołu. Życzę smacznego.

★
Śródtytuły są aforyzmami Anthelme Brilhat-Savarina, który żył na przełomie XVIII i XIX w. we Francji, był znanym smakoszem i autorem słownej książki „Fizjologia smaku albo medytacje o gastronomii doskonałej”.

Czy codziennie jedzą ostrzygi?

(Korespondencja własna z Paryża)

Elżbieta Pomorska

przykład, wiejskie śniadania są obfite. Zaczyna się je od szklancek czerwonego wina, zjada się zwykle zupę, która pozostała z kolacji. Na tradycyjnym winobranium gospodarz, u którego bywałam, przyrządził własnoręcznie każdego ranka omelet. Ten omelet był codziennie inny.

Odkrycie nowego dania większym jest szczęściem dla ludzkości niż odkrycie nowej gwiazdy

Najciekawszą kompozycją, którą udało mi się stworzyć był omelet ze szczeniakiem. Smażył na maśle listki szczeniaka, wlewał na to rozmacone, posolone i popieprzone jajka. Kompozycja znakomita, radzę spróbować. Były oczywiście, omelety z ziemniakami, pieczarkami, szynką, groszkiem, pomidorami itp. Przy pożegnaniu wręczyłam gospodarzowi własnoręcznie wykonany medal z napisem: Dla największego omeletera. Był bardzo ucieszony i powiedział, że jest to najprzyjemniejszy komplement jakim go obdarzono.

Południowe posiłki i kolacje, jakie jadaliśmy w tym wiejskim domu, nie ustępowały w niczym potrawom w dobrej restauracji. Prostszy był tylko sposób podania i nakrycie stołu. Bardzo syficzne i wykwinne były naleśniki z pieczarkami zapiekane pod beszamelem, pomidory faszerowane mięsem i przyprawiane na ostro czosnkiem, papryką, tymiankiem i pietruszką, królik duszony w winie, doskonałe salatek. Bardzo oryginalna wydała mi się salata z czerwonych gotowanych buraczków z dodatkiem czosnku, ryżu, korniszonów i jaj w sosie vinaigrette.

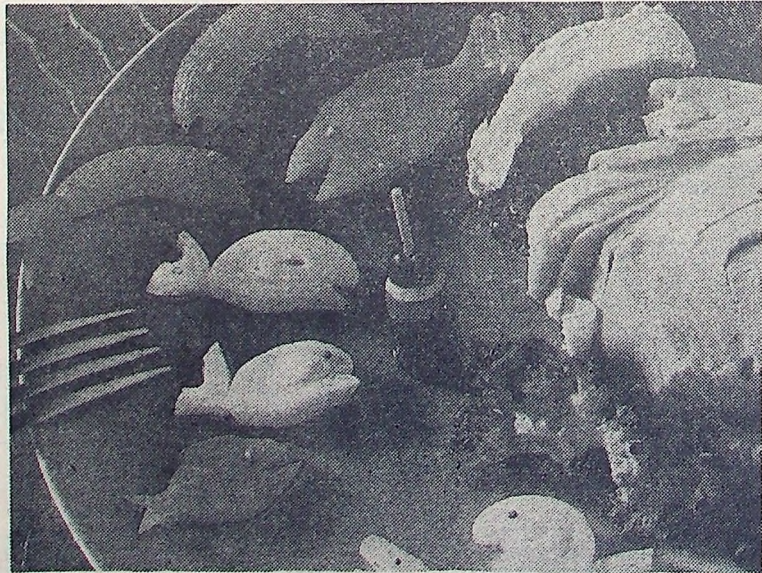
Do wszystkich potraw podawano czerwone wino wytrawne, oczywiście, własnej produkcji.

jak np. „Maxim”, wystawiają przed wejściem menu z cenami potraw lub całych zestawów. Nawet słynny lokal „Procope”, najstarszy w Paryżu, założony w 1685 roku i przechowujący kapelusze Napoleona, wywiesza swoje ceny, więc po zjedzeniu posiłku można oczekiwać na rachunek bez obaw.

Dla przeciętnego pracującego we Francji na niskich stawkach, zjedzenie kolacji w restauracji to koszt około 3 godzin pracy. Dlatego często widzi się całe rodziny biesiadujące w lokalach.

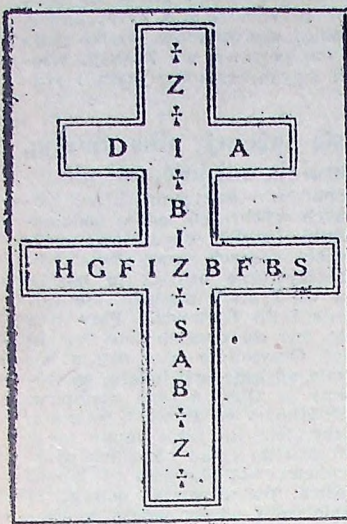
Stół to miejsce jedyne, gdzie człowiek nie zazna nudy przez pierwszą godzinę

Oczywiście, obok restauracji specjalizujących się w kuchni francuskiej, są też restauracje i bary regionalne. Można więc zjeść wspaniałą kaczkę z Perigord, czy gęś po alzaczkę, bardzo rozpowszechniły się barki sprzedające crepes, czyli duże naleśniki, które są specjalnością bretońską. Obok kuchni francuskiej w Paryżu egzystują wszystkie słynne kuchnie świata, w różnych częściach tego miasta można spotkać restaurację chińską, japońską, hinduską, arabską, hiszpańską, włoską itd. Na stałe weszły do francuskiego jadłospisu niektóre potrawy sąsiadów, np. szwajcarskie fondue, potrawa z topionego sera z różnymi dodatkami. Dziś w każdym domu towarowym można kupić specjalny ser dobrze roztopiający się na fondue. Są też do tego specjalne zestawy małych patelnik teflonowych z podgrzewaczem elektrycznym. Zawojowała też Francuzów arabska pszenka kasza na kus-kus. Można z niej przyrządzać świetną salatkę. Z tej właśnie kaszy, którą się skrapia na noc sokiem cytrynowym, dodaje dużo pokrojonych pomidorów, cebuli, czosnku,



W tak fantazyjny sposób udekorował kucharz z restauracji na Polach Elizejskich danie z tuńczyka. Rybki są wykonane z cebuli, marchewki i korniszonów.

Fot. ARK



I widziałem, a oto siwy koń, a temu, który na nim siedział było na imię Śmierć, a piekło szło za nim! i dano im władzę nad czwartą częścią ziemi, by zabijali mieczem i głodem i morem, i przez dzikie zwierzęta ziemi. (Apokalipsa św. Jana 6,8).

Smutne były w Głogowie święta Bożego Narodzenia w Roku Pańskim 1656. Niedawno zakończyła się wojna trzydziestoletnia. Dopiero co opuściły miasto okupujące je wojska szwedzkie, zabierając ze sobą bogate łupy. Jeszcze nie wszyscy mieszkańcy zdolali powrócić z trwającej wiele lat emigracji, a cesarscy kontrreformatorzy odebrać protestantom ostatnich świątyni, a już na miasto spadło nowe nieszczęście. Największe nieszczęście średniowiecznego i nowożytnego świata — morowe powietrze.

Panika w mieście wybuchła już w 1653 r. Najpierw dochodziły głuche, niejasne wieści o rozprzestrzenianiu się zarazy w dalekiej Italii i Francji. Mieszkańcy ludzili się jeszcze, że tym razem czarna śmierć nie dojdzie do Głogowa. Zarządzono białe modły w świątyniach. Przez miasto przeciągały pokutne procesje, a księża wzywali do postów i umartwień. Potem zaczęły dochodzić wieści coraz groźniejsze i z coraz bliższych okolic. Już nie z dalekiej Italii, ale z pobliskiej Austrii i Czech. Kto mógł, zabierał rodzinę i wynosił się z miasta, byle dalej, licząc na to, że tam nie dosięgnie go morowe powietrze. Urząd Królewski prze-

Czwarty jeździec Apokalipsy

Janusz Chutkowski

niósł się do Kożuchowa, tak jak gdyby tam było bezpieczniej. Wojsko wyprowadzono z twierdzy i umieszczono w naprędce zbudowanych szałasach, z dala od miasta. Rada miejska nakazała zamknięcie bram i od tej chwili miasto było jak gdyby obleżone. Nikt nie mógł do niego wejść, a kto wyszedł, nie mógł wrócić. W obrębie murów pozostało niewiele ponad trzysta osób.

Ale te drakońskie zarządzenia nie na wiele się zdały. Już w maju 1656 r. ludzie zaczęli umierać. Początkowo były to pojedyncze przypadki. Wysoka gorączka, bąble i wrzody pokrywające skórę i na koniec śmierć w męczarniach. Najpierw chorych izolowano w osobnych domach zarazy budowanych między wałami, a zmarłych chowano we wspólnych mogiłach. Nawet najbliższe rodziny nie mogły komunikować się z zarażonymi. Potem było jeszcze gorzej. Wymierali mieszkańcy całych domów. Zgodnie z zarządzeniem rady miano te domy palić, ale jak spalić budynek w mieście? Przecież to groziło nowym nieszczęściem — pożarem. W końcu zaczęto zamykać i barykadować ulice, w których zabrakło już mieszkańców. Pierwszą zamkniętą została ulica Jacewska... Jeszcze przed samymi świętami wydano zakaz pieczenia i przysylania sobie nawzajem (zgodnie ze zwyczajem świątecznym) ciast i pieczywa. Później już nie wydawano żadnych zarządzeń i nie zamykano bram... Po prostu nie bardzo miał kto to robić, a zresztą kupcy i mieszkańcy okolicznych wiosek z daleka omijali zarażone miasto, a chorzy i tak nie mieli sił gdziekolwiek iść.

Stopniowo zaraza zaczęła wygasać. Kto miał umrzeć — umarł, a ci co przeżyli, byli, przynajmniej na jakiś czas, uodpornieni. Stopniowo zaczęli wracać mieszkańcy, którzy przed zarazą uciekli i których nie dosięgła ona gdzie indziej. Wrócili cesarskie urzędy. Żywi oplakali umarłych i życie zaczęło się toczyć na nowo. Zresztą nie na długo. Następną zarazę wybuchła już w 1680 r...

Dzisiaj już nie bardzo możemy sobie nawet wyobrazić tamte czasy, bez-

radność ludzi wobec potwornych chorób przewalających się falami przez cały zamieszany świat. Mór czyli dżuma albo czarna śmierć, ospa, cholera, poty angielskie i inne groźne choroby, już nie dziesiątkowały, ale niejednokrotnie powodowały, że życie we wsiach i miastach prawie całkowicie wymierało. Nie znano nie tylko środków zaradczych, ale nawet nie wiadziiano nic o sposobach rozprzestrzeniania się zarazy. Wyobrażano ją sobie w postaci kobiety pędzącej w powietrzu w rozwianych szatach, albo jak to określał średniowieczny uczony Jan, archidiacon głogowski, że wywołują ją „planety i inne gwiazdy, które podnoszą z ziemi różne złe opary, zatrzymujące powietrze”. Szczególnie szkodliwe miały być wielkie koniunkcje Saturna, Jowisza i Marsa. Jeszcze w XVI wieku przyboczny lekarz króla Zygmunta Starego, kanonik głogowski Jan Solfa miał znakomitą, wzorowaną na starożytnych, receptę: „Szybko uciekaj, długo przebywaj w odosobnieniu i późno wracaj”, a poza tym już tylko „pokuta i modlitwa, oczyszczenie zakażonego powietrza (na ogół przez kadzenie palonym jałowcem), puszczanie krwi i branie na przeczyszczenie”. Do tego ludzie sami już dawali duże ilości alkoholu. Trzeba przyznać, że był to recepta znakomita, ale przecież nie wówczas nie wiadziiano nie tylko o bakteriach, ale nawet nie zdawano sobie sprawy z roli szczurów i pcheł w przenoszeniu dżumy. W istocie więc człowiek pozostawał bezbronny. Nic więc dziwnego, że zgromadzone w świątyniach tłumy błagały: „od powietrza, głodu, ognia i wojny — zachowaj nas Panie”, a poeta książąt legnickich Wacław Szerffer pisał:

„Kto dobrą radę da? Kto wesprze mnie w potrzebie!
Kto sprawi abym mógł z powrotem przyjść do siebie —
W uszach mych ciągle brzmi obmierzłej wojny huk,
Która z poezji drwi — na mnie zdobywa łup.
A spośród wszystkich klęsk, spośród wojennych cór
Najgorsza jawi się: zaraza czyli mór!”

Wielkie epidemie powtarzały się regularnie co kilka, kilkanaście lub kilkadziesiąt lat. Nie było przed nimi ratunku. Ale śmierć była dla ludzi tamtych czasów czymś powszednim. Człowiek był z nią oswojony. Masowo umierały dzieci, kobiety w pociągach, ludzie młodzi i starzy. Tak, że nawet te wielkie epidemie, wyludniające miasta i wsie zasługiwały u kronikarzy tylko na krótkie wzmianki. Jak te, które w Annales Glogovienses zanotował anonimowy kronikarz: „W Roku Pańskim 1464 była wielka zaraza w Głogowie, która przeniosła się z zachodu lub z Miśni... I zmarli: w wigilię Mateusza 57 osób, w dzień św. Mateusza 63, w dzień Burckharda 45; zaraza zaczęła się około święta Wniebowzięcia Maryi i trwała do Adwentu...”. „W Roku Pańskim 1467 w Głogowie była morowa zaraza; przysłała ona w przeciwieństwie do poprzedniej ze wschodu. I chociaż była ona znaczna w miastach, na wsiach była większa — tak, że niektóre pola pozostały nieobsiane”.

A na głogowskich domach, w których najczęściej grasowała zaraza umieszczano dla ochrony przed nią „krzyże zarazy”. Dwa z nich zachowały się jeszcze w okresie międzywojennym. Tajemnicze litery umieszczone na tych krzyżach były pierwszymi literami łacińskiej modlitwy-zaklęcia przypisywanej patriarsze Zachariaszowi:

„Krzyżu Chrystusa, zbaw mnie.
W żarliwości Twego domu —
wybawienie.
Krzyż zwycięża, krzyż rządzi, krzyż panuje.
Przez znak krzyża zbaw mnie Panie.
Boże mój Boże. Oddal ode mnie zarazę.
I z tego miejsca wybaw mnie.
W twoje ręce, o Panie, polecam mego ducha, serce i ciało.
Bóg jest potężny, oby uwolnił mnie od tej zarazy”.

I to było właściwie wszystko, czym dysponował ówczesny człowiek dla uchronienia się od moru.

WIELKI KONKURS POŻARNICZY

O możliwościach zaproszenia ognia, nawet w mroźne, zimowe dni, przypominać nigdy dość. Dlatego Komenda Wojewódzka Straży Pożarnych w Legnicy i redakcja „Konkretów” jak co roku przygotowała WIELKI KONKURS POŻARNICZY z cennymi nagrodami. Wśród autorów prawidłowych odpowiedzi rozlosujemy m.in. ZEGAREK ELEKTRONICZNY, KALKULATOR, SŁUCHAWKI STEREO, KOMPLET RZUTEK, PLECAK, LAMPĘ TURYSTYCZNĄ, ISKROWY ZAPALACZ DO GAZU, KASETY MAGNETOFONOWE I PŁYTY GRAMOFONOWE.

W „dymkach” na rysunku niektóre sylaby zostały wyfluszczone. Z nich właśnie należy ułożyć hasło przeciwpożarowe. Aby ułatwić rozwiązanie, podajemy pierwsze litery wyrazów we właściwej kolejności: z, m, b, g, n, l, j, z, p, p, p.

Na odpowiedzi (tylko na kartkach pocztowych) czekamy do 15 stycznia 1990 roku. Nasz adres: Redakcja „Konkretów”, pl. Chopina 2, skrytka pocztowa 145, 59-220 Legnica. Prosimy o dopisek: KONKURS POŻARNICZY.



Od kilkunastu lat mówi się o tym, że Paryż jako stolica świata, skończył się, że centrum przesunęło się na wschód, do Tokio, lub na zachód, do Nowego Jorku. Jest w tym sporo racji, ale te przesunięcia można uznać za okresowe mody. Czasem Londyn dyktuje mini, Nowy Jork styl dżinsowy, Japończycy miniaturyzację i styl orientalny, ale te tendencje w Paryżu zostają przetworzone, przetrawione i stąd promieniują na cały świat.

W sercu Paryża w pobliżu placu Madeleine i neoklasycyjskiej świątyni o tej samej nazwie, od dawna lubiła się spotykać societa, tutaj, przy rue Royal i Faubourg St. Honoré usytuowały się salony najlśnińszych paryskich krawców Ives Saint-Laurenta, Pierre'a Cardina, Courregèsa, Lanvina i Teda Lapidusa. Również tu mają swoje sklepy wielcy jubilerzy, w tym też Japończycy, których wystawy wzbudzają duże zainteresowanie. Tutejsze galerie sztuki lansują modnych malarzy, piękne szkło, dekoracyjne tkaniny. Tu wabią wzrok najdroższe kwiatarnie, które dyktują, jaki bukiet należy włożyć ukochanej, a najdroższe jest jego opakowanie z nazwą firmy. Tylko różne nigdy nie wychodzą z mody, zmieniają się tylko ich aktualne kolory.

Wystawy wielkich domów mody są swego rodzaju dziełami sztuki dekoracyjnej. Przedstawiają całe scenki zaaranżowane manekinami, z różnymi przyciągającymi wzrok przedmiotami. Nigdy nie eksponuje się na nich zbyt wielu rzeczy, aby nie rozpraszać widza. Często obok eleganckich męskich butów leży po prostu na wystawie szpicruta lub skórzana, lekko spatinowana torba z wysypującymi się z niej kijami golfowymi. Elegancki garnitur, w tym roku bardzo często w odcieniach fioleto, złamanego zieleni lub brązem, podkreśla koszula, krawat, szal. Weszły w modę kamizelki, zarówno dla pań, jak i dla panów, często w kontrastowych do garnituru kolorach, często ozdabiane dyskretnym eleganckim haftem. Czasem wystawiony model jest powielony na olbrzymiej barwnej fotografii, gdzie prezentuje go piękna dziewczyna. I tu, oczywiście, panują mody. Oprócz standardowych wymagań, jakie stawia się modelkom, największe powodzenie i pieniądze zyskują te, które prezentują jeszcze osobowość lub bardzo zdecydowany typ urody. Paryscy krawcy chętnie prezentują swoje modele na Japonkach, Tajkach czy Mulatkach. Wielcy krawcy projektują nie tylko kolekcje mody na każdy sezon, ale można powiedzieć, że jest to zaprojektowanie całego człowieka i jego otoczenia. Wielcy dyktatorzy współpracują z wielkimi laboratoriami kosmetycznymi i dyktują, jak powinien pachnieć modny mężczyzna czy modna kobieta. Jaką biżuterię nosić rano i wieczorem, jak podstrzyć włosy i jaki nadać im kolor.

Największym przyjacielem człowieka jest pies i wszystkie większe magazyny ilustrowane poświęcają choć trochę miejsca tym czworonogom. Ostatnio panuje moda na owczarki podhalańskie, które osiągają cenę 7 tys. franków, podczas gdy węgierski kuwaz, bardzo modny kilka lat temu, kosztuje 4 tys. franków i szal sprzed kilku lat, chart borszi, ma już cenę od 3 do 4 tys. franków.

Wielkie magazyny meblowe kształtują gusta mieszkaniowe. Tu też są mody i szale. Obecnie po prostych funkcjonalnych meblach nastąpił powrót do mody z lat pięćdziesiątych, do mebli z giętych rurek wypłatanych plastikowymi taśmami, plastikowych blatów. Zostałam zaproszona do barokowego pałacyku, który był własnością pary malarzy. Zaaranżowali oni wnętrza zgodnie z duchem mody. Moje poczucie harmonii i estetyki zostało porażone wyglądem pokoi udekorowanych sztukami i sztukami, których wnętrza wypełniały metalowo-plastikowe meble. Para malarzy uważała, że trendy mody muszą łamać konwencje i przyzwyczajenia i takie właśnie jest ich zadanie. Nowa moda to nowy sposób patrzenia na świat i przełamanie dotychczasowych przyzwyczajeń estetycznych.

Bulwary Saint Germain i Saint Michele są również centrum mody, ale innej — młodzieżowej i studenckiej, promieniującej stąd na cały świat. Tu wielkie sklepy z odzieżą sąsiadują z wielkimi domami wydawniczymi i księgarniami. Tu narzuca się nowy styl wy-

dawania książek, stąd wyszły pierwsze kieszonkowe tanie wydania, które zrobiły światową karierę, nowy typ ilustracji, oprawy. Również tu lansowani są modni pisarze i aktualna filozofia. W tym miejscu w kawiarni Deux Magots często przesiadywał Jean Paul Sartre i jego muza Juliette Greco, która narzuciła styl luźnych czarnych swetrów i długich prostych włosów całemu pokoleniu. Tu rozpoczął się słynny młodzieżowy bunt 1968 r. Tu do dziś stacjonują duże oddziały policji, przeszkolone

zdzabia wianuszek złotych gwiazd symbolizujących zjednoczoną Europę.

W tym szaleństwie znalazł swoje miejsce i królik Rabbit. To najmłodniejszy obecnie bohater popularnych rysunkowych filmów, zdobywca 4 Oskarów. Kim jest Rabbit? Stworzył go rysownik i przy pomocy komputera połączył film rysunkowy z filmem aktorskim, co dało wiele znakomitych i niepowtarzalnych efektów. Filmy z Rabbitem cieszą się niesłabnącym powodze-

O paradoksie. Na targu w pięknej letniskowej miejscowości, nad Atlantykiem, Les Sables d'Olonne, można było kupić u przyjeźdźnych handlarzy tanie i bardzo efektowne stroje, po niebył wygórowanych cenach, można też było kupić fartuszki i szlafroczyki bawełniane, rozpinane i zupełnie nieefektywne swetry, których ceny były dużo wyższe niż tych najmłodniejszych ciuzzków. Wy tłumaczyła mi mieszkanka Sables, że żony rybaków i wiejskie kobiety lubią te niemodne, ale praktyczne w wiejskim życiu stroje, muszą one być wykonane z solidnych materiałów, więc i cena ich musi być wysoka.

Każdy pragnie sprzedać swój towar, dlatego ma na względzie określonego klienta, ale to jeszcze zbyt mało. Trzeba go do siebie przyciągnąć, czymś zwać. Wypchane lwy i żyrafy, bukiet egzotycznych kwiatów, migające światła, twarze i pośladki pięknych dziewczyn, to wszystko ma zatrzymać wzrok, przyciągnąć uwagę. Ale pierwsze miejsce w pomysłowości przynależałoby salonowi mody, który mieścił się w pasażu, w pobliżu zamku królewskiego. Było tam wiele salonów mody i wielkie ekrany telewizyjne pokazywały ich w twory, oczywiście na pięknych i wiotkich modelkach. Przechodnie przebiegali przez pasaż zupełnie nie zwracając uwagi na te wspaniałości. Uwagę wielu przykuwał natomiast ekran, na którym modelki pokazane były do góry nogami. Każdy stawał, starał się przekrzywić głowę i dostrzec coś, i o to właśnie chodziło.

Modę filmową narzucają Pola Elizejskie. Tu mieszczą się największe premierowe kina, w których od rana do późnej nocy można oglądać najgłośniejsze filmy. Na przełomie lata i jesieni wciąż królował „Deszczowy człowiek”, ogromne portrety Dustina Hoffmana zdołały ulicę. Nie mniejszym powodzeniem cieszył się amerykański melodramat „Miłość, kłamstwo i taśmy wideo”, kreujący nowych aktorów i nowy sposób patrzenia na miłość. Tłumy młodzieży przyciągał film francuski „Grand Bleu”, opowiadający historię dwóch przyjaciół bijących rekordy zanurzenia i pokazujący przyjaźń delfina z człowiekiem. Wszystkie te filmy mają wspólne cechy: niezwykle czysty i precyzyjny sposób filmowania, piękne krajobrazy, piękne wnętrza, nawet bałagan jest w nich sterylny, pociągającą muzykę. Wszystkie one są odwrótem od modnych dotychczas brutalnych filmów, pokazujących siłę bicepsów i męską walkę. W tych trzech filmach górą nad interesem i wyrachowaniem biorą czyste uczucia. Wygląda na to, że wchodzimy ponownie w nurt sentymentalizmu w kinie.

Przed Bożym Narodzeniem, a właściwie już od końca listopada, cały Paryż przybiera świąteczny charakter. Celują Pola Elizejskie. Wszystkie drzewa wzdłuż tej wspaniałej promenady zostają obwieszone lampkami. Gdy tylko zapada zmierzch, elektronicznie sterowane, zapalają się po kolei lampki na poszczególnych drzewach. Robi to wielkie wrażenie, przez promenadę płynie kolorowa fala światła. Wystawy migoczą srebrem, złotem i bielą sztucznego śniegu. Przybranie choinek też narzuca modę. Mosą one być całe przybrane na srebrno lub na złoto, albo nawiązującymi do folkloru wielobarwnymi, prymitywnymi figurkami i gwiazdkami. Świąta są najlepszą okazją do sprzedania mnóstwa najróżniejszych rzeczy, co handlowcy starają się bardzo skrupulatnie wykorzystać.

Potęga mody

(korespondencja własna z Paryża)

Elżbieta Pomorska



Królik Rabbit pobit wszelkie rekordy popularności. Występuje on w filmach rysunkowych z udziałem żywych aktorów. Króluje na dresach, pidżamach, koszulkach trykotowych.

do walk ulicznych, bowiem każda polityczna „awantura” rozpoczyna się w tym miejscu na skrzyżowaniu Bul-Misz, jak mówią paryżanie.

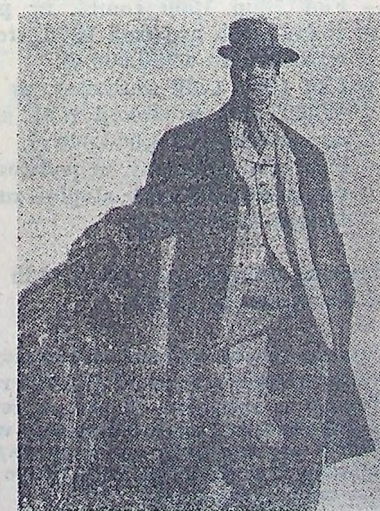
Wystawy przyciągają wzrok natłokiem rzeczy i ich barwnością. Panuje styl dresowo-sportowo-luźny. Choć i tu można spotkać eleganckie garnitury z kamizelkami i wieczorowe jedwabne suknie czy bluzki-suknie. Ale tu dominują jaskrawe fioleto, neonowe róż i zieleń. Dresy i trykotowe bluzki mają nadruki związane z dwuchsetleciem rewolucji. Oczywiście, najlepiej propaguje ją piękna dama w kapeluszu lub rozebrana dziewczyna. Wiele jest dresów i kurtek sportowych z napisem Sorbona, sam napis nie wychodzi z mody. Zmieniają się kolory i kroje bluz, ale nazwa uniwersytetu pozostaje. Tu, jeśli pragnie się coś znaleźć na wystawie, trzeba się jej wnikliwie przyrzeć, tak wiele zawiera ona zwykłe elementy, że mać się w głowie. Ale młodzież jakoś potrafi w tym kolorowym natłoku wypatrzyć rzecz właściwą.

W tej luźno-młodzieżowej, bo nie tylko młodzież chodzi w tych sportowych strojach, są i inne modne elementy dekoracyjne. Można powiedzieć, że w dekoracjach odbija się to, czym żyje Paryż, Francja i świat. Wiele odzieży, toreb podróżnych, plecaków o-

niem zarówno u dzieci, jak i dorosłych. Rabbitem najchętniej ozdabiane są pidżamy, nocne koszule, szlafroki. Zresztą i tu weszła nowa moda, panuje teraz szal na płócienne, z naturalnej bawełny, podwójnie wewnątrz ocieplane nocne stroje. Trzeba przyznać, że są one bardzo wdzięczne i zachęcające swą puşystością i miękkością, ale dosyć drogie, bo są nowością.

Oczywiście, ci najwięksi w modzie nie ograniczają się tylko do sprzedaży swojej konfekcji czy kosmetyków we własnych firmowych salonach. Dziesięć razy taniej można kupić perfumy Cardina czy Chanel w dużych domach towarowych, lub w sklepach przeznaczonych dla młodzieży. Wielcy gwiazdorzy kina także sprzedają swoje twarze, reklamując swoje własne lub znanych firm perfumy. Robi to Liz Taylor w salonach, a Yves Saint-Laurenta można spotkać portrety Catherine Deneuve, która ubiera się tylko u niego i poleca jego kosmetyki.

Trzeba jednak przyznać, że zawsze konfekcja firmowana wielkimi nazwiskami, nawet jeśli jest produkowana w długich seriach, wykonywana jest z bardzo dobrych jakościowo materiałów i elegancko wykończona. To, co bardzo tanie, może być bardzo efektowne, ale nie może być gatunkowo dobre.



Tak właśnie przedstawia się paryski złomowy pan.

Zdjęcia ARK

Konkrety 25

LEGNICKIE
PRZEDSIĘBIORSTWO REMONTOWO-BUDOWLANE
w Legnicy

ogłasza przetarg nieograniczony

na sprzedaż niżej wymienionego sprzętu budowlanego:

1. Białoruś spycharko-koparka, nr rejestracyjny LGH 011E, rok produkcji 1981, stopień zużycia 65 procent, cena wywoławcza 11.700.000 zł.
2. Wózek podnośnikowy „Rak”, nr fabryczny 3506606, rok produkcji 1984, stopień zużycia 30 procent, cena wywoławcza 17.500.000 zł.
3. Rusztowanie przestawne, typ PRM 602/35, rok produkcji 1987, stopień zużycia 30 procent, cena wywoławcza 17.000.000 zł.
4. Przenośnik taśmowy 10 p-500 GRS, typ T-233, rok produkcji 1989 (nowy), cena wywoławcza 3.000.000 zł.
5. Zgrzewarka punktowa ZPa-80, rok produkcji 1978, stopień zużycia 20 procent, cena wywoławcza 8.000.000 zł.
6. Silnik do samochodu osobowego Wołga, po naprawie głównej, nr silnika 541248, cena wywoławcza 1.500.000 zł.

Przetarg odbędzie się w 12 dniu od daty ukazania się ogłoszenia o godz. 9 w Bazie Sprzętu i Transportu w Legnicy przy ul. Leńskiego 26.

Wadium w wysokości 10 procent ceny wywoławczej należy wpłacić w kasie LPRB, ul. Wrocławska 41, najpóźniej w przeddzień przetargu.

Wadium wpłacone w wysokości 10 procent na określony sprzęt upoważnia do udziału w przetargu wyłącznie danego sprzętu. Dany sprzęt można oglądać w dni robocze od godz. 8 do 14 w Bazie Sprzętowo-Transportowej przy ul. Leńskiego 26, tel. 258-56.

Pozostałe warunki przetargu zgodnie z MP nr 28/82, poz. 250. Za wady ukryte w sprzęcie przedsiębiorstwo nie ponosi odpowiedzialności.

Zastrzega się prawo unieważnienia przetargu bez podania przyczyn.

2124-k

WOJEWÓDZKI URZĄD SPRAW WEWNĘTRZNYCH

w Legnicy

ogłasza I przetarg nieograniczony

na sprzedaż niżej wymienionych samochodów osobowych:

- Fiat 125p 1500, nr podwozia 21002477, nr silnika 953648, rok produkcji 1983, cena wywoławcza 3.500.000 zł, stopień zużycia 75 procent,
- Fiat 125p 1500 (po wypadku), nr podwozia 2055452, nr silnika 886023, rok produkcji 1982, stopień zużycia 85 procent, cena wywoławcza 2.100.000 zł,
- Fiat 125p 1500 combi, nr podwozia 1014845, nr silnika 352463, rok produkcji 1983, stopień zużycia 75 procent, cena wywoławcza 4.000.000 zł,
- Fiat 125p 1500 sanitarny, nr podwozia 1000054, nr silnika 472207, rok produkcji 1981, stopień zużycia 75 procent, cena wywoławcza 4.000.000 zł,
- Fiat 125p sanitarny, nr podwozia 1002474, nr silnika 986758, rok produkcji 1981, stopień zużycia 80 procent, cena wywoławcza 3.200.000 zł.

Przetarg odbędzie się 28.12.1989 r. o godz. 11 w Legnicy przy ul. Jaworzyńskiej 134.

Pojazdy można oglądać w Legnicy przy ul. Stromej 4 (baza transportowa) w dniu 27.12.1989 r. w godz. 10—12.

Wadium w wysokości 10 procent ceny wywoławczej należy wpłacić gotówką w dniu i miejscu przetargu w godz. 10—11.

WUSW nie odpowiada za wady fizyczne oferowanych do sprzedaży pojazdów oraz zastrzega sobie prawo zmiany wystawionych pojazdów oraz ceny wywoławczej.

W przypadku niedojścia do skutku I przetargu zostanie ogłoszony II przetarg w dniu 29.12.1989 r. z jednoczesnym obniżeniem ceny wywoławczej do 50 procent.

2152-k

PAŃSTWOWE GOSPODARSTWO ROLNE
Złotoryja, ul. Zagrodzińska 2
ZAKŁAD USŁUG TECHNICZNYCH

ogłasza przetarg nieograniczony

na sprzedaż niżej wymienionych pojazdów samochodowych:

1. UAZ 469-B, nr rejestracyjny LGA 382D, cena wywoławcza 3.000.000 zł.
2. Nysa 522, nr rejestracyjny LGT 514B, cena wywoławcza 3.526.400 zł.
3. Star A-29, nr rejestracyjny LGA 287A, cena wywoławcza 1.686.855 zł.

Przetarg odbędzie się 4 stycznia 1990 r. w warsztacie mechanicznym w Gieraltowcu o godz. 10.

W przypadku, gdy pierwszy przetarg nie dojdzie do skutku, o godz. 12 zostanie przeprowadzony drugi przetarg.

Wadium w wysokości 10 procent ceny wywoławczej należy wpłacić najpóźniej godzinę przed rozpoczęciem przetargu.

Zastrzegamy sobie prawo unieważnienia przetargu w części lub w całości bez podania przyczyny.

2123-k

LUBIŃSKIE PRZEDSIĘBIORSTWO
BUDOWNICTWA PRZEMYSŁOWEGO

w Lubinie,
ul. M. Skłodowskiej-Curie 91

S P R Z E D A:

- | | |
|--|---|
| 1. Koparkę K-408 nr inwentaryzacyjny 580-1351, rok produkcji 1973. | 7. Przenośnik taśmowy T 235, rok produkcji 1985. |
| 2. Podwozie samochodu ciężarowego Star 660 M1, nr rej. LGE 276C, rok produkcji 1979. | 8. Wózek widłowy EV 602.3, akumulatorowy, rok produkcji 1982. |
| 3. Kabinę do samochodu Jelcz 317, używana. | 9. Komorę do suszenia drewna, typ POKC-140, rok produkcji 1980. |
| 4. Agregat malarski AMh21 typ Wagner, rok produkcji 1980. | 10. Betonomieszarkę na podwoziu Jelcz 317, rok produkcji 1975. |
| 5. Nożyce mechaniczne N3-40, rok produkcji 1979. | 11. Samochód dostawczy Nysa 522, rok produkcji 1979 — po wypadku. |
| 6. Betoniarkę BWE 150, rok produkcji 1977. | |

Ceny na powyższy sprzęt do uzgodnienia.
Informacji udziela Dział Głównego Mechanika, tel. 44-20-97, wewn. 37.

2155-k

SPÓŁDZIELNIA KÓLEK ROLNICZYCH LUBIN

zs. w OSIEKU

59-300 LUBIN

W Y D Z I E R Ż A W I

NA DOGODNYCH WARUNKACH:

1. Pomieszczenia socjalno-biurowe i gospodarcze w SKR Osiek 12
2. Pomieszczenia gospodarcze w Zakładzie Usług Mechanizacyjnych w Miłoradzicach.
3. Pomieszczenia biurowo-socjalne i gospodarcze w Zakładzie Usług Mechanizacyjnych w Skłodowicach.

Szczegółowe informacje uzyskasz pod numerem telefonu 44-15-96 lub 44-15-97.

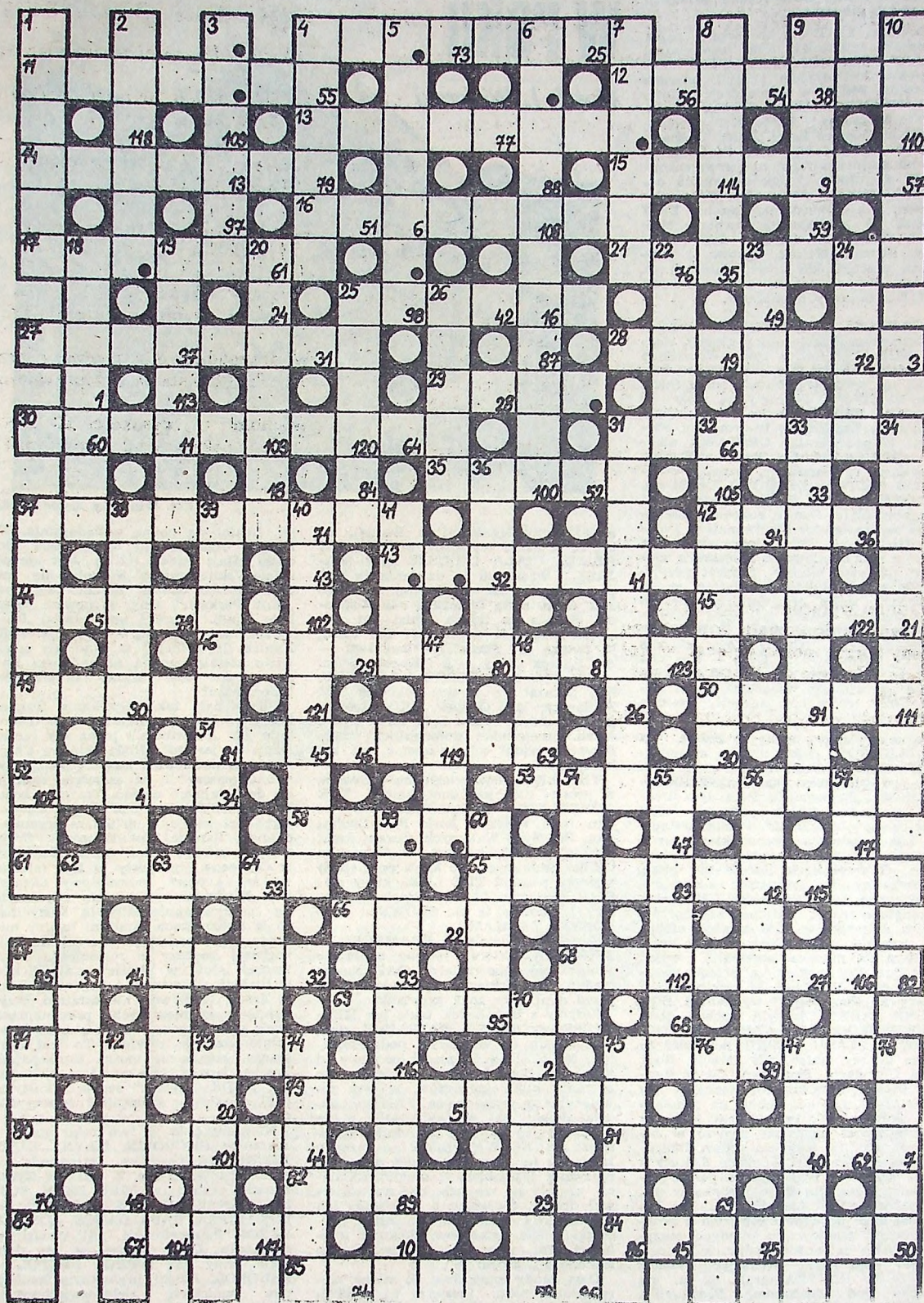
2151-k

Krzyżówka gigant - z encyklopedia

Jak co roku, wspólnie z Wojewódzką i Miejską Biblioteką Publiczną, proponujemy naszym Czytelnikom krzyżówkę-giganta z hasłem. Tym razem zaszyfrowaliśmy fragment wiersza Juliana Tuwima. Jego tytuł otrzymacie z pół oznaczonych, czytanych kolejno rzędami poziomymi. Natomiast fragment wiersza utworzą litery z krótkich ponumerowanych od 1 do 123 w prawym dolnym rogu. Jako rozwiązanie należy (na kartce pocztowej) podać tytuł i fragment wiersza. Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy (jak co roku) atrakcyjne tytuły książkowe: ENCYKLOPEDIA, SŁOWNIKI, PORADNIKI, ALBUMY itp. Nasz adres: Redakcja „Konkretów”, pl. Chopina 2, 59-220 Legnica, skrytka pocztowa 145. Prosimy o dopisek: KRZYŻÓWKA-GIGANT. Termin nadsyłania rozwiązań upływa 15 stycznia 1990 roku.

POZIOMO: 4) mniej niż królestwo, 11) trochę wyżyny, ale wyżej niż otoczenie, 12) rybacki statek dalekomorski, 13) na zachód od Zamościa, 14) początek, ale poetycki, 15) trenował kadrę piłkarską Polski, 16) rękojeść bata, 17) zaopatrzenie, 21) z rodziny drożdży, 25) bohaterstwo, waleczność, 27) zagroda, 28) musi świadczyć na rzecz wierzyciela, 29) w paszczy drapieżnika, 30) też lata, 31) otwór wiertniczy, 35) rośnię w doniczce, ma mięsiste liście, 37) część zdania, 42) coś słodkiego, 43) coś alkoholowego, ale chłodzącego, 44) ptak przelotny, lecz pospolity, 45) idzie za plugiem, 46) chrząszcz słodkowodny - drapieżnik, 49) metal szlachetny, 50) pierwiastek promieniotwórczy, 51) ogon gluszcza, 52) egzotyczna jaszczurka, 53) straż na przedzie, 58) łódka dla turysty, 61) krój pisma, 65) zwłoka, 66) przewoźne dla Charona, 67) miejsce nie zadrukowane, 68) węglan sodu używany do prania, 69) ukochana Kmicica, 71) gbur, nieokrzesanie, 75) ogień artyleryjski, 79) rotunda, 80) kolos, 81) najwyższy szczyt Górców, 82) płaskie naczynie kuchenne, 83) pobrane części tkanki z żywego organizmu, 84) drobny skorupiak morski, 85) coś z traw.

PIONOWO: 1) kokon, 2) zachcianka, 3) faza Księżyca, 4) egzotyczna przyprawa, 5) pisklę domowe, 6) grzęzawisko, 7) z tyłu ciała stawonogów, 8) konserwa z drobnych ryb słodkowodnych, 9) prostota, 10) prawie kalafior, 18) jednostka oporu elektrycznego, 19) powstają przy pływaniu drewna, 20) wydzielona żółć, 22) część długopisu, 23) kleszczyki, 24) mieszkaniec stadniny, 25) kładka, 26) ceremonia wyświęcenia biskupa, 31) jeżyca fałdowana, 32) horyzont, 33) w sali gimnastycznej, 34) mie-



szka w Istambule, 36) błękit, 37) na podwyższeniu płaszcza, 38) ptak afrykański zjadający się owadami, 39) z rzędu mew-siewek, 40) efekt tłoczenia, 41) zestawienie dwóch numerów w loteriach, 47) zmyślenie, 48) przylega do stępek,

54) przepowiednia, 55) absurd, 56) tam pracuje artysta plastyk, 57) częśćka kielicha kwiatowego, 59) wyrób przedmiotów ze szlachetnych metali, 60) gatunek rekina, 62) osadza się na ściankach czajnika, 63) Irlandczyk, zdobywca lite-

rackiej Nagrody Nobla, 64) wpływa do Morza Kaspijskiego, 70) kształtka rurowa, 71) petycja, podanie, 72) z tłuszczy kaszalota, 73) chrząst, szczęk, 74) busola, 75) strofa ośmiowerszowa, 76) w październiku jej święto, 77) nasienie zbóż, 78) włóczykij, lażik.

Z kroniki milicyjnej

● W nocy z 8 na 9 bm. w Polkowicach, przy ul. PKWN, nieznaną sprawcę włamali się do sklepu rlv, skąd skradli magnetowid, miniwęze, gramofon kompakt, radio, i inne przedmioty łącznej wartości 6 mln 919 tys. zł.

● 9 bm., na stacji PKP Miłkowice, na torach, znaleziono zwłoki Józefa G. (dat 44). Przyczyną śmierci była nieostrożność przy

przechodzeniu przez wagony pociągu towarowego.

● 9 bm., około godz. 22 na autostradzie w pobliżu Warty Bolesławieckiej, Stanisław B. (dat 37) kierując samochodem Fiat 125p stracił panowanie nad samochodem i na skutek poślizgu wpadł do rowu. W wyniku wypadku obrażeń ciała doznał kierowca, jego syn Paweł (dat 5) i żona.

● 10 bm. w Bukowicy (gm. Zakuszyce) funkcjonariusze MO ujęli Antoniego S. (dat 26), który włamał się do mieszkania Tadeusza O. skąd zabrał pieniądze w kwocie 1 mln 637 tys. zł. Odzyskano 1 mln 490 tys. zł.

● 10 bm., w Legnicy, o godz. 0.20, funkcjonar-

nariusze MO w czasie włamania do baru „Sezam” ujęli Józefa M. (dat 27) i Bronisława Z. (dat 35), którzy przygotowali do wyniesienia alkohol i papierosy łącznej wartości 238 tys. zł.

● 11 bm., w Złotoryi, na terenie Złotoryjskich Zakładów Obuwia Mieczysław O. kierując samochodem „Żuk” potrącił Teresę S., która doznała obrażeń ciała.

● 11 bm., w Głogowie, o godz. 12, nieznaną sprawcę włamali się do mieszkania Olgi K. skąd zabrał pieniądze, biżuterię, kożuch wartości 2 mln 235 tys. zł oraz do mieszkania Joanny B. skąd zabrał pieniądze, dolary USA i alkohol o wartości 5 mln.

● 12 bm., w Gwizdanowie (gm. Rudna), w czasie prac wiertniczych Paweł R. (dat 49) podłożył ogień pod beczkowóz z olejem. Spowodowało to wybuch i oderwanie pokrywy, która uderzyła go w głowę.

● W nocy z 12 na 13 bm., w Legnicy, przy ul. Młynarskiej, nieznaną sprawcę w samochodzie Malgorzaty G. przeład trzy opony, wybił szybę i, pociał wszystkie siedzenia. Straty wyniosły około 1 mln zł.

● 13 bm., w Lublinie, funkcjonariusze MO zatrzymali Ewę S. (dat 18) i Larysę L. (dat 17), które 7 bm. z mieszkania przy ul. Jastrzębiej w Lublinie ukradły wideo i kasety wartości 5 mln zł.

(SA)

Koniec roku to podsumowania i pięćdziesiątka rockowa w naszym regionie nie odniosła oszałamiających sukcesów, ale był to bardzo ważny rok, a zmiany w wielu zespołach są bardzo obiecujące. Czy moje przewidywania sprawdzą się, zobaczymy za kilka miesięcy. A dzisiaj małe résumé ostatnich dwunastu miesięcy.

Legnicki EXIT nie koncertuje często. Zespół zadebiutował na tegorocznym OMPP i niespodziewanie odniósł zwycięstwo. Jest dyplom i płyta nagrana w studiu PRiTV w Katowicach. Później było kilka mniejszych imprez (Maraton Muzyczny Polkowice, Głogów, Blues na Koniec Lata). Jesień to znowu mocne akcenty. Wyprawa do Orenburga na granicy z Azją, to pierwsze koncerty zagraniczne. Jak się można domyślić, zespół został przyjęty owa- cynie. Na zakończenie sezonu EXIT zagrał w poznańskim Turnieju Młodych Talentów. Obecnie Dzafo, Suchy, Pietras, Maciek, Sławek i Miedziak pracują nad nowym programem. Znosi się na to, że nowa muzyka EXIT-u zaskoczy publiczność.

OBSTAWA PREZYDENTA, formacja bolesławiecka (z legnicką gitarą), miała bardzo pracowity rok. Wszystkich koncertów, oczywiście, nie będę wymieniał, np. kilka w „Rurze”. Najważniejsze to: Jarocin, koncerty na molo w Sopocie, UM Polkowice (I miejsce), Bluesowe Zaduszki w Białymstoku, FAMA. W październiku OBSTAWA wzięła udział w Zadymie Daszki w Tył na Torwarze w Warszawie, razem z VOO-VOO, TILT-em, DE MONO, DZEM-em, MOSKWA, ZIYO. Podobno będzie z tej imprezy płyta. Dużym sukcesem zakończył się występ na Beatlemanii w Dnieprodzierzysku. W międzynarodowym gronie rock'n'rollowców z Bolesławca zdobyli pierwsze miejsce. Niezbyt przyjemnie zespół wspomina występ w Akwarium, gdzie organizatorzy, nie po raz pierwszy zresztą, dali popis niekompetencji. Obecny skład OBSTAWY PREZYDENTA: Chudy, (dr., obecnie LWP), Herman — g., Gino — bas, Osty — voc., Orzeł — harm. Od czasu do czasu na bębnach wspomaga zespół Urban (nie ten z tzw. agencji robotniczej).

Kolejny zespół, znany w Polsce, to WIELKANOC. Kilka imprez o mniejszej randze, Jarocin, II miejsce na Rocku pod Chelmem (za CLOSTERKELEREM), „Prowincja”. Poza tym trzeba odnotować debiut płytowy, czyli składankę „Jarocin 88”. Potem nastąpiła kilkumiesięczna przerwa, która zaowocowała szokującymi zmianami w składzie. O szczegółach jeszcze nie piszę. Poczekajmy do pierwszych koncertów. Wreszcie ZIELONE ZABKI. Niszczone namiętnie przez alternatywno-harcerskich dziennikarzy z Warszawy, zdobyły uznanie publiczności. Wciąż zmieniającą się muzyką jaworskiej kapeli jest już dopracowana, a przede wszystkim ostra. Pomyśleć, że niektórzy piszący z „Non Stopu” wymieniali ZIELONE ZABKI jednym tchem obok SZTYWNEGO PALA AZJI czy CHŁOPCÓW Z PLACU BRONII! Rok 1989 to dużo imprez takich, jak Jarocin, Rock Pod Chelmem, Skakanka, Co w Punku Piszcz, „Prowincja”, Rockatak w Warszawie, również debiut na składance „Jarocin 88”. Paradoksem jest, że niezły zespół nie może znaleźć w Jaworze czterech ścian na próby. Okazuje się, że Jaworski Ośrodek Kultury i inne kluby w tym mieście pomoc zespołom rockowym mają głęboko w d... Uwierzę, że jest inaczej, jeżeli nie będą do mnie docierać informacje o skandalicznym traktowaniu młodych muzyków przez jaworskie instytucje.

Nie mają gdzie próbować również SZCZURY PARYZA (grały m.in. na Rocku Pod Chelmem, „Prowincja”). Niektóre formacje z Jawora znalazły kąt w Ośrodku Kultury w Paszowicach. Szkoda, że jest to wyjątek.

Kolejny zespół, który zaczął grać w tym roku, to NOCNE BOOGIE. W ciągu kilku miesięcy NOCNE BOOGIE zdążyło wygrać na „Truskawce” w Świdnicy, zagrać na Bluesmanii (z SOJKA, DZEMEM, SKRZEKIEM), na Miętyngu w Polkowicach i kilku innych koncertach. NOCNE BOOGIE gra dobrą rock'n'rollową muzykę z elementami jazzu. Skład kapeli: Czarny — bas, Remek — dr., Eryk — g. i voc.

W dalszym ciągu wylizczanki zajmują się zespołami mniej znanymi. MARIA NE FELI z Legnicy dość aktywnie spędziła ostatnie miesiące. Koncerty niemal w całej Polsce (Zuraw Rock, Stalowa Wola, Wolczyn), a boku takich gwiazd, jak BLITZKRIEG, HCP czy TRYBUNA BRUDU. Mniejsze sukcesy, to zwycięstwa w glogowskim Mecz Muzycznym i na Przeglądzie Kapel Odłotowych w Złotoryi. Zespół dość aktywnie działa na polu integracji młodych zespołów, tworząc coś w rodzaju

Rock w roku

Marek J. Winiarski



Fot. Wincenty Kolodziejski

małej sceny legnickiej w Rudnej. Obecnie w skład tej sceny wchodzi DIE KREUZ, CIAŁA I DUSZE oraz IZAJASZ. Wszystkie te działania są pod patronatem GOK w Rudnej, którego szef wyrasta na mecenasa a'la Rudziecki. Szkoda, że takich ludzi jest niewiele. Wracając do MARII NE FELI, to tworzą ją: Staszek — bas, Irek — dr., Piotrek Cichy — g. i Kogut — voc. Złotoryja, czyli FARBY I LAKIERY. FIL pokazał się w tym roku na MM Polkowice, MM Głogów, PKO Złotoryja. Za każdym razem było coraz lepiej. Jeżeli umiejętności złotych nowych falców nadal będą wzrastać, to... zobaczymy!

THE LESS, nowa legnicka formacja, w prostej linii jest kontynuacją THE GONZALESS. THE GONZALESS w tym roku zaliczył: Rock Pod Chelmem, Bez Syfu Walbrzych, Żuraw Rock, półfinał OMPP, koncert w Akwarium i kilka mniejszych. Po kilku miesiącach przerwy powstał THE LESS, który wystąpił niedawno na koncertach w Legnicy i Lubinie (z B. CROWN i ZIELONYMI ZABKAMI).

Zawiesiły działalność BRAMBORY A ZELENIKA, które jeszcze niedawno „dobrze się zapowiadały”. BAZ bardzo rzadko koncertował („Prowincja”) i przed nimi duży znak zapytania.

Zespoły z Bolesławca, takie jak MERCEDES czy BRUNO WATPLIWI, również znajdują się w naszym podsumowaniu. MERCEDES to zespół pechowy i nadal przeżywa kłopoty personalne. Po zagraniu kilku koncertów, w tym rewelacyjnego występu na FAMI-ie, kapela znowu jest w zawieszaniu i nie wiadomo, co z tego wyniknie. Natomiast BRUNO WATPLIWI po licznych zmianach (np. gra tam jeden z byłych muzyków legnickich) i długiej stagnacji, wydaje się wreszcie być na właściwej drodze. Świadczy o tym m.in. ich numer „Nie mów nic” na czele harcerskiej listy przebojów. Również trzeba w tym przypadku wspomnieć o składance „Jarocin 88”.

Dwa bandy kandydowały do miana niespodzianki roku. Pierwszy to SERTYZUR z Legnicy. Ciężka, psychodeliczna muzyka z dawką amerykańskiego hard-core'a. Szkoda, że SERTYZUR tak rzadko koncertuje. Nic dziwnego, skoro próby odbywają się w zimnym garażu. Nieco więcej szczęścia ma lubiński SHIT, próbujący w Chrostniku. Znowu nieco „dół”, trochę innych niż u S-ZUR. Jeżeli nie stanie na przeszkodzie, to SERTYZUR i SHIT już niedługo powinny być znane poza granicami województwa. Można jeszcze wspomnieć o grupie NOBEL'S DYNAMIT, zupełnie zresztą okazjonalnej. Poza tym gra mnóstwo innych kapel, o których z różnych względów nie napiszę (np. ROBIN HOOD, AUTOTRAMP, SELEKCJA, SEN ZYTY). Być może, za kilka miesięcy, kiedy co niektóre formacje zaskoczą mnie czymkolwiek? Na razie dajmy im czas.

Jeśli chodzi o imprezy rockowe w województwie legnickim, to wbrew pozorom, było ich dużo. Może bez wielkich gwiazd, ale za to sympatycznie. Lubin, to oczywiście „Żuraw-Rock”, cykl koncertów przy wiernej publiczności.

ści. Inicjatywa godna naśladowania. W Legnicy organizowane są od czasu do czasu „Hajt Parki” (LCK). Jest kameralnie i interesująco. Niestety, nie za często mamy okazję spotkać się na „Hajt Parkach”. Oby w nowym roku było lepiej. Imprezy pod nazwą „Prowincja” odbywały się w WDK i w GOK Kunice. „Prowincja” w Kunicach przez wielu została uznana za najlepszą imprezę roku 1989. Myślę, że słusznie. Nieprawdaż?

Udane były także Spotkania Drugiej Sceny w Jaworze, organizowane (podobnie jak „Prowincja”) przez siły niezależne. Co jeszcze? Młoda ekipa w Chojnowie zorganizowała koncert pn. „Co w punku piszczy” i, na szczęście, szykuje się do kolejnych wydań. Trzymam kciuki. Złotoryjski Przegląd Kapel Odłotowych był kolejnym debiutem organizacyjnym. Bardziej doświadczona firma zrobiła, jak co roku, Mecz Muzyczny w Głogowie i pierwszy w tym mieście większy koncert nowofalowy (Azury plus Miedziak). Sukcesem zakończyło się reaktywowanie Miętyngu Muzycznego w Polkowicach. Ambitni twórcy miętyngu mają nadzieję na zrobienie największej imprezy w regionie i... mają szansę! „Coś” w planach mają GOK-i w Rudnej, Chrostniku i Kunicach. Swój drogą, to dziwne, ale ostatnio, przynajmniej w niektórych prowincjonalnych placówkach, rodzi się prawdziwe zainteresowanie rockiem. To jest duża szansa, której nie można zaprzepaścić. Trzeba jeszcze wspomnieć o planowanej w DK „Hutnik” scenie „akustycznej”. Niestety, szczegółów jeszcze nie znam.

Niewiele było w tym roku gości z zagranicy (B. CROWN, MLYN, KURT KECK). Rok następny zapowiada się bardziej interesująco. Z polskich wykonawców grali m.in.: TILT, DZEM, SOJKA, BANASZAK, BUSH DOCTOR, APOKALIPSA, PAPA DANCE, LOS LOVEROS. Poprawiło się, jeśli chodzi o sponsorów. Dużo pomogły w tym roku takie firmy, jak INPRO, LEGPOL i RENOPOL. Dzięki przydatnym kontaktom legnickich zielonoświątkowców mieliśmy okazję posłuchać rock-gospel na wysokim poziomie. Ukraińskie towarzystwo kulturalne również sprowadzało swoje rodzime zespoły rockowe, ale mogły to zrobić częściej. Pierwszy krok został zrobiony!

Pod koniec roku został otwarty sklep muzyczny z prawdziwego zdarzenia (AVA), w którym można zrobić niezłe zakupy. Byłbym zapomniał! Również w Legnicy przez cały rok odbywała się cykliczna, cotygodniowa impreza. Oczywiście. Stray Cats Klub w WDK. Zobaczyliśmy w nim kilkanaście świetnych filmów muzycznych od hard-core'a, przez new wave, do hard i klasycznego rocka.

Nie będę dzisiaj z okazji świąt pisał o tym, co złego działo się na naszej „działce” muzycznej, ale spoko-społo. Już niedługo pseudodziałaczom kultury w naszym województwie „dam popalić”. A dziś tylko życzę Wam świętych koncertów ulubionych zespołów, pełnych śmiechu i ani jednej deficytowej imprezy. Wesołych Świąt „end hepy nju jer”!!!

Ogłoszenia drobne

LOKALE

SPRZEDAM M-3 własnościowe Lubin, Częstochowa: 245-17. 7910-g

NIERUCHOMOŚCI

KUPIĘ domek woinostający w Legnicy lub okolicy. Legnica, tel. 269-06 wieczorem. 78955-g

MOTORYZACYJNE

SPRZEDAM ciągnik 360-3p 70 m p g. Bolesławiec, ul. Staszica 119. 78949-g

SPRZEDAM „Fiat” 125p po kapitalnym remoncie — 1973. Legnica, H. Sawickiej 17/7 po 18. 78929-g

SPRZEDAM wartburga „COMBI 15”. Legnica 293-89. 78948-g

SPRZEDAŻ

SPRZEDAM wyposażenie gabinetu kosmetycznego. Lubin, 44-59-73. 78950-g

NOWY telewizor kolorowy. (roczna gwarancja). Lubin 44-70-39. 78926-g

MARMUR 100 m kw. (lamany) patelnia gastronomiczna, zestaw grzewczy z frytkownicą (urządzenia nowe). Legnica 615-37. 78945-g

CZĘSTA sprzedaż zamrażarek lodówek, pralek automatycznych, maszyn do szycia, kuchni gazowych i elektrycznych, sklep „MAX” Lubin, ul. 1 Maja 8 B/I. 78947-g

SKLEP meblowy w Legnicy, ul. Działkowa 4 oferuje do sprzedaży: mebleściarki, komplety wypoczynkowe, ławostoly produkcji swarzędzkiej. 78917-g

SPRZEDAM segment stłowy mahoń, telewizor Elektron 382D, Wrocław 61-09-26. 87243-g

USŁUGI

TRANSPORT krajowy i zagraniczny, zestaw 21 ton, wiza, pozwolenie, tir. Legnica, 264-67. 78951-g

KRÓTKIE terminy. Przyjmuję do obróbki podłogówkę. Polkowice Dolne 77. 78943-g

CZYSZCZENIE dywanów i tapicerki. Legnica, ul. Chojnowska 140, tel. 222-61. 78934-g

VIDEOFILMOWANIE — odtwarzanie system USA i Canada. Legnica, tel. 63-564. 78932-g

KONSERWACJE pojazdów. Legnica, Kaczawska 2. 78923-g

UKŁADANIE i cyklinowanie podłogi, parkietu i mozaiki. Legnica 282-28. 78925-g

WYPOŻYCZALNIA odtwarzaczy i kaset codziennie 16—18 oprócz niedziel. Legnica 622-57. 78731-g

VIDEOFILMOWANIE. Polkowice, 45-10-91. 78718-g

VIDEOFILMOWANIE. Polkowice, telefon grzecznościowy, 45-58-17. Gwarant. Renata. 78907-g

WYPOŻYCZALNIA sprzętu video i telewizorów z dostawą do domu. Tel. 222-95, 16—20. 78869-g

ZALUŻE okienne. Legnica, tel. 262-71 po 14. 78921-g

PRZESTRAJANIE telewizorów wszystkich typów u klienta, 206-39. 41933-g

VIDEOFILMOWANIE, Lubin, tel. 44-60-68. 78716-g

VIDEOFILMOWANIE, Lubin, 44-59-68. 78927-g

PRZESTRAJANIE telewizorów Pal-Secam, video-fonia. Lubin ul. Żurawia 11. 1704-p

ROZNE

ZESPÓŁ muzyczny poleca swoje usługi na wszystkie okazje. Najnowsze przeboje, stare melodie. Legnica, 61-016, 10—12. 78941-g

SERDECZNE podziękowanie masażystce Pani Sabinie Złotnik za wymasowanie zbolalej głowy składa Regina. 78942-g

WIZY, wycieczki, rezerwacje, szybko, solidnie. Biuro „ORSUS”, 59-300 Lubin, ul. Skłodowskiej 15A (naprzeciw dworca PKS). 1644-p

PRACA

PRZYJMĘ od zaraz na bardzo dobrych warunkach kucharzy, mieszkanie zapewnione. 67-407 Słzichyngowa ul. XXX-Leclia 13, rest. „Relaks” kat. I tel. 75. 1723-p

LEKARSKIE

MASAŻ leczniczy, bóle głowy, kręgosłupa i kończyn, dyskopatie. Lubin ul. Grabowa 6/8. 1748-p

MATRYMONIALNE

PRAGNIESZ szczęśliwego rodziny napisz „Podłaskie”. 31-305 Suchowola 1. 1487-p

BIURO ROMEO Wrocław 3 skrytka 1008. 81730-g

ZGUBY

ZGUBIONO szatkę z ważnymi dokumentami na nazwisko Czesław Pobiedziński. Uczciwego znalazcę proszę o zwrot pod adresem domowym za wynagrodzeniem. 78960-g

UNIEWAŻNIA SIĘ (z dnem 20 grudnia 1989) pieczęć o treści: „G.S. Samopomoc Chłopska” w Legnicy. Sklep wielobranżowy nr 53 „Wszystko dla domu”. 59-220 Legnica, ul. Szkolna 9. Agent: Czesław Pobiedziński. Agent: Elżbieta Pobiedzińska, Legnica, ul. Warmińska 7/7, tel. 64-116. 78959-g

Koło fortuny

Bez względu na to czy wierzymy, czy nie wierzymy w horoskopy musimy wierzyć w to, że rodząc się przynosimy ze sobą na ziemię pewne skłonności do długości życia, chorób, pewne cechy charakterologiczne, które dziedziczymy po swoich rodzicach i dziadkach. Już starożytni wierzyli, że również czas urodzin ma wpływ na nasz charakter, wpływają na niego planety, w których znaku jest Słońce w dniu naszego urodzenia.



(21.03—20.04)

Znak ten podlega planecie Mars. Ludzie urodzeni w tym znaku szczególnie w jego pierwszej dekadzie ujawniają silne cechy charakteru, są bardzo aktywni, odważni, dynamiczni, przejawiają wielką wolę i ambicję, mają też zdolność przekonywania. Mają więc wszelkie cechy po temu by prowadzić samodzielną działalność w gospodarce, rolnictwie czy organizacji. Mogą im w tym przeszkadzać cechy, które nad nimi ciąży pod wpływem ich planety. W stosunkach z ludźmi powinni opanować kłótniowość, gwałtowność. Ich agresywność i impulsywność może być wielką przeszkodą w prowadzeniu interesów. Może im także przeszkadzać nieostrożność i chęć do ryzyka. Ale ludzie spod tego znaku w interesach zachodzą daleko, pod warunkiem, że dążą do samopoznania i eliminują swoje złe skłonności. Barany mają też silne cechy przywódcze.

Kolorem, który służy każdemu Baranowi jest czerwien. Kamieniem przynoszącym szczęście są: rubin, ametysty i granaty.



(21.04—21.05)

Byk jest podległy planecie Wenus. Urodzeni w tym znaku potrafili zachować harmonię między tym co duchowe i tym co materialne. Mają silną chęć do zdobywania, posiadania a jednocześnie uduchowienia artystyczne, filozoficzne. Byki dążą do równowagi między pierwiastkami materialnymi a duchowymi i artystycznymi. W codziennym życiu bardzo pomagają im wielki urok osobisty, który mają od natury, potrafią być łagodne i zgodliwe. Te cechy ułatwiają bardzo kontakty z ludźmi i pozwalają uzyskać ich zaufanie co jest pierwszym krokiem do powodzenia w interesach. Ale wpływ Wenus może też ujawnić złe cechy ta-

kie jak nieuczuciwny upór, zaborczość w przyjaźni i miłości, wielki materializm, który może być przeszkodą w handlu, skąpstwo, które psuje stosunki z ludźmi, a także plotkarstwo graniczące ze złośliwością. Kolorem Byka jest błękit, a także wszystkie boże i papieże. Kamieniem przynoszącym szczęście turkus i szafir.

Pod tym znakiem przyszli na świat: Karol Marks — filozof, autor „Kapitału”, Bertrand Russell — filozof, laureat Nobla.

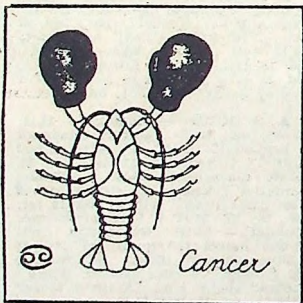


(22.05—20.06)

Bliźnięta podlegają planecie Merkury. Pod znakiem Bliźniąt rodzą się ludzie, którzy mają niezwykłą wprost łatwość kontaktowania się z ludźmi. Uwielbiają wszelkie nowości, nie znośną rzeczy zastalych. Praktyczne zastosowanie wiedzy przyzwyczajone do własnej inteligencji jest mocną stroną Bliźniąt. Pociągają je najnowsza moda, aktualne diety i towarzyskie plotki. Wprost wymarzoną pracą dla Bliźniąt jest reklama. Tu potrafią wyżywać się i osiągać w tej dziedzinie wielką perfekcję. Chętnie wykonują pracę, która wymaga intensywnego wysiłku, ale krótkotrwałego, nie czują się dobrze w pracach jednostajnych, nużących. W życiu przeszkadzają im takie cechy jak powierzchowność, niedokładność, brak koncentracji przez dłuższy czas, zmienność i plotkarstwo. Ale wszystkie te złe cechy mogą Bliźnięta obrócić w swoje zalety jeśli potrafią dobrze poznać swój charakter i nad nim zapanować.

Dla Bliźniąt szczęśliwym kolorem jest bordo. Najszczęśliwszym kamieniem opali i szafir.

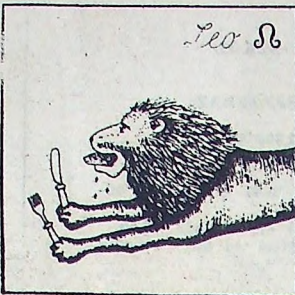
Pod tym znakiem urodziła się Marilyn Monroe — aktorka, uosobienie seksu i Jean Paul Sartre — pisarz i filozof.



(21.06—22.07)

Znak Raka pozostaje w oddziaływaniu Księżyca. Właśnie Księżyc wpływa na ukształtowanie charakteru. Ludzie spod tego znaku boją się ryzyka, robią ostrożne plany, aby mogły się one spełnić. Wykazują wielką cierpliwość i upór w dążeniu do wytkniętego celu. Jeśli widzą, że prosta droga nie prowadzi do sukcesu potrafią szukać obejść i dojść pośrednich. Mają wielką zdolność adaptacji. Raki liczą się bardzo z opinią, nigdy nie podejmują działań kontrowersyjnych lub budzących sprzeciw. Dlatego w interesach powinni prowadzić rzeczy sprawdzone, nie rzucać się na nowości i niepewne businessy. Do Raka lepiej przystaje zawód kominiarza lub prowadzącego biuro podróży czy obsługę turystów. Silną stroną Raków jest ich intuicja, jeśli zdamy się na nią może być bardzo pomocna w stosunkach z ludźmi i w interesach. Kolorem Raka jest żółty. Kamieniem-amuletem — kamień księżycowy i perły.

Jan Matejko — malarz, R. D. Amundsen — podróżnik i odkrywca, oraz Paweł Strzelecki — podróżnik, badacz Australii urodził się pod tym znakiem.



(23.07—23.08)

Znakiem Lwa rządzi Słońce. Jako podstawowe źródło ziemskiej energii wpływa też w bardzo silnym stopniu na charakter ludzi urodzonych w tym znaku. Pobudza ambicję oraz potrzebę władzy. Dlatego Lwy najlepiej czują się na stanowiskach kierowniczych, wówczas kiedy za kogoś odpowiadają i kimś rządzą, nawet gdyby to miała być tylko jedna osoba. Zawsze wierzą w słuszność swoich działań i nigdy nie dają się sprowadzić z drogi, na którą raz weszli. Potrafią okazać wielkoduszość, ale potrafią też być niemiłe protekcyjne.

Kamieniem szczęśliwym dla Lwa jest diament i rubin. Kolorem, w którym Lwy czują się najlepiej jest brązowy i płaskowy.

Pod znakiem Lwa urodził się Napoleon Bonaparte i Henry Ford — przemysłowiec.

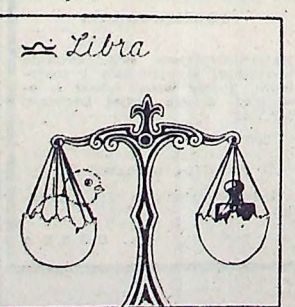


(24.08—23.09)

Panna podlega planecie Merkury. Wpływ Merkurego pozwala Pannie przystosować się do każdego środowiska, w którym przyjdzie jej żyć. Również Merkury oddziałuje na umiejętność szybkiego zbierania informacji i umiejętność ich wykorzystywania. Praktyczne zastosowanie zdobytych zasobów wiedzy i własnej inteligencji to najsilniejsze atuty Panny, które pozwalają jej świetnie poruszać się w świecie handlowców i przedsiębiorców. Przeszkodą w urzeczywistnianiu ambitnych planów Panny mogą być jej wygórowane ambicje, które potrafią zaćmić zdrowy rozsądek. Zbyt nie przywiązują wagę do drobniactw, pedanteria.

Kolorami najbardziej pasującymi Pannom jest fiolet i żółty. Na amulety powinny wybierać nefryt i szmaragd.

Pod znakiem Panny urodził się Feliks Dzierżyński — rewolucjonista, Lajos Kossuth — węgierski bohater narodowy i Juliusz Słowacki — poeta.



(24.09—23.10)

Podlega planecie Wenus. Waga jest uosobieniem równowagi i spokoju. Bardzo ważną cechą ludzi urodzonych w tym znaku jest umiejętność osiągnięcia kompromisu i wynika ona z wielkiej życiowej mądrości i umiejętności godzenia ognia z wodą. Poczucie wewnętrznej harmonii i zrównoważenia przekazuje Wadze wielu przyjaciół.

Te cechy pozwalają zaciągać kredyty, brać pożyczki i robić interesy. Jednak największą przeszkodą do osiągnięcia w interesach wielkich sukcesów stanowi niechęć do ryzyka. Kolorem odpowiednim dla Wagi jest różowy i czarny. Kamienie przynoszące powodzenie to opali i lazuryt.

Pod znakiem Wagi urodzili się Mahatma Gandhi — indyjski przywódca, Horatio Nelson — admirał i Bratnie Bractwo — aktor.



(24.10—22.11)

Skorpion pozostaje pod wpływem planety Pluton. Wpływ tej planety objawia się w umiejętności przeprowadzania bardzo głębokich i radykalnych życiowych zmian. Umiejętność w wydobywaniu sił, które tkwią w głębokich pokładach ludzkich możliwości jest cechą tylko tego znaku. Wielka siła przebiecia, umiejętność łagodzenia napięć pozwala ludziom spod tego znaku osiągać życiowe cele w sposób szybki i efektywny. Natomiast niezbyt korzystne będą dla nich działania, które wymagają wielkiej cierpliwości, wielu zabiegów i skrytych działań. Harmonijne stosunki z otoczeniem psuje Skorpionowi podejrzliwość wobec najbliższych. Kolorem najbardziej odpowiadającym psychice Skorpiona jest zielony. Kamieniami przynoszącymi szczęście są topaz i chryzolit.

Pod znakiem Skorpiona przyszedł na świat: Ignacy Paderewski — wirtuoz pianina i polityk oraz Pablo Picasso — malarz.



(23.11—22.12)

Strzelcem rządzi planeta Jowisz. Jowisz ma działanie pozytywne wzmacniając takie cechy jak optymizm życiowy, który pozwala podejmować ryzykowne przedsięwzięcia i doprowadzać je do końca. Otwartość i szczerość zjednują Strzelcowi ludzką sympatię i oddanie dzięki temu otacza go komfort duchowy. Wielka śmiałość i poczucie sprawiedliwości predysponuje go do przewodzenia i kierowniczych stanowisk. Strzelec potrafi wyjść z najtrudniejszych opresji z uśmiechem i podniesionym czołem.

Kolorem najszybszym dla Strzelcy jest granatowy, kamieniem amuletysta także granat.

Pod tym znakiem urodził się Winston Churchill — angielski mąż stanu i Miguel de Cervantes — hiszpański pisarz.

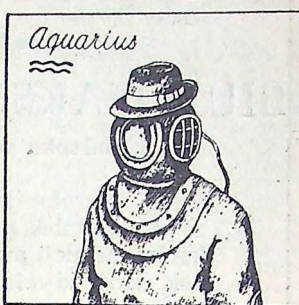


(23.12—20.01)

Ten znak pozostaje we władzy Saturna. Działanie tej pla-

nety wzmacnia u pozostających pod jej wpływem koncentrację działań, zorganizowanie wewnętrzne dające w efekcie wielką odpowiedzialność i wytrwałość. Ludzie urodzeni w tym znaku są ostrożni, nie lubią ryzyka mają wielkie poczucie realizmu i praktyczny stosunek do życia. Są zdyscyplinowani w pracy i działaniu w dużym stopniu, tak, że nawet może to wzbudzać niechęć wobec nich. Nie lubią nowinek. Dlatego nie powinni rzucać się na niepewne interesy i handle. To nie dla nich. Oni mogą budować pewnie i wytrwale na silnych podstawach. Złą cechą Koziorożca jest pesymizm, melancholia i częste depresje. Potrafią być oziębli i złośliwi. Szczęśliwym dla nich kamieniem jest onyks i bursztyn, a kolorem biały i mlecznożółty.

Pod tym znakiem przyszedł na świat Adam Mickiewicz i Louis Pasteur — mikrobiolog.

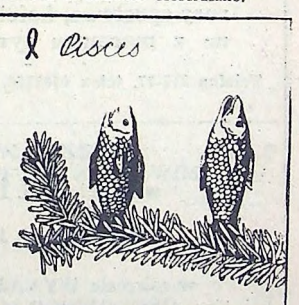


(21.01—20.02)

Wodnik podlega planecie Uran. Najsilniejszą cechą Wodnika jest niezależność, więc nie może wchodzić w żadne spółki i koncesje, które by wymagały od niego liczenia się ze zdaniem i opinią innych. Wodnika pociągają wszystko co nowe i niebanalne, uwielbia doskonałą organizację i sam w niej celuje. Umysł ma twórczy i fascynują go wynalazki. Dlatego Wodnikowi dobrze powierzyć organizowanie wszystkiego co nowe. Jest wrogiem rutyny i zastanych układów. Stosunki z ludźmi psuje małośkość, która objawia się szczególnie w sprawach drobnych, bo w dużych ma szeroki gest. Nie pracuje nigdy systematycznie lecz zrywami. W życiu codziennym jest dosyć niepraktyczny. Lubi ekscentryczne ubiory i ekscentryczne zachowanie.

Najkorzystniejszym kolorem dla Wodnika jest brązowy i czarny a kamieniem beryl i szafir.

Pod tym znakiem urodził się Krzysztof Kolumb — odkrywca Ameryki i Tadeusz Kościuszko.



(21.02—20.03)

Ryby pozostają pod wpływem Neptuna. Ludzie urodzeni w tym znaku charakteryzują się wielką wrażliwością, delikatnością i intuicją. Ryby lubią marzyć i ich plany często są nierealne, podbudowane wyobraźnią nie rzeczywistością. Ponieważ mają dar przekonywania potrafią zjednać sobie zwolenników, zdobyć fundusze i czasem zdarza się im zrealizować własne plany. Pociągają także Ryby rzeczy dziwne i tajemnicze. Jeśli pragniemy je pozyskać dla realnych przedsięwzięć trzeba je udziwnić. Rybom najbardziej w życiu przeszkadza niezdyscyplinowanie i brak poczucia rzeczywistości. Ryby powinni się także strzec przed nałogami.

Kolor przynoszący Rybom szczęście to błękit, a kamieniem — chryzolit i szmaragd.

Pod tym znakiem urodził się Fryderyk Chopin i Mikołaj Kopernik.

ZESPÓŁ EKONOMICZNO-ADMINISTRACYJNY SZKÓŁ
MIASTA I GMINY ZŁOTORYJA

OGŁASZA PRZETARG NIEOGRANICZONY NA SPRZEDAŻ:

- AUTOBUSU TAM, rok prod. 1975, cena wywoławcza — 1 300 000 zł,
- AUTOBUSU TAM, rok prod. 1970, po cenie złomu użytkowego.

Przetarg odbędzie się w 14 dniu od daty ogłoszenia, o godz. 10.00 w Szkole Podstawowej nr 2.
O ile przetarg nie dojdzie do skutku, drugi przetarg odbędzie się o godz. 12.00.
Wadium w wysokości 10 proc. ceny wywoławczej należy wpłacić do kasy zespołu najpóźniej do godz. 9.00 w dniu przetargu.

Zastrzega się prawo wyboru oferenta lub unieważnienia przetargu bez podania przyczyny.

2154-k

PPT DYREKCJA WOJEWÓDZKA W LEGNICY

pragnie poinformować mieszkańców naszego województwa,

że od 1 XII 1989 r. został uruchomiony

BIUROFAKSOVY PUNKT USŁUGOWY

w budynku poczty przy ul. Piastowskiej 72 w Legnicy.

Usługa biurofaksowa polegać będzie na nadawaniu i odbieraniu za pomocą telekopiarki korespondencji w kraju i za granicą. Treść korespondencji może stanowić pismo (maszynopis, rękopis), rysunek, szkic, zdjęcie itp.

2153-k

ZAKŁAD REMONTU STOLARKI OKIENNEJ
PRZYJMUJE ZAMÓWIENIA NA ROK 1990

na usługi w następującym zakresie:

- ▲ PASOWANIE STOLARKI OKIENNEJ,
- ▲ MONTAŻ KLAMEK,
- ▲ MONTAŻ OGRANICZNIKÓW,
- ▲ WYMIANA SRUB NA ZATRZASKI,
- ▲ USZCZELNIANIE OKIEN,
- ▲ MALOWANIE OKIEN.

Udzielamy 2-letnią gwarancję.

Przyjmowanie zleceń oraz udzielanie szczegółowych informacji — Bydgoszcz 1D, skr. poczt. 108.

78939-g

SKLEP MATERIAŁÓW BUDOWLANYCH
Legnica, ul. Nowodworska 11

P O L E C A :

- płytki lastryko, lastryko marmurowe, rynny, rury spustowe, kafelki łazienkowe, płyty ściennne z marmuru żywicznego w kolorze bordo.

Telefon 215-77, telek 0787586.

78936-g

ZARZĄD WOJEWÓDZKI
TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ DZIECI
w Legnicy, ul. Lenina 12, tel. 288-86

OFERUJE USŁUGI

w zakresie WYNAJĘCIA SAMOCHODU
OSOBOWEGO MARKI „POLONEZ”

instytucjom i zakładom pracy (państwowym, spółdzielczym oraz prywatnym) każdego dnia oprócz sobót, świąt i niedziel w dowolnych godzinach po cenach konkurencyjnych.

Zgłoszenia kierować pod wyżej wymieniony adres w godz. 8—16. Uzyskane środki finansowe będą przekazywane na rzecz pomocy dziecku i rodzinie będącej w trudnych warunkach życiowych.

2150-k

NAJWYŻSZA JAKOŚĆ

— 50 PROC. TANIEJ!

„LABOFOTO”

PUNKT PRZYJĘĆ

Legnica,

ul. Złotoryjska 112,

tel. 264-28

Wykonujemy usługi.

FOTOGRAFIA TERENOWA:

śluby, chrzty, urodziny, spotkania rodzinne, imprezy zbiorowe, itp.

PRACE AMATORSKIE

— KOLOR.

Wszystkie usługi tylko na ma-

teriałach AGFA, KODAK,

FUJI.

78946-g

PODZIĘKOWANIA

Najserdeczniejsze podziękowania wszystkim przyjaciołom i znajomym, którzy wzięli udział w ostatniej drodze mojej kochanej MATKI

S t P

JADWIGI BIELIŃSKIEJ

składa pogrążona w żalu i smutku

C O R K A

Najserdeczniejsze podziękowania wszystkim, którzy wzięli udział w ostatniej drodze

ANDRZEJA PIĘCIAKA

składa

R O D Z I N A

SYNA i MEŻA

Gorąco dziękuję Wszystkim, którzy przyczynili się do uratowania życia mego

oraz Wszystkim tym, którzy okazali mi pomocną dłoń po spalaniu się mieszkania.

TERESA KRZYWONOS

78937-g

Szpitale

Calculosowe dyżury pełnią w: ▲ CHOJNOWIE — przy ul. Nowotki 20. ▲ GŁOGOWIE — przy ul. Kosciuszki 15. ▲ JAWORZE — przy ul. Szpitalnej 2. ▲ LEGNICY — przy ul. Jaworzyńskiej 151 — ginekologiczno-polożniczy i pediatrię przy ul. Poselskiej 14, oddział wewnętrzny przy ul. Reymonta 19 (22, 23, 25, 26, 28, 29, 31.12 oraz

1, 3, 4.01: ostry dyżur pełni oddział okulistyczny; oddział zakazne przy ul. Nowotki 37 (w nieparzyste dni miesiąca ostry dyżur pełni oddział laryngologiczny), ostry dyżur chirurgiczny pełni Specjalistyczny Szpital Chirurgiczny przy ul. Murarskiej 5. ▲ LUBINIE — Szpitale przy ul. Bema 3, Władysława Łokietka 3. Skłodowskiej-Curie 64 (w parzyste dni miesiąca ostry dyżur pełni oddział laryngologiczny, 24, 27, 30.12 oraz 2.01: ostry dyżur pełni oddział okulistyczny). ▲ ZŁOTORYJA — przy ul. Hożej 11.

Apteki

▲ W GŁOGOWIE — 22—23.12: przy ul. Budowlanych 2, tel. 33-21-52, 29.12—4.01: przy ul. Perseusza 2, tel. 33-56-71. ▲ w JAWORZE — w wolne soboty, niedziele i święta przy ul. Piastowskiej 16, tel. 22-32. ▲ w LEGNICY — 22 i 27.12: przy ul. Złotoryjskiej 1, tel. 257-72, 23.12: przy ul. Nowotki 33, tel. 238-54, 23.12: dodatkowy dyżur dzienny w godz. 8—18 pełni apteka przy ul. Jaworzyńskiej 5, tel. 224-56, 24.12: przy ul. Galileusza 16, tel. 246-16, 25 i 28.12: przy ul. Matejki 1, tel.

239-71, 26.12: przy ul. Izerskiej 35, tel. 647-87, 29.12 i 3.01: przy ul. Nowotki 33, tel. 238-54, 30.12 i 4.01: przy ul. Galileusza 16, tel. 246-16, 31.12: przy ul. Złotoryjskiej 1, tel. 257-72, 1.01: przy ul. Matejki 1, tel. 239-71, 2.01: przy ul. Trzaski 23, tel. 647-87. ▲ w LUBINIE — 23, 24, 25, 26.12: przy ul. Armii Czerwonej 35, tel. 44-40-26, 27.12: przy ul. Kopernika 4, tel. 44-27-04, 28.12: przy ul. Leszczyńskiej 1, tel. 44-22-42, 29.12: przy ul. Kopernika 4, tel. 44-27-04, 30, 31.12 i 1.01: przy ul. Gwarków 34, tel. 42-27-73, 2.01: przy ul. Leszczyńskiej 1, tel. 44-22-42, 3 i 4.01: przy ul. Armii Czerwonej 35, tel. 44-40-26. ▲ w ZŁOTORYI — przy ul. Nowotki 23, tel. 104.

Teatry

TEATR DRAMATYCZNY W LEGNICY
● 22.12.89 r., 3.01.90 r., godz. 12 — Sofokles „Antygona”, reż. Józef Jasieński.

Imprezy

DOM HARCERZA ZAPRASZA
Dom Harcerza w Legnicy, ul. Okrzei 9 zaprasza dzieci i młodzież w okresie przerwy ferijnej od 27 do 30 grudnia br. do klubu „Pod Lilijką” na bajki i filmy dla dzieci i młodzieży, program telewizyjny satelitarnej w godz. od 9 do 18 i na imprezy okolicznościowe. 27.12.89 r. na choinkowy bal przebierańców o godz. 16. 29.12.89 r. o godz. 10 na imprezę „Z komputerem na ty”. 29.12.89 r. na konkurs piosenki najlepsze wykonanie koled i pastorałek oraz konkurs plastyczny „Moje największe przeżycie”. 30.12.89 r. o godz. 10 na turniej gier stołowych. Codziennie w go-

dzinach od 10 do 16 można zwiedzać Salę Tradycji legnickiego harcerstwa.

NA WYSTAWIE

„zaprasza Muzeum Regionalne w Chojnowie „Rajska wyspa” — malarstwo dzieci ze Sri Lanki. Ekspozycja czynna do końca grudnia w godz. 9—16 (od środy do piątku); w godz. 11—16 (w soboty i niedziele).

WYKOPALISKA

„czyli komedie antyczną zapraszają Bohdan Smoleń i Andrzej Zaorski „Super Duo”. Spektakle: 14—18 stycznia 1990 r. o godz. 18 i 20 w kinie „Ognisko”. Bilety także od 4 stycznia.

GRAFIKI

„Józefa Pakulskiego ze zbiorów Biura Wystaw Artystycznych w Jeleniej Górze prezentuje galeria lubińskiego KMPIK-u.

Kino

▲ CHOJANÓW — Tosca — 22—27.12: „Piłkarski poker” (polski), od 15 lat; „Dom przy Carroll Street” (USA), od 15 lat; 28.12: nieczynne; 29.12—3.01: „Czarna wdowa” (USA), od 15 lat; „Alchemik” (polski), od 18 lat; 4.01: nieczynne.

▲ CHOJNOW — Polonia — 22—27.12: „Chłopcy z placu Broni” (weg.), b.o.; „Konsul” (polski), od 15 lat; „Protector” (USA), od 18 lat; 28.12—3.01: „Krótkie spieczę” (USA), od 12 lat; „Jeniec Europy” (polski), od 15 lat; „Karatecy z kanionu Złotej Rzeki” (chiński), od 15 lat.

▲ GŁOGÓW — Zodiak — 22.12: nieczynne; 23.12: „Miłość, szmaragd i krokodyl” (USA), od 15 lat; „Bez litosci” (USA), od 18 lat; 24, 25, 26.12: nieczynne; 27.12: „Miłość, szmaragd i krokodyl” (USA), od 15 lat; „Bez litosci” (USA), od 18 lat; 28, 29, 30, 31.12 i 1.01: nieczynne; Jubilat — 22.12: „Galimatias, czyli kogel mogel II” (polski), od 12 lat; „Blue velvet” (USA), od 18 lat; 23 i 24.12: „Wielka podróż Bolka i Lolka” (polski), b.o.; „Szalony Megs” (USA), od 15 lat; 25.12: nieczynne; 26.12: „Wielka podróż Bolka i Lolka” (polski), b.o.; „Szalony Megs” (USA), od 15 lat; 27, 28, 29, 30, 31.12 i 1.01: „Willow” (USA), od 12 lat; „Szalony Megs” (USA), od 15 lat.

▲ JAWOR — Jubilat — 22—27.12: „Gdziekolwiek jest, jeśliś jest” (polski), od 15 lat; „Telepasja” (USA), od 15 lat; 28.12—3.01: „Tajemniczy upiór” (weg.), od 12 lat; „Szklana pułapka” (USA), od 18 lat.

▲ LEGNICA — Ognisko — 22.12: „Przesłuchanie” (polski), od 15 lat; 23.12—4.01: „Emmanuelle” (fr.), cz. I, od 18 lat; 4.01: „Powrót wabiszczura” (USA), od 15 lat; Piast — 22—27.12: „Stan posiadania” (polski), od 15 lat; „Czarna wdowa” (USA), od 15 lat; „Co lubią tygrysy” (polski), od 18 lat; „Superglinia” (USA), od 19 lat; 28.12—3.01: „Krokodyl Dundee” (australijski), od 12 lat; „Ostatni dzwonek” (polski), od 15 lat; 3.12—4.01: „Wirujący seks” (USA), od 15 lat.

▲ LUBIN — Polonia — 22.12: „Bliźnięta z wesołym diabłem” (polski), b.o.; „Gliniarz z Beverly Hills II” (USA), od 15 lat; „Mucha” (USA), od 18 lat; 23.12—1.01: „Niekończąca się opowieść” (RFA), b.o.; „Wielka draka w chińskiej dzielnicy” (USA), od 12 lat; „Sztuka kochania” (polski), od 15 lat; „Gwiezdny przybysz” (USA), od 15 lat; „Nieoczekiwana zmiana miejsc” (USA), od 15 lat; Muza — 22, 23.12: „Szklana pułapka” (USA), od 18 lat; 24 i 25.12: nieczynne; 26.12: „Szklana pułapka” (USA), od 18 lat; 27, 28, 29, 30.12: „Tunel” (arg.), od 18 lat.

▲ POLKOWICE — Skarbnik — 22.12: „Gry wojenne” (USA), od 12 lat; 23—26.12: „Rybka, zwana Wandą, czyli jak odzyskać łup” (ang.), od 15 lat; 27—28.12: „Złote dziecko” (USA), od 12 lat; 29—31.12: „Christiane” (USA), od 18 lat; 28.12—1.01: „Interkosmos” (USA), od 12 lat; „Elektroniczny morderca” (USA), od 15 lat; 29.12—1.01: „Imię róży” (RFA), od 18 lat; 24 i 25.12: nieczynne.

▲ PRZEMKÓW — Gwardia — 23, 24.12: „Pożegnanie z Afryką” (USA), od 12 lat; „Schołdami w górę, schołdami w dół” (polski), od 15 lat; 24—27.12: „Zaginiona księżniczka” (czech.), b.o.; „Czarownice z Eastwick” (USA), od 18 lat; 28.12—3.01: „Wielka przygoda psa Benjiego” (USA), b.o.; „Pluton” (USA), od 18 lat; 1—3.01: „Misja” (ang.), od 15 lat.

▲ SCINAWA — Szarotka — 22.12: „Zadziwiający przygody muszkieterów” (rum.), b.o.; „Podjeźdźca” (USA), od 15 lat; „Dotknijcie” (polski), od 18 lat; 23.12—1.01: „Wpływ księżycy” (USA), od 15 lat; „Blue velvet” (USA), od 18 lat.

▲ ZŁOTORYJA — Arium — 22.12: „Przemienie z wiatrem” (USA), od 12 lat; 23, 24, 25.12: nieczynne; 26.12: „Przemienie z wiatrem” (USA), od 12 lat; 27, 28.12: „Stan wewnętrzny” (polski), od 15 lat; 29, 30, 31.12: nieczynne; 1 i 2.01: „Kingsjazz” (polski), od 12 lat.

Kina zastrzegają sobie prawo dokonywania zmian w repertuarze.

Z głębokim żalem zawiadamiamy znajomych i przyjaciół, że 11 grudnia 1989 roku zmarła

GENOWEFA BRUNENGRABER

przeżywszy lat 69.

Pogrzeb odbył się w Wiedniu dnia 15 grudnia 1989 r.

Msza w intencji Zmarłej odbędzie się 3 stycznia 1990 roku w kościele parafialnym Św. Jana w Legnicy o godzinie 8.30.

78952-g

MF

magazyn
firmowy

Zagadka

Prosimy odgadnąć, o jaką sportową imprezę chodzi? Ma kolce, chodzi po bokserkim ringu... Dodajmy, że zawody się nie odbyły. Z powodu poklucia?

Dziewczyna firmowa



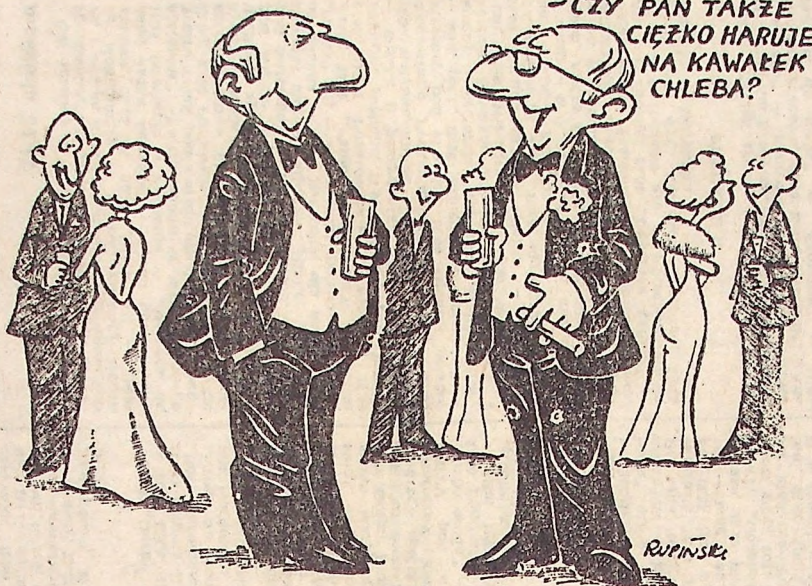
Ewa Kochanowska — brygadziśka w PPW „Rexpol”.
Fot. Wincenty Kołodziejski

Uczniowie tułacze...

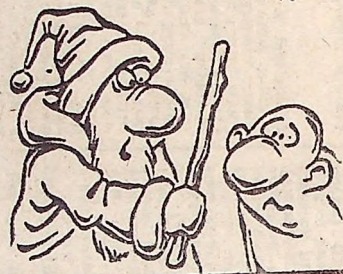
Minęły oto czasy, w których świetlica, klub czy zakładowy dom kultury służyły — jak najszerszej pojętej — założce patronującego placówce przedsiębiorstwa. Przykład. Młodzież Zespołu Szkół Włókienniczych — mająca praktyki pracownicze w „Milanie”, „Hance” i „Elpo” — od dwóch już prawie lat na różne swe szkolne uroczystości wynajmuje sale a to w DK „Atrium” a to w LOK, nie mogąc korzystać z pomieszczeń Klubu Techniki i Racjonalizacji „Dziwiarz” przy ulicy Lenina. Choć tyle się ciągle mówi o szerokiej integracji pracowników poprzez korzystanie z zakładowych zdobyczy socjalnych...

Nowy konkurs i nagrody.

W rejonie placu Zwycięstwa w Złotorii rozpoczęły się tradycyjne już przedświąteczne zawody między służbami wodociagowymi, gazowniczymi i energetycznymi w kategorii wyłączeń wody, gazu i prądu. W związku z tym w naszej redakcji przyjmujemy zakłady kto zwycięży w okresie tegorocznych świąt Bożego Narodzenia. Przewidywane nagrody: dynamo rowerowe, butla gazowa i specjalny szpadel do kopania studni.



-W TYM ROKU DAJEMY
WSZYSTKIM!



GRZECZNYM
i
NIEGRZECZNYM



ZEBY BYŁO
SPRAWIEDLIWIE!



Patent

Jak wiadomo, przyczynami wielu wypadków na autostradach są przypadki zasypiania kierowców znużonych monotonną jazdą. Patent przeciwko zaśnięciu, polegający na nieremontowaniu autostrady i — tym samym — uzyskaniu zja-

wiska stałych wstrząsów ulepszyli ostatnio drogowcy, którzy położyli na odcinku autostrady tzw. asfaltowy chodnik pod Legnicą. Uzyskali jeszcze lepszy efekt: podskakiwania co kilkanaście metrów samochodu na wysokość kilkunastu centymetrów już przy prędkości 80 km/h. Gratulujemy!!!

Tako Stańko rzecze

Co tydzień tu Stańko „rzecze tako”. (Czasem byle co, często byle jako...). Gdy rok zaś w ostatnie dni swe wkracza, szopką tradycyjną zwyczaj Was uraczać. Latoś szopki nie będzie — a przyczyna prosta: gdy rzeczywistość satyrę przerosła, gdy kraj niby arena cyrkowa ogromna, komu potrzebna jakaś szopka skromna??? ...Atoli przypomnieć warto w paru zdaniach roku fakty ważniejsze. (Bez podsumowania!). Nastal nam rząd nowy, z nową koalicją. Zwrot ku przedwojennym nastąpił tradycjom... Parlament z takim zapalem zajął się reformą, że i więźniów wypuścił i rozwiązał ORMO... Przyleciał Bush i „Sto lat” w Sejmie wystuchał! (A w kasie dewiz jak była, tak i jest posucha)... W „Ostpolitik” stosując dziś warianty nowe, kanclerz Kohl pielgrzymował aż do Krzyżowej premier nasz przy niezłej (politycznie!) pogodzie, przebywał i na Kremlu i dawnym Piotrogradzie, Lech zaśię Amerykanów tak zelektryzował, że Senat i Kongres w napięciu chłonał Jego słowa... ..Epokowe te wydarzenia, piękne też i podniosłe, cieszyłyby jeszcze bardziej, gdyby ceny nie rosty...

PS
Wierząc w nieustające sukcesy rządu Mazowieckiego, życzę Wam wszystkim w Nowym Roku: Wszystkiego Najobfitszego!!!

PS do PS

O wydarzeniach roku, w województwie i w Legnicy opowiem Wam za tydzień Drodzy Czytelnicy.

Przeziąknięty podrózkami

Jeden z naszych kolegów tak się rozjeździł po Europie środkowej, że momentami nie odróżnia miejsca pobytu. Po ostatnim wojażu i naocznym przekonaniu się, że na wiedeńskim Praterze już

nie strzelają, przyjaciel zasnął w domowych pieleszach błogim snem. Budzony na obiad zerwał się przerażony z okrzykiem: Co to? Już granica?!

Wróci...

W „konkurencyjnych „Konkretach” panika. Odpowiedzialna za numer świąteczny zostawiła cały kramik niedoświadczonemu koledze i wyje-

chała do Wiednia. Tylko tam — jej zdaniem — można jeszcze stanąć w prawdziwej kolejce. Bywalcy śmieją się, że wróci bez zakupów — nie zna przecież biedna ani słowa po czesku.

Kierunek wschodni

Na futbolowym rynku posucha. Co lepsi wyjechali na saksy, a młodzież dojrzewa bardzo powoli. W podobnej sytuacji jest Zagłębie Lubin. Być może wyjściem będzie pozyskanie dwóch dobrych piłkarzy z czołowej drużyny Kraju Rad — Metalista Charków. Nie mamy nic przeciwko temu. Chodząc na mecze piłkarzy ręcznych Miedzi wiemy, jaką wartość przedstawia Rinat Sagitow...

MF bliżej natury

